

AMERYKANIE
ZBADAJĄ SMOLEŃSK



ODSZEDŁ STEPHEN HAWKING
GENIUSZ NIE Z TEJ ZIEMI

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 12 (277) 2018
19–25 marca
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

JAK MAFIA RZĄDZIŁA WARSZAWĄ

DOTARLIŚMY DO ZEZNAŃ MECENASA ROBERTA N., JEDNEGO Z ROZGRYWAJĄCYCH NA RYNKU DZIKIEJ REPRYWATYZACJI. TO WSTRZĄSAJĄCY OBRAZ SITWY TWORZONEJ PRZEZ PRAWNIKÓW I URZĘDNIKÓW

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
12
9 772544 269809



Bank Polski

PKO BANK POLSKI Z NAJLEPSZĄ BANKOWOŚCIĄ MOBILNĄ NA ŚWIECIE

Aplikacja mobilna PKO Banku Polskiego jest zwycięzcą rankingu Retail Banker International z marca 2018 r. obejmującego aplikacje mobilne 100 banków z całego świata.

epirasa.pl 8be10554e8

Czas na przemyślenie ustawy o IPN

Suwerenne państwo nie może ulegać brutalnej agresji na proces stanowienia prawa. Uchwalenie ustawy zakazującej przypisywania narodowi polskiemu niemieckich zbrodni z okresu II wojny światowej (z wyłączeniem prac naukowych i artystycznych) było w tym kontekście ważnym sygnałem podmiotowości. Państwo polskie wysłało w ten sposób mocny przekaz także w kwestiach historycznych, pokazało determinację w obronie prawdy o polskim losie w czasie II wojny światowej.

Awantura, która wybuchła na tym tle, wynikała z trzech czynników. Po pierwsze, okazało się, jak bardzo wykoślawiony jest opis II wojny światowej w oczach zachodniej opinii publicznej. Przebieg tego straszliwego kataklizmu został zredukowany do Holokaustu, a naród żydowski dla wielu stał się jedynym narodem ofiar. Polaków przeniesiono do kategorii sprawców. Sporo w tym naszej winy, mszczą się dekady finansowania przez podatników zakłamanych filmów i książek, ich promocji – generalnie uprawiania pedagogiki wstydu.

Drugim elementem był układ sił na izraelskiej scenie politycznej. Osłabiony zarzutami korupcyjnymi i wystraszony presją ze strony konkurentów premier Beniamin Netanjahu uznał kłótnię z Polską na tle historycznym za najlepszy sposób ucieczki do przodu. Nie zawahał się niestety przed uderzeniem w tradycyjnie dobre od 1990 r. relacje polsko-izraelskie. Biorąc pod uwagę silne wpływy Izraela w Stanach Zjednoczonych, przeniosło to awanturę na tamten teren. Co zbiegło się z trzecią przyczyną siły tego politycznego wybuchu: niezrozumieniem przez Amerykanów europejskiej praktyki penalizowania pewnych twierdzeń w debacie publicznej, nawet jeśli chodzi o zakaz negowania zbrodni czy ludobójstwa.

Ten splot czynników stworzył sytuację, w której nowe polskie prawo może być trwałym elementem zatruwającym relacje polsko-amerykańskie. Na tle wyzwań związanych z bezpieczeństwem Polski jest to sytuacja niebezpieczna i niedobra. Widać też wyraźnie, że państwo polskie nie jest w stanie przełamać licznych przekłamań co do samej ustawy. Co gorsza, nasze wysiłki zderzają się z brakiem lojalności ze strony dużej części krajowego establishmentu, który używa swoich wpływów do promowania fałszywej interpretacji nowych przepisów.

Obraz jest już więc jasny. Czy zysk związany z trwaniem przy tym rozwiązaniu prawnym jest wart ceny, jaką niesie? Nie sądzę. Warto się bić o rzeczy realnie zmieniające rzeczywistość, jak reforma sądownictwa, ale tutaj lepiej poszukać innej drogi. Można sobie wyobrazić wiele takich działań, od powołania pełnomocnika premiera do obrony dobrego imienia Polski, wytaczania procesów cywilnych w przypadku przypisywania narodowi polskiemu niemieckich zbrodni na Żydach, rozpoczęcia pozytywnej kampanii pokazującej bohaterstwo narodu polskiego w czasie II wojny światowej. Trzeba się też zastanowić, dlaczego tak niewielu polskich naukowców i tak mało naszych uniwersytetów zabrało głos w obronie prawdy.

Proponuję zatem drogę, która nie jest kapitulacją, ale zamianą jednej metody na drugą przy zdecydowanym utrzymaniu celu głównego: obrony prawdy o polskim losie w czasie horroru rozpętanego przez niemieckiego najeźdźcę. Chwilowo mamy ciszę na tym froncie, warto ją wykorzystać na przegrupowanie.

Michał Karnowski



SIECI spis treści



26 Przedwyborcze scenariusze Jarosława Kaczyńskiego
Stanisław Janecki



32 Z prof. Piotrem Glińskim
rozmawia Jacek Karnowski



86 Słowacja: dymisja premiera po zabójstwie dziennikarza
Maja Narbutt

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

9 **CZAPECZKI I SKARPETKI**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

12 **FEJKI OD RĘKI...**
Jan Pietrzak

13 **WOLNOŚĆ CZY LIBERALIZM**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **SZKODLIWY BIZNES**
Marta Kaczyńska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **JAK MAFIA RZĄDZIŁA WARSZAWĄ**
Wojciech Biedroń

KRAJ

26 **PRZEDWYBORCZE SCENARIUSZE JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO**
Stanisław Janecki

30 **DZIEŃ APOKALIPSY**
Konrad Kołodziejski

32 **Z PROF. PIOTREM GLIŃSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

36 **POLACY POTRZEBUJĄ PRAWDY O SMOLEŃSKU**
Marek Pyza, Marcin Wikło

40 **UBEZWŁASNOWOLNIĆ RESORTY**
Jan Rokita

42 **KREOWANIE HISTERII**
Piotr Skwieciński

44 **NIEZŁOMNI U MATKI**
Marcin Wikło

46 **BÓG I STEPHEN HAWKING**
Aleksandra Rybińska

48 **MARKETING OTYŁOŚCI**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

67 **KIEDY MÓWIĄ: NIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

71 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **NUTA AUTENTYZMU**
Adam Ciesielski

74 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

76 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

78 **Z DR. KAROLEM NAWROCKIM**
rozmawia Andrzej Rafał Potocki

81 **ANI KROKU WSTECZ**
Wojciech Wencel

82 **LOT POWINIEN BYĆ BIAŁO-CZERWONY**
Marcin Mastalerek

84 **KTO ŁAMIE KONSTYTUCJĘ**
Wojciech Reszczyński

85 **ANODA I KATODY**
Dariusz Karłowicz

ŚWIAT

86 **TRUPY W SŁOWACKIEJ SZAFIE**
Maja Narbutt

90 **WUNDERWAFFE, CZYLI PAKT SOROSA**
Grzegorz Górny

92 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

GOSPODARKA

94 **Z FILIPEM GRZEGORCZYKIEM**
rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko

102 **Z OLGIERDEM CIEŚLIKIEM**
rozmawia Kajetan Kutnowski

KUCHNIA

106 **MOJE SMAKI: JERZY SCHEJBAL**
Jolanta Gajda-Zadworna

107 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

108 **SPOZA GÓR**
Piotr Skwieciński

109 **ZIDIOCENIE W STYLU POP**
Aleksander Nalaskowski

110 **PŁACZ GRILLOWANYCH NIEWINIĄTEK**
Robert Mazurek

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **TRENDY I OWĘDY**
Ryszard Makowski

114 **INTUICJA POLAKÓW**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

12/0218/F

eprasa.pl 8bef0554e8

TAURON

czysta oferta Twoje 300

Prąd i gaz w **obniżonych cenach**

Naprawa urządzeń na prąd oraz gaz

i **300 zł** zwrotu za prąd!*

Zgłoś się po Twoje 300 zł

tauron.pl/twoje300

555 444 555

Opłata jak za zwykłe połączenie telefoniczne,
zgodnie z taryfą operatora.

* Naprawa urządzeń przez 2 lata do 6000 zł. Szczegóły w Regulaminach na tauron.pl/twoje300. Bonus wypłacany na konto rozliczeniowe za energię elektryczną w TAURONIE po dokonaniu rejestracji na tauron.pl/zwrotzaprad

tauron.pl

eprasa.pl 8bef0554e8

Z życia koalicji



To jest czad. To znaczy to plotka, w którą naturalnie nie należy wierzyć, bo ludzie dobrej zmiany tak nie postępują. Otóż tydzień, dwa przed wybuchem bomby polsko-izraelskiej do pewnej bardzo dużej redakcji zgłosili się ludzie kojarzeni z ***Patrykiem Jakim***. I zaproponowali deal – pokażemy wam kwity na temat reakcji Izraela w sprawie planowanej reprywatyzacji, a wy to przedstawicie tak, jak chcemy. „Mieli nawet lead zapowiadający te materiały" – mówi nam dziennikarz stamtąd. Ech, dobra to zmiana, za dziennikarzy gotowa nawet pracę odrobić.

A jaki miał być wydźwięk materiałów? „Premier Morawiecki chodzi na pasku Izraela, o polski interes dbają tylko ziobryści". Podkreślamy: my nie wierzymy w to, że polscy ministrowie chcą w mediach utopić premiera. Ale najważniejsze, że Kaczyński uwierzył i postawił szlaban Jakiemu.



Tydzień temu, w poniedziałek, Prezes wzywał wszystkich kandydatów na prezydenta Warszawy: Jakiego (z Ziobrą), ***Karczewskiego*** i Dworczyka. Padło na tego ostatniego. Biednemu Karczewskiemu 48 godzin zajęło dojście do siebie i poinformowanie świata, że się wycofuje. To jednak pikuś, bo największym przegranym jest i tak Dworczyk. Naharuje się w kampanii po to, by dostać bęcki. Radość jak z 2893. odcinka „Klanu".

Tymczasem, żeby jakoś uwiarygodnić decyzję Kaczafiego, do mediów zaczęli chodzić ministrowie z jednym przekazem: „W naszych wewnętrznych sondażach Dworczyk wygrywa nie tylko z Jakim, lecz i zdecydowanie z Trzaskowskim". Ponoć ociera się nawet o dwie trzecie głosów. Serio. Kaczor i jego ochroniarz są za Dworczykiem, kierowca chce głosować na Jakiego.

Niezłe zamieszki trwają w kancelarii premiera na odcinku propagandy. Tam z szefem CIR Mariuszem Chłopikiem walczy rzecznik rządu Joanna Kopcińska, ale nie tylko ona. Ostatnio Chłopik dopiął swego i usunął swoją zastępczynię Sylwię Matusiak, która z punktu widzenia prawdziwie polskiej i patriotycznej partii ma tę wadę, że lubią ją dziennikarze. A o Chłopiku, zięciu Radziwiłła, mówią w PiS, że „ma kompleksy, bo niewiele w życiu osiągnął, a od ambicji aż buzuje". E, to nieprawda. Chłopik nie ma kompleksów. On po prostu jest od innych gorszy. Ale tylko trochę.

Pustki w CIR zapełni dwójka Anna Plakwicz i Piotr Matczuk, właściciele słynnej spółki Solvere, która w ekspresowym tempie, bez żadnego przetargu zrobiła dla Polskiej Fundacji Narodowej kampanię o sędziach kradnących spodnie. Plakwicz i Matczuk firmę założyli, pracując jeszcze w kancelarii za Szydło, przez co interesowało się nimi CBA. A teraz przestanie, bo jak nie, to na mieście pojawią się plakaty o agentach CBA sikających opozycji do mleka.



Taka sytuacja: czerwiec ubiegłego roku, siedzą sobie w ławach rządowych ministrowie. ***Waszczu*** oddycha z ulgą, bo Bruksela przestała się już czepiać Trybunału Konstytucyjnego, nie musi już dawać twarzy do idiotycznej walki z Tuskiem, słowem: spokój. „No, to teraz będzie z górki" – rzuca. „A nie, jutro ruszamy z Sądem Najwyższym" – dobija go Ziobro. „Tak właśnie działa Ziobro. Nie uzgadniając niczego, wrzuca nas na kolejne miny" – zżyma się ważny pisowiec.



PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Andrzej Wiktor (x2), Julita Szewczyk

eprasa.pl 8bef055403

Z życia opozycji



SLD poczuł wiatr w żaglach i stara się z tego skorzystać. Najprościej będzie odnieść sukces w wyborach do europarlamentu. Najlepiej będą się do nich nadawać lewicowi emeryci, których postanowił odgrzebać ***Włodzimierz Czarzasty***. I tak Włodkowi udało się przekonać drugiego Włodka – Cimoszewicza – żeby był jedynką na liście warszawskiej. To zapewne sukces, ale sami nie jesteśmy w stanie pojąć, jak można głosować na tego antypatycznego bufona. Kiedyś to był przynajmniej podobny do Adama z „Dynastii". Ale teraz?

Natomiast lokomotywą SLD w Łodzi w przyszłorocznych wyborach ma być Marek Belka. Dla niego mamy z kolei ciepłe uczucia ze względu na szacunek, z jakim odnosił się w Narodowym Banku Polskim do śp. Sławomira Skrzypka oraz jego rodziny. Po ludzku i z klasą. A to niestety bardzo rzadkie teraz.



TYGODNIA

Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Z kolei na Śląsku zakończy się era Adama Gierka. Uznano, że syn Edwarda jest już nazbyt leciwy i ma go zastąpić ktoś młodszy. To już nie będzie Gierków w polityce? Naprawdę – nadchodzi zima. Chociaż niby wiosna.

Będzie za to dziecię innego pierwszego sekretarza KC PZPR, czyli Monika Jaruzelska. Kobiecina chce się zaangażować w politykę. Przy tej okazji podzielimy się głupią refleksją, która jednakowoż zawsze nas męczyła à propos Jaruzelskiej. Jak to jest, że ktoś się z nią chciał całować? Przecież ona jest tak podobna do ojca! Seks z rodzicami w tle to przecież jakiś koszmar.



Czarzasty namawia też ***Marka Borowskiego*** na start w wyborach na prezydenta Warszawy. Borowski jak dotąd nie chce. Panie Marku – jeden łomot więcej czy mniej. Co za różnica?

Były Pą Prezydą zasugerował nieśmiało, że właściwie to on mógłby poliderować Platformie Obywatelskiej. Ale ponieważ nikt nie wziął tego poważnie, oświadczył, że czas na kolegialne przywództwo w Platformie Obywatelskiej. Bo – jak powiedział pod adresem Grzegorza Schetyny – „charyzmy nie da się kupić w sklepie". Boże, toż to nasz tekst! Komorowski mówi Mazurkiem i Zalewskim. Cieszyć się czy załamać?

Tak przy okazji. To rozczulające, że były Pą Prezydą wystąpił jako ekspert od charyzmy. To trochę tak, jakby śp. Stephen Hawking mądrzył się na temat skoków narciarskich.



Robert Biedroń wyraźnie męczy się w tym Słupsku. Co prawda startować na prezydenta Warszawy nie chce, ale co rusz śmiga gdzieś w Polskę. Ostatnio słupszczanie sfinansowali jego podróż do Opola i Kędzierzyna-Koźla, gdzie Biedroń spotykał się z miejscowym ludem na mityngach zorganizowanych przez Instytut Myśli Demokratycznej, który tworzy m.in. Barbara Nowacka. Rozumiemy faceta. Ile można siedzieć w tym Słupsku? Jeszcze latem to fajnie, bo blisko do Ustki. Ale teraz? Brrr...



Janusz Korwin-Mikke porzucił mandat eurodeputowanego (szacun), więc szuka nowych wyzwań. I zamierza startować w wyborach na prezydenta Warszawy. Jak sam stwierdził, jest jedynym poważnym kandydatem. Dobra, dobra, a kiedy będzie coś o Hitlerze?

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Julita Szewczyk, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8bef0554e8

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

Radosław Sikorski ekscytuje się na Twitterze twardą odpowiedzią Wielkiej Brytanii na zabójstwo Siergieja Skripala. Tusk też coś pisze o „jedności" Europy w obliczu zagrożenia. To jednak bezwstyd. Ludzie uwikłani w tragedię smoleńską i posmoleńską nie powinni zabierać w tej sprawie głosu. Ich rady są nic niewarte, bo swój najważniejszy życiowy egzamin oblali. A był to taki egzamin, po którym nie ma poprawki.

Nie tylko w sprawach międzynarodowych ***życie smutno puentuje III RP***. „Nie dociera jeszcze do mnie, że jestem wolnym człowiekiem. To tak, jakbym się narodził po raz kolejny" – powiedział po wyjściu z więzienia Tomasz Komenda, który spędził za kratami 18 lat. A był niewinny. Symbolicznie wyszedł parę dni po tym, gdy Sejm wybrał nową Krajową Radę Sądownictwa.

Bronisław Komorowski podzielił się własnym doświadczeniem i stwierdził, że „charyzmy nie kupi się w sklepie". To o Schetynie oczywiście. Dodał też, że „stara się sobie wyobrazić formułę lidera zbiorowego" opozycji. Były prezydent wyraźnie czeka na propozycję powrotu. Po cichu dziwi się, dlaczego nikt wciąż nie proponuje mu przywództwa. Cóż, adekwatnej samooceny też nie sprzedają w sklepach.

Po stronie rządzących ***seria wypowiedzi***, które media III RP wzięły na warsztat. Zaczął Andrzej Duda: „Bardzo często ludzie mówią: »Ach, po co nam Polska, Unia Europejska jest najważniejsza«. Otóż, proszę państwa, to niech sobie ci wszyscy przypomną te 123 lata zaborów". Prezydentowi zarzucono, że porównał Unię do okupantów. Ale przecież powiedział prawdę: nic nie zastąpi nam Polski. Powiedzielibyśmy nawet, że Polska Jest Najważniejsza, ale te piękne słowa wciąż fatalnie nam się kojarzą. Jeszcze za wcześnie.

Premier Morawiecki z kolei w wywiadzie dla niemieckiego portalu stwierdził: „Polska ma kwitnącą demokrację. Jak porównuję naszą sytuację do sytuacji Bułgarii, Rumunii albo Czech – gdzie wszędzie jest pełno korupcji – albo do Węgier, to nie wiem, czy się śmiać, czy płakać". Znów: jest w tym dużo prawdy. Ale z niemieckimi portalami to lepiej nie rozmawiać, rzadko wynika z tego coś dobrego.

W kancelarii premiera rewolucja: wracają Anna Plakwicz i Piotr Matczuk, którzy najpierw pracowali dla premier Beaty Szydło, później założyli słynną firmę Solvere, a jeszcze później kręcili się w Sejmie i na Nowogrodzkiej. Emocje duże, bo chodzi o rany, urazy i inne wspomnienia, nawarstwione przez lata w niewielkim, elitarnym gronie. Ale najważniejsze jest co innego: rozpoczyna się test, który odpowie na kilka naprawdę ważnych pytań.

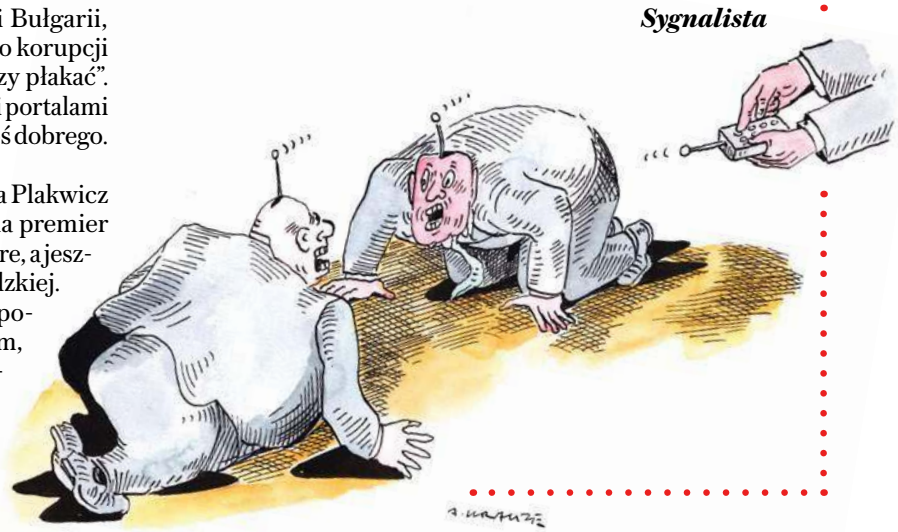
Sondaże wciąż doskonałe, ale w PiS atmosfera niepokoju. Bo rząd i partia pod coraz silniejszym ostrzałem, i w wyraźnej defensywie. Pytanie dlaczego. To prawda, że ustawa o IPN, że nagrody, że Unia, że zmęczenie daje o sobie znać. Ale jest coś więcej: PiS przestaje budzić respekt. A gdy się ciebie nie boją, to wiadomo, wejdą na głowę. Co więc robić? Wydać jakąś bitwę, wygrać, i zaraz wszystko wróci do normy. Być jak Napoleon.

Monika Jaruzelska „zdecydowała się wkroczyć na drogę polityczną". Wystartuje z list SLD. „Dziękuję, Pani Moniko, za przyjęcie naszej propozycji!" – cieszył się Włodzimierz Czarzasty. A już się wydawało, że postkomuniści wstydzą się Polski Ludowej. Chcieli być nowocześni, europejscy, socjaldemokratyczni. Ustawa dezubekizacyjna pozwoliła im wyjść z tej pułapki i znów mogą być sobą. I w tym obszarze IV RP przywraca normalność.

Kochana ***Agora*** chce zostać potentatem na rynku gastronomicznym. Należąca do niej spółka podpisała umowę „na 45 lokali gastronomicznych typu fast casual", cokolwiek to znaczy. Chce oferować dania w przystępnych cenach, proste oraz podane w „przyjaznej i niezobowiązującej atmosferze". Ale to pusta obietnica, bo – po pierwsze – wszędzie wyłożą tę swoją prześną „Wyborczą", a po drugie – „przyjazna i niezobowiązująca atmosfera" nie jest możliwa w dyktaturze.

A Muzeum Historii Żydów Polskich ***POLIN*** do wystawy o Marcu '68 dokleiło wystawkę tweetów uznanych za antysemickie. Niektóre słusznie, inne zupełnie niesłusznie, ale najciekawszy jest sam precedens. Może to będzie stała cotygodniowa wystawa? Czy będzie jakiś ranking, zwycięzca tygodnia, miesiąca, roku, złota kolekcja? Cóż, widać, że nie jest to muzeum, które chciałoby budować mosty – ono woli kopać rowy.

Sygnalista



eprasa.pl 8bef0554e8

Czapeczki i skarpetki

Podziemia Czerskiej, róg Wiertniczej. Przy suto zastawionych stołach majaczą w półmroku cienie samych siebie. Występują: Borysław Borysławowicz, Myszka Agresorka, Grzegorz Zniszczewas, Donald Fuks, Ricardo Madera, Luba Nauer, Kolega Zmusiło, Czaskoski, Dżoana Shoping-Bezgust, Gajowy Bul. Stenogram publikujemy dzięki uprzejmości jednego z kelnerów.



KRZYSZTOF FEUSETTE

Borysław Borysławowicz: To co, łączymy się czy nie?
Myszka Agresorka: Co masz na myśli?
Borysław: Myszko, przecież wiesz...
Myszka: Mrugnąłeś do mnie?!
Borysław: Coś mi do oka wpadło!
Grzegorz Zniszczewas: Albo ktoś...
Myszka: Nie życzę sobie takich iluzji! To jest skrajnie nienowoczesne! Mężczyzna powinien mrugać do mężczyzny...
Ricardo Madera: Następna mądra. Zostawić babom partię...
Luba Nałer: Babom?! Ożeż ty chamie, w sześciu króli czesany. Ja ci dam „babę" (wylewa mu na głowę butelkę wody mineralnej).
Ricardo (wycierając się serwetką): Mnie to nie rusza. Ja jestem do sodowej przyzwyczajony. Chciałem tylko zwrócić uwagę, że nasi partnerzy przyglądają się temu z niesmakiem...
Donald Fuks: To prawda. I tak się zastanawiam, po co wy nam w ogóle jesteście potrzebni?
Kolega Zmusiło: Mamy wspaniałe kadry.
Zniszczewas: Chyba na zdjęciach z Petru.
Fuks: Akurat byłem w Petru. Wspaniali ludzie, biutiful czapeczki z włóczki na upały, no i to słońce w lustrze...
Czaskoski: To było Peru, nie Petru. Jedna literka, a robi różnicę.
Fuks: Jak „Rafał" i „rwał"? A nie, to dwie.
Luba: Panowie, jako przewodnicząca Nowociasnej...
Dżoana Shoping-Bezgust: Sorki, Luba, że wejdę ci w cztery słowa, ale ja chciałam tylko powiedzieć, że przyszłam w nowych skarpetkach. O, tu jest napisane: „PiS – PRL bis". Dość dyktatury kobiet, gdzie jest marszałek Terlecki?
Zniszczewas: To już jest jakiś obłęd. Grzmimy, że rząd chce nas puścić w samych skarpetkach, a tu się okazuje, że sami się puszczamy...
Shoping-Bezgust: Wypraszam sobie. To jest najnowsza nowość. Biedronek ma takie same.
Fuks: Biedronek jest passé. Teraz liczy się tylko Mundial...
Luba: A kto to jest?
Borysław: Mistrzostwa świata w futbolu, koleżanko. Wielka szansa dla władzy, by jeszcze bardziej poprawić nastroje społeczne. Więc moja koncepcja jest taka: wiadomo, że będą się kopać z Murzynami, Azjatami i Kolumbami. Musimy to podciągnąć pod rasizm i promocję narkotyków. Wtedy, nawet jak wygrają, Onet poda, że przegrali.
Ricardo: Albo wystawmy swój skład – drużynę cieni! Na bramce mecenas Ogier-Tych, w obronie Babiej, Biedronek, Spodniezdziałek, Pieróg, w pomocy Farsyniuk, Mazgaja, Farmasyn, Kijowy, i w ataku my z Tajmermansem...
Fuks: Idea jest dobra. Przegramy nawet, gdyby Stuleja sędziował. Ale to nie przejdzie, bo nam autokar jajami obrzucają...
Zmusiło: A gdybyśmy Lewandowskich zamienili? TVN zrobi reportaż, że przez dziecko trochę wyłysiał i jedziemy z tym koksem...
Czaskoski: A skąd koks?
Zmusiło: Zbliżeniowo od Kolumbów. Zresztą nie wiem, bo ja kartą to tylko za piankę płaciłem.
Fuks: Pan nurkuje?
Zmusiło: Jak mam czas, to czemu nie? Nieraz to i do korka zejdę, ale tak na co dzień to tylko prysznicem...
Borysław: Na litość boską, nie spotkaliśmy się tutaj, by rozmawiać o włosach. Łączymy się czy nie?
Fuks: A będzie ktoś od Kijowego?
Zniszczewas: Z tym jest problem. Tam mało kto został. Jeden aresztowany za handel ludźmi, drugi czeka na ekstradycję, trzeci lewe faktury wystawiał, czwarty miał broń nielegalnie...
Fuks: Ten buc z Chamielina większej wiochy narobił, a na konwencji u nas był. Dobra, bo państwo czekają...
Myszka: Właśnie. To co z miejscami dla nas?
Fuks: Najlepiej by było, gdybyście państwo po prostu do nas przeszli, bo koalicje, to wiecie, raz są, a potem ich nie ma. Panie Borysław, pan wyjmie deklaracje na członka...
Shoping-Bezgust: Wypraszam sobie ponownie. Ja nie po to nowe skarpety zakładałam, żeby ktoś mnie teraz nagabywał. Luba, czy ty tego nie widzisz?! Oni nie chcą się łączyć, oni chcą nas pożreć!
Myszka: Zwłaszcza wzrokiem! Przegiąłeś pałę, Borysław!
Borysław: Myszeczko, no co ty...
Wchodzi ledwo żywy Gajowy Bul, w pełnym oprzyrządowaniu, lornetka na szyi, zające na ramieniu, dzik na plecach.
Gajowy Bul: Przepraszam za spóźnienie, ale znowu mi zakonnica na nasyp wylazła...
Zniszczewas: Jak to?
Gajowy: No skoro mam być tą lokomotywą, to pomyślałem, że torami przyjdę, żeby już nikogo na pasach, no wiecie...
Myszka: Luba, on ma broń!
Fuks: Spokojnie, koleżanko. Pan gajowy ma wszelkie uprawnienia.
Myszka: Ale kto będzie zwierzyną?!
Zniszczewas: Ja tam nic nie wiem, mnie mdli od takich widoków... (koniec nagrania).

eprasa.pl 8bef0554e8

Rosja

Przyczyny ryzykanctwa

Próba zabójstwa oficera rosyjskich służb Siergieja Skripala, który szpiegował na rzecz Wielkiej Brytanii i kilka lat temu został wymieniony za schwytanych w tym kraju rosyjskich agentów, spowodowała dyskusję na temat: właściwie dlaczego Rosjanie zrobili to, co zrobili? Bo przecież trzeba być wyjątkowo naiwnym, żeby oskarżać kogoś innego. Moskiewskie media twierdzą wprawdzie, że to niemożliwe, bo Kreml nic na tym nie zyskuje. Co więcej, sporo ryzykuje – przecież zachodnie sankcje już poważnie zaszkodziły gospodarce, ich zaostrzenie mogłoby uczynić je jeszcze boleśniejszymi.



Jednak pomysł, jakoby Skripala otruły zachodnie służby, jest tak absurdalny, że można go określić wręcz jako wzięty z kosmosu. Bo te służby, podobnie jak cały zachodni establishment, bynajmniej nie są zainteresowane podwyższaniem napięcia z Rosją powyżej pewnego poziomu. Likwidacja zdrajcy mieści się natomiast całkowicie w mentalnym świecie czekistów. Tylko że to nie jest jeszcze odpowiedź na pytanie, dlaczego tego zamachu dokonano. Bo wbrew rozpowszechnionym wyobrażeniom to wcale nie jest tak, żeby Rosjanie wykonywali takie wyroki „zawsze". De facto zaprzestali tego rodzaju działań jeszcze w latach 60. i wrócili do tego procederu dopiero w dwutysięcznych, wraz z zabójstwem Litwinienki.

Odpowiedź na pytanie – dlaczego – zawiera się w kwestii większej: czym jest państwo Putina? I jak uosabiający je prezydent ma się do Stalina, z którym jest często porównywany? Czołowy amerykański stalinolog Stephen Kotkin uważa, że są to porównania na wyrost. Choćby dlatego, że nie można porównywać siły ZSRR z obecną Rosją. Gospodarka radziecka to była jedna trzecia amerykańskiej, dziś ten wskaźnik spadł do co najwyżej jednej piętnastej. Ale właśnie ten spadek siły czyni Rosję, według Kotkina, bardziej niż kiedyś agresywną. Bo z samej swej natury nie może ona zaakceptować spadku do formuły zwykłego państwa. Rosja zawsze była mocarstwem, jej tożsamość jest nieoddzielna od mocarstwowego statusu, ale co ważniejsze – zawsze uważała się za mocarstwo wyjątkowe, „opatrznościowe", mające jakąś specjalną rolę do odegrania. Ponieważ z tej pozycji i roli Rosja z samej swej natury nie może zrezygnować, to widząc własne osłabienie, tym bardziej czuje się zainteresowana upadkiem Zachodu. Chce go doczekać, jeśli bowiem Unia Europejska się rozpadnie, a USA zredukują swoje zainteresowanie światem zewnętrznym lub choćby tylko Europą, liczba problemów, z którymi boryka się Kreml, skokowo się zmniejszy. I równie skokowo zwęzi się obecnie wciąż rosnąca luka między siłą Zachodu a siłą Moskwy. Radykalne osłabienie Zachodu poprzez jego rozbicie byłoby w tej optyce rozpaczliwą próbą zatrzymania fatalnej spirali prowadzącej Rosję do katastrofy.

Jeśliby uznać, że istotnie taka jest optyka Putina, to trzeba pamiętać, że ludzie uznający swoje położenie za rozpaczliwe skłonni bywają do działań, przekraczających zwykłe granice ryzyka. A to rzucałoby światło na wiele posunięć – z punktu widzenia Zachodu – ryzykanckich. Od interwencji w Syrii, poprzez ingerencje w procesy wyborcze, aż po zupełnie przecież niekonieczny zamach na zdrajcę.

Piotr Skwieciński

UE

A więc wojna (handlowa)!

Kiedy kraj traci miliardy z właściwie każdym państwem, z jakim robi interesy, wojny handlowe są dobre i łatwe do wygrania" – napisał Donald Trump na Twitterze, tłumacząc, dlaczego wprowadza 25-procentowe cło na importowaną stal oraz 10-procentowe na aluminium. Zapowiedział także, że sekretarz handlu Wilbur Ross rozpocznie niebawem rozmowy z przedstawicielami UE na temat „niesprawiedliwych ceł, którymi są obłożone amerykańskie produkty przemysłowe i rolne". Podczas wiecu w Pensylwanii groził także, że obłoży cłami „BMW i Mercedesa". Gdyby się tak stało, niemieccy producenci aut straciliby nawet 3 mld dolarów rocznie.

UE zapowiedziała wprawdzie odwet, czyli obłożenie karnymi cłami amerykańskich produktów – od masła orzechowego po motocykle – ale to tylko pogorszyłoby spór. Berlin naciska więc na rozwiązanie prawne, czyli złożenie skargi w Światowej Organizacji Handlu (WTO). Tyle że wygrana na tej drodze nie jest pewna. Administracja Trumpa twierdzi bowiem, że musi wprowadzić cła, by chronić rodzimy przemysł stalowy i aluminiowy, gdyż jest on kluczowy dla bezpieczeństwa narodowego, czyli przemysłu zbrojeniowego. USA powołują się przy tym na artykuł XXI Układu Ogólnego w sprawie Taryf Celnych i Handlu, który stanowi, że „każde państwo członkowskie ma prawo zastosować środki konieczne do ochrony swoich interesów w dziedzinie bezpieczeństwa". Art. XXI jeszcze nigdy nie był stosowany, więc – jak twierdzi była sędzia WTO Jennifer Hillman – nie wiadomo, jak go interpretować. „Sytuacja prawna jest złożona" – podkreśla Hillman. A to nie WTO, tylko jej państwa członkowskie określają, co stanowi zagrożenie dla ich bezpieczeństwa.

Trump może więc wygrać wojnę handlową z Europą. Wówczas wybuchłby chaos w światowym handlu, utorowałoby bowiem to innym państwom drogę do wprowadzenia barier handlowych, a WTO straciłoby rolę arbitra. No bo na co komu arbiter, który nie może decydować o cłach?

Aleksandra Rybińska

Fot. Mike Trukhachev/Shutterstock.com

eprasa.pl 8bef0554e8

Ukraina

Ziemia dla cudzoziemców

Zupełnie u nas niezauważona przeszła fundamentalna reforma własnościowa na Ukrainie. W lutym tamtejsza Rada Najwyższa przyjęła ustawę prywatyzacyjną, która umożliwia sprzedaż zagranicznym inwestorom ziemi i innego majątku państwowego. W ten sposób wykonany został potężny krok w procesie gospodarczego – a w praktyce również geopolitycznego – zbliżenia Ukrainy do Zachodu.

Oznacza to wypełnienie treścią kursu rozpoczętego podczas rewolucji na Majdanie w 2014 r. i jednocześnie spełnienie postulatów stawianych Ukrainie przez zachodnie instytucje finansowe z Międzynarodowym Funduszem Walutowym na czele. Zachód uzależniał bowiem dalsze wsparcie dla ukraińskich reform od przeprowadzenia głębokich przekształceń własnościowych. Co więcej, ukraiński parlament zgodził się – dla ułatwienia i przyśpieszenia sprzedaży majątku zagranicznym inwestorom – na czasowe stosowanie przepisów prawa brytyjskiego, co oficjalnie ma wynikać z braku odpowiednich regulacji w prawie ukraińskim, a mniej oficjalnie – ze skorumpowania i braku zaufania zachodnich firm do tamtejszej administracji.



Tak się złożyło, że początek wielkiej wyprzedaży ziemi i majątku ukraińskiego przypadł niemalże w setną rocznicę nacjonalizacji, ogłoszonej w 1919 r. przez władze ówczesnej Ukraińskiej Republiki Ludowej. Ostatecznie nacjonalizację przeprowadzono w niepełnym zakresie, ale na terenach zajętych przez bolszewików już od 1918 r. przeprowadzano brutalną konfiskatę majątków, której ofiarami bardzo często padali polscy ziemianie. Dziś ta sama ziemia znów wraca w prywatne ręce, przy czym w procesie tym nie uczestniczą – przynajmniej na widoczną skalę – żadni polscy inwestorzy, co jest dość wymownym symbolem słabości ekonomicznej współczesnej Polski.

Prywatyzacja na Ukrainie i – co za tym idzie – coraz większe zaangażowanie Zachodu w tamtejszą gospodarkę jest z pewnością dużą porażką Rosji, poniesioną pomimo (a może właśnie z powodu) inkorporacji Krymu i wywołanej przez Kreml rewolty w Donbasie. Jednak ze względu na wspomnianą wyżej kapitałową słabość Polski ukraińska reforma może się okazać w przyszłości poważnym wyzwaniem i testem także dla naszej gospodarki, ciągle zorientowanej na podwykonawstwo oraz niskie koszty siły roboczej. W obu konkurencjach Ukraina potencjalnie z nami wygrywa. Jeśli rzeczywiście dojdzie do dużych zachodnich inwestycji na Ukrainie, w ślad za nimi mogą się przenieść za naszą wschodnią granicę montownie zagranicznych koncernów, a zatem zlecenia i miejsca pracy. W takiej sytuacji można byłoby zapomnieć o ukraińskich pracownikach zasilających, a niekiedy wręcz ratujących niektóre branże polskiej gospodarki.

Zaporą przed zbyt dużym odpływem inwestycji z Polski jest nasze członkostwo w UE, ale bez głębszych zmian strukturalnych nasza gospodarka może boleśnie odczuć rozpoczynające się właśnie reformy na Ukrainie.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock

Niemcy

Małżeństwo bez miłości!

Przez szkodę do mądrości, durch Schaden wird man klug, mówi niemieckie przysłowie, odpowiednik naszego: mądry Polak po szkodzie. Szkodą były dla CDU/CSU i SPD fatalne rezultaty wrześniowych wyborów, po których najpierw zwycięscy chadecy próbowali sklecić tzw. koalicję ćpunów, jak Niemcy pokpiwali z prób stworzenia przez nich koalicji rządowej z liberałami i Zielonymi, nazywaną „koalicją jamajską" (od barw tych partii). Wreszcie, po 171 dniach stanęło na kontynuacji rządów przez niechcianą GroKo, czyli tzw. wielką koalicję chadeków z socjaldemokratami (skrót od Grosse Koalition). Alternatywę stanowiły już tylko nowe wybory, czego dołujący w sondażach udziałowcy spółki CDU/CSU-SPD woleli nie ryzykować.

Ave Merkel! Wczorajsza ukochana „Angie", „Mutter der Nation", „Miss Deutschland", dziś z mocno nadszarpniętym autorytetem, w bólach, bo w bólach, ale uzyskała w parlamencie prolongatę na kolejną kadencję. Jak zapowiedziała, zamierza rządzić do 2021 r., a może i dzień dłużej. To się dopiero okaże.

Tymczasem mądrzy po szkodzie, dyspozycyjni, niemieccy komentatorzy zaczynają się doszukiwać plusów w starej-nowej GroKo, wszak to też wymóg chwili. Niebawem nikt nie będzie pamiętał, w jakich mękach powstała, hasło na dziś: denke positiv – myśleć pozytywnie! Fajna cecha. W końcu CDU/CSU-SPD już razem rządziły i do imigracyjnego kryzysu nie było tak źle. Dadzą znów poczucie stabilizacji, które Niemcy tak sobie cenią. I trochę grosza, bo w 177- stronicowej umowie koalicyjnej przewidziano na dodatkowe świadczenia społeczne aż 50 mld euro, dla dzieci, ludzi pracy i emerytów. Bliska ciału koszula. A że teatr stary? Są w końcu nowi aktorzy i od nich zależy, jak wypadnie cała sztuka.

„Nie będzie to małżeństwo z miłości" – skwitował komisaryczny szef SPD Olaf Scholz, nowy wicekanclerz i minister finansów w gabinecie Merkel. Że kontraktowe i z oddechem urosłej w siłę Alternatywy dla Niemiec? Jeszcze Niemcy nie zginęły..., durch Schaden wird man klug. Oby.

Piotr Cywiński

eprasa.pl 8bef0554e8

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Fejki od ręki...



Jan Pietrzak

Szalenie modne stały się fake newsy. Wielkie media, które kiedyś dbały o pozory rzetelności, prześcigają się w rozpowszechnianiu kłamstw. Na kłamstwach fundamentalnych buduje się całe ustroje. Przerabialiśmy to przez 45 lat PRL, kiedy deklarowana wolność była zniewoleniem, demokracja ludowa – sowieckim zamordyzmem, dynamiczny rozwój prowadził do katastrofy gospodarczej itp.

Zjawisko, które pojawiło się ostatnio pod angielską nazwą, ma mniejszy kaliber, jest zabiegiem incydentalnym, związanym z rosnącymi możliwościami informatyki. Wprowadzanie w błąd mniejszych lub większych społeczności stało się łatwizną dla byle śmondaka, łajdaka bez skrupułów. Wystarczy chwila moment, by narobić smrodu na globalną skalę. Na przykład dywersyjny portal puścił fejka o amerykańskich sankcjach w związku z ustawą IPN i przez dwa tygodnie wrogowie Polski warczeli na nasz kraj. Amerykański departament stanu parokrotnie dementował tę bzdurę, ale oszuści udawali, że nie słyszą, i grzali dalej. Ich celem jest podgrzewanie społecznego napięcia. Hulaj dusza, piekła nie ma! Siódme przykazanie nie obowiązuje, a kłamstwo jest chronione prawem pod pretekstem wolności słowa.

To mnie tak kręci, że trudno powstrzymać się przed puszczeniem jakiegoś fejka w cyfrową chmurę. Na przykład ujawniono, kto był faktycznym szefem Amber Goldu. Powiem wam na ucho: ten, co po zgarnięciu złota szybko wyjechał na wysokie stanowisko w eurolandzie. Inny poufny news... W poszukiwaniu lokomotywy wyborczej opozycja totalna dotarła do Budy Ruskiej, gdzie na bocznicy odkryto zardzewiały zabytek, który ma dowieźć totalsów do sukcesu. Należy przyklasnąć tej koncepcji i rozgłosić ją po wszystkich budach w kraju. Sensacyjnie wygląda odnaleziony w Sali Kongresowej, pod mównicą, testament Stalina. Dotarł już do komisji min. Jakiego. Ostatnią wolą generalissimusa jest, by jego warszawski pałac odziedziczyła bufetowa, daleka krewna w linii ideowej. Dokument potwierdził kurator sądowy z siedzibą w Nowosybirsku.

Ogólnie biorąc, fejków ci u nas dostatek...

Gramy do wspólnej bramki

Z aktorskim małżeństwem Joanną i Pawłem Orleańskimi rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Często stają państwo pod ścianą?

Paweł Orleański: Ja z pewnością częściej. Tyle że czuję się zupełnie inaczej niż w powiedzeniu, w którym gdy ktoś „dochodzi do ściany", zwykle nie ma wyjścia. Uczestnicy teleturnieju „The Wall. Wygraj marzenia", który prowadzę, mają mnóstwo możliwości. I ponad milion do wygrania.

Joanna Orleańska: A w domu zawsze można powiedzieć: „To była nasza wspólna decyzja, kochanie".

I co pan na to?

P.O.: Słyszała pani dowcip o pantoflarzach? Facet pyta kolegę: „Jesteś pantoflarzem?". „Jestem". „A możesz powiedzieć coś po pantoflarsku?". „To była nasza wspólna decyzja". [śmiech żony]. Więc przyparty do ściany zawsze tak mogę powiedzieć. Po 20 latach mi wolno.

Po scence, której byłam świadkiem, zastanawiam się, czy w aktorskim małżeństwie częściej się gra.

J.O.: My zawsze gramy do wspólnej bramki.

P.O.: Ale przed nieznajomymi lubimy czasem trochę poudawać. Ludzie, którzy widzą nas pierwszy raz w akcji, bywają lekko przerażeni. Graliśmy też spektakl „Oskar i Ruth", w którym małżeństwo, by uciec przed rutyną, wymyśla sobie różne zadania.

J.O.: Tyle że my przed sobą nie musimy już grać. Często czujemy, zanim coś się wydarzy.

P.O.: I jedno spojrzenie potrafi wyrazić więcej niż półgodzinna rozmowa.

J.O.: Jeśli już, to najczęściej gramy w urzędach.

P.O.: O tak. Trzeba się czasem postarać, żeby nie dojść do ściany [śmiech].



Fot. VIPhoto/East News

eprasa.pl 8bef0554e8

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wolność czy liberalizm

Często wpadamy w niewolę automatyzmów myślowych, które blokują refleksję. Przykładem może być podejście do liberalizmu. Przyzwyczailiśmy się utożsamiać go z wolnością. Czy oznacza to, że wcześniej wolności nie było? Przecież w Anglii gwarantowała je dla szlachty Wielka Karta Swobód już w XIII w. i niemal w tym samym czasie Złota Bulla na Węgrzech. W Polsce oficjalnie uznane zostały one w XV w. O liberalizmie nikomu się jeszcze wówczas nie śniło. Wspominam normy prawa pisanego, ale przecież dużo wcześniej istniały prawa zwyczajowe, które odwoływały się do rozmaitych wolności, bronił ich Kościół katolicki, a św. Wojciech wszedł w konflikt z możnowładcami czeskimi, walcząc przeciw niewolnictwu chrześcijan w X w. Z pewnością nie był liberałem.

Dziś jednak wszelkie wolności im się przypisuje. Ma to określone konsekwencje. Nieliberalna demokracja budzi grozę i kojarzona jest z nową formą dyktatury. Pojęciem tym, co znamienne dla naszych czasów, nazywane są zupełnie przeciwstawne zjawiska i – jak pisałem w ostatnim felietonie – etykietowane w ten sposób są zarówno Rosja Putina, Turcja Erdoğana, jak i republikański zwrot na Węgrzech oraz w Polsce. W tym drugim przypadku nie o ograniczenie wolności jednak chodzi, ale wręcz przeciwnie – zagwarantowanie jej w całej złożoności.

Liberalne jej wydanie sprowadza się do wolności negatywnej, tzn. eliminacji zewnętrznych ograniczeń dla ludzkiej woli. I tak przywykliśmy myśleć o wolności dziś. A to, delikatnie mówiąc, bardzo uproszczone do niej podejście, które wyrasta z nierealnego wyobrażenia człowieka.

Liberalizm to jego indywidualistyczna koncepcja, uznająca go za samodzielny podmiot, którego relacje z innymi powinien określać kontrakt. Podstawowym mitem liberalnym, który ma być legitymacją dla istnienia wspólnoty, jest wizja umowy społecznej. Nie chodzi o to, aby twórcy tej idei wierzyli, że samotnie żyjący ludzie uznali w pewnym momencie, iż im to nie wystarcza, i zawiązali porozumienie, które stworzyło podstawę dla funkcjonowania społeczeństwa. Był to eksperyment myślowy, który miał dowodzić, że wszelkie ciała zbiorowe ufundowane muszą być na zgodzie jednostek je stanowiących. Stanowił odwrócenie klasycznej myśli, która wskazywała, że osoba ludzka rodzi się we wspólnocie. W języku współczesnym oznacza to, że to kultura buduje człowieka. Kultura, która jest zbiorowym i wielopokoleniowym dziełem. Kiedy uświadamiamy to sobie, dostrzegać zaczynamy, jak iluzoryczna jest wyłącznie wolność negatywna, która absolutyzowana oznacza wyłącznie prawo do ucieczki.



Wolność pozytywna to możliwość kształtowania swojego losu, co realne jest wyłącznie jako przedsięwzięcie zbiorowe. To wolność republikańska, która wyrasta ze świadomości wpisania człowieka we wspólnotę i prawa do jej współrządzenia. Eksponowali ją starożytni, a liberalizm stopniowo unieważniał. Jeśli nawet pierwotnie mógł z republikanizmem koegzystować, to tylko dlatego, że jego twórcy nie wyciągali konsekwencji ze swojej antropologii i w sposób naturalny akceptowali porządek, w którym zostali wychowani. Kiedy czytamy Johna Locke'a czy nawet Johna Stuarta Milla, uderza, jak oczywisty jest dla nich ład ludzkiego świata i organizujące go normy moralne. Gdy Mill pisze, że etyka musi opierać się na tradycji i mocno różnicuje oraz wartościuje dobra, podważając tym samym ich utylitarny charakter, który skądinąd werbalnie afirmuje, rozumiemy, że tkwi on jeszcze w „okowach" dawnej kultury.

Stopniowo jednak liberalizm się z nich wyzwalał, aż po nasze czasy, kiedy uczynił to swoim głównym hasłem i powołał do życia ideologię emancypacji. Trzeba przyjąć, że jest to jego konsekwentna ewolucja. Jeśli jednostka ludzka uznaje się za absolut, to wszelkie relacje z innymi winna podporządkować własnemu pożytkowi i wszystkie one nabierają kontraktowego charakteru. Na wstępie zakładamy, że tak długo się ich trzymamy, jak długo przynoszą korzyści. Jest to prosta droga do destrukcji cywilizacji, a w konsekwencji i osoby ludzkiej. Następstwem tak pojętej wolności negatywnej jest absolutna samotność. Naturalnie mało kto z liberałów zdaje sobie z tego sprawę, a jeszcze mniej głosi to oficjalnie, niemniej efekty dominacji tej ideologii na naszym kontynencie są widoczne. Ci, którzy się temu przeciwstawiają, nie walczą z wolnością, ale jej redukcją i deprawacją.

Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Dycha z Krychą

Para dyszlowa, która dwa lata temu zaprzęgła się do wozu walki z reżimem – Krystyna Janda oraz Maja Ostaszewska – nie daje o sobie zapomnieć. Kiedy jeszcze tę ideologiczną furmankę popchnie ewangelia opozycji – „Gazeta Wyborcza", to naprawdę robi się wesoło. Głowa i szyja redakcji z Czerskiej razem wzięte, zwane Sanhedrynem, wpadły na świetny pomysł uczczenia Dnia Kobiet. Ponieważ zdaniem ichniego portalu Gazeta.pl „waluta jest kobietą", na banknotach powinny się znaleźć portrety wybitnych przedstawicielek płci pięknej. I tak, na dziesięciozłotówkę proponują Krystynę Jandę, pięć dyszek ma zdobić premierka (premierzyca?) 1000-lecia Hanna Suchocka, a stówę Agnieszka Holland. Prognozuję, że od momentu wprowadzenia nowych biletów Narodowego Banku Polskiego ludzie zaczną w sklepach pytać sprzedawców: „Macie rozmienić Krychę na drobne?".



Tymczasem Maja Ostaszewska widać pozazdrościła sławy koleżance i postanowiła sama zabłysnąć, dzieląc się ze społeczeństwem przemyśleniami na temat wrażliwości artystów. Jej zdaniem tacy jak ona są bardziej wyczuleni na „niesprawiedliwość, rosnącą falę nacjonalizmu, ksenofobii". I jak dodała skromnie: „Paradoksalnie ludzie chętniej słuchają nas niż specjalistów". Swój wywód poparła dodatkowo opisem cierpień z dzieciństwa, które ją dotknęły z powodu inności. Snując swoją opowieść, pożaliła się, że w wieku 11 lat została przez rówieśników zrzucona ze schodów m.in. dlatego, że nie została ochrzczona. W efekcie złamała nos, rękę i miała połamane żebra. Jednym słowem: masakra. Pani Maju, ale nie tylko pani cierpi z powodu poglądów. Ostatnio wyrzuciła mnie z pędzącego pociągu relacji Warszawa–Gdańsk zgraja znanych z telewizji redaktorów o poglądach liberalno-lewicowych. W momencie upadku na ziemię, który niechybnie skończyłby się dla mnie śmiercią, ocknąłem się w przedziale zlany potem. „Oto jak nas, biednych ludzi, rzeczywistość ze snu budzi". Źródło: „Teatrologia z kajetu pensjonarki".

Brytyjczycy mają już chyba dość politpoprawności. Na ekrany wszedł tam ostatnio serial BBC „Troy: Fall of a City" („Troja – upadek miasta"). W roli Achillesa wystąpił Murzyn David Gyasi. Jego przodkowie pochodzą z Ghany. Z kolei jako Hektora obsadzono Lemogang Tsipa z RPA. Naczelny greckiego panteonu – Zeus (Hakeem Kae-Kazim, także z Afryki Zachodniej) również jest czarny. Nie licząc tysięcy kolorowych Greków i Trojan, tworzących obie armie w tle. Pierwszy odcinek obejrzało 3,2 mln widzów, co jak na 66-milionową populację Wielkiej Brytanii nie jest zjawiskiem zapierającym dech w piersiach. Dla porównania każdy „The Voice UK" skupia ponad 5,5 mln telewidzów. Gdyby w Polsce udało się PO wprowadzić w granice naszego kraju rzesze imigrantów, za kilka lat powinniśmy w ramach dobrze pojętej politpoprawności nakręcić sequele takich seriali jak „Stawka większa niż życie" czy „Czterej pancerni i pies" (konieczna korekta tytułu na „Czterej pancerni i kot", prorok bowiem nie cierpiał psów). Rolę sturmbannführera Brunnera można by było powierzyć synowi malarza z Algierii Saidowi Naceri, a Marusi z „Czterech pancernych i psa" Berberyjce Yasmine Adjani. Skądinąd przy pierwszym odcinku publiczność miałaby niezły ubaw. Ale już czwarty oglądałby z zachwytem tylko twardy elektorat totalnej opozycji.

1 marca Putin w swoim ponadgodzinnym wystąpieniu straszył Zachód ruskimi Wunderwaffe. Zaprezentował sześć nowych systemów uzbrojenia, z których jednym miał być wysoce precyzyjny naddźwiękowy pocisk rakietowy Kindżał. Według Władimira Władimirowicza nie ma on światowego odpowiednika. Ponoć może się poruszać z prędkością hipersoniczną – pięciokrotnie przekraczającą prędkość dźwięku. Rakieta ma być przenoszona przez samoloty wielozadaniowe MiG-31 i po zrzuceniu lecieć samodzielnie, cały czas wykonując manewry. Jednak już na pierwszy rzut oka widać, że rakieta podwieszona pod MiG-31 nie jest żadnym nowatorskim rozwiązaniem, ale przeróbką pocisku rakietowego Iskander-M. Według ekspertów na przedstawionym filmie zabrakło charakterystycznych dla systemów hipersonicznych detali, nie zauważono również urządzeń zmniejszających możliwości wykrycia obiektu (stealth). Nie widać było także lotu rakiety ani uderzenia w cel. Jednym słowem, cytując klasyka: „Obaj z ojcem wiedzieliśmy, że – mówiąc kolokwialnie – to wszystko lipa".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

15/0318/F

eprasa.pl 8bef0554e8

Szkodliwy biznes



Marta Kaczyńska

Coraz więcej pacjentów w Polsce uskarża się na problem z zakupem niezbędnych im w przewlekłym leczeniu farmaceutyków. Na długiej liście leków, których permanentnie brakuje zarówno w aptekach, jak i w hurtowniach, znajdują się substancje przeciwzakrzepowe, insuliny, leki przeciwdziałające odrzutom po przeszczepach, przeciwastmatyczne, przeciwnowotworowe, a także neuroleptyki. Deficyt wymienionych leków wiąże się z bezpośrednim zagrożeniem dla życia osób, które powinny je stosować codziennie, a na które często są one zmuszone oczekiwać przez dłuższy czas. Opisane zjawisko jest bezpośrednią konsekwencją popularnego w naszym kraju procederu tzw. odwróconego łańcucha dystrybucji. Polegał on pierwotnie na sprzedaży leków przez apteki do hurtowni, które następnie dystrybuowały je za granicę. Od pewnego czasu w handel lekami zaangażowane są podobno niepubliczne zakłady opieki zdrowotnej pozostające poza kontrolą inspekcji farmaceutycznej. Leki są także przepakowywane, tak by zyskały nowe oznaczenie kodem, który nie został zarejestrowany.

Szkodliwy dla polskich chorych biznes jest niezwykle opłacalny z uwagi na obowiązujące od czasów rządów PO-PSL przepisy ustawy refundacyjnej, które stanowiły o dowolnej (według interpretacji Ministerstwa Zdrowia niskiej) marży na leki wywożone za granicę w ramach eksportu równoległego. Wartość leków, które są wywożone z Polski, wynosi według informacji dostępnych w mediach 1,5–2 mld zł rocznie, z czego co najmniej 600–700 mln zł to zysk podmiotów trudniących się opisaną działalnością.

Odwrócony łańcuch dystrybucji stanowi przejaw niezgodnego z prawem wykorzystania funkcjonującego w ramach stron umowy o Europejskim Obszarze Gospodarczym importu równoległego w świetle przepisów ustawy Prawo farmaceutyczne, polegającego na sprowadzaniu produktów leczniczych z państw członkowskich UE, a także z państw skupionych w Europejskim Porozumieniu o Wolnym Handlu. Odbywa się on równolegle do kanałów dystrybucyjnych producentów i dotyczy tych samych produktów leczniczych zarejestrowanych w państwie docelowym. Istotą importu równoległego jest bazowanie na różnicach cen tego samego produktu w różnych państwach członkowskich. Założeniem norm precyzujących zasady importu równoległego było dążenie do wyważenia sprzecznych interesów producentów, dystrybutorów, hurtowników państw członkowskich i pacjentów, tak aby zapewnić bezpieczeństwo, stabilność i pewność obrotu produktami leczniczymi. Przepisy ustawy Prawo farmaceutyczne stanowią, że zakazana jest sprzedaż leków przez apteki innym aptekom i hurtowniom farmaceutycznym. Sankcją za naruszenie wspomnianej normy prawnej może być nawet kara pozbawienia wolności do lat dwóch.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami Główny Inspektor Farmaceutyczny może skutecznie przeciwdziałać wywozowi za granicę tych leków, których dostępność w Polsce jest ograniczona. W praktyce jednak instrumenty prawne nie działają, a 140 inspektorów działających na terenie kraju nie jest w stanie skutecznie weryfikować przestrzegania prawa. Najnowsza inicjatywa państwa to dodanie leków do listy przedmiotów, które mają podlegać drogowemu monitorowaniu przewozu towarów.

REKLAMA



TEATR WIELKI
OPERA NARODOWA

OPERAVISION

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 8be10554e8

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Nowa moda

Jak informuje Wprost.pl, wśród Rosjanek narodziła się nowa, świecka moda. Chodzi o porody w wodach Morza Czerwonego. Według przyszłych mam poród w morzu jest dużo łatwiejszy i zdrowszy dla organizmu. Do tego kontakt z przyrodą jest bezcenny. Ostatnio do takich narodzin doszło w nadmorskiej miejscowości turystycznej na wybrzeżu zatoki Akaba w Egipcie. Całą „akcję" sfotografowała z hotelowego balkonu krewna egipskiego ginekologa, który specjalizuje się w organizowaniu tzw. wodnych porodów. Na fotografiach widać świeżo upieczonego tatę, który wynosi z wody swojego nowo narodzonego syna. Kilka chwil później z wody wychodzi kobieta, która mimo że przed chwilą urodziła, wygląda tak, jakby właśnie skończyła pływać. Pępowinę przeciął dziadek, a po wszystkim rodzina wspólnie świętowała na plaży narodziny dziecka. „Zdjęcia, na których udokumentowano poród, szybko obiegły media społecznościowe. W ciągu zaledwie kilku godzin udostępniono je ponad 3000 razy" – czytamy na Wprost.pl. Gorzej, jeśli przyszła mama w pogoni za modą nie zdąży dobiec na plażę i urodzi w samolocie. A zamiast kontaktu z przyrodą będzie kontakt z pasażerami. No ale kto bogatemu zabroni szaleć?



3,9 proc.

na taki Agencja Fitch podwyższyła szacunek wzrostu PKB Polski w 2018 r. W grudniu ten wzrost agencja szacowała na 3,6 proc.

311

tyle ofert otrzymało dofinansowanie w tegorocznej edycji konkursu w ramach Rządowego Programu na rzecz Aktywności Społecznej Osób Starszych na lata 2014–2020.

5,9 tys.

o tyle zmniejszyła się liczba bezrobotnych w końcu lutego. To o 0,5 proc. mniej niż miesiąc wcześniej. W porównaniu z lutym ubiegłego roku liczba bezrobotnych spadła o 255,5 tys. osób (18,5 proc.).

Na złoto

Skoro przy modach jesteśmy, to podobno nastała teraz taka na piwo z brokatem, czyli glitter beer. Tym samym złoty trunek naprawdę stał się złoty. Jak podaje Noizz.pl: „Piwo zadebiutowało póki co w Ska Brewing w Kolorado, Three Weavers Brewing Company w Kalifornii oraz w Bold Missy Brewery w Północnej Karolinie. Nie wiadomo, czy ta moda dotrze do Polski, ale sądząc po entuzjastycznych reakcjach ludzi w mediach społecznościowych, jest to bardzo możliwe". Przecież dziś nie jest ważne, co komu smakuje, tylko jak się lajkuje. Ale uwaga! Nie wszystko piwo, co się świeci.



Czy te oczy mogą kłamać?

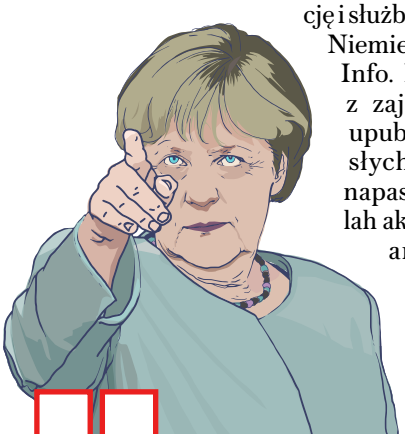
Tak zwanych żywych Barbie i żywych Kenów jest wśród nas coraz więcej. Pojawiają się ludzie, którzy gotowi są wydawać fortuny, żeby wyglądać jak lalki. Kolejną taką historię przytacza Pudelek.pl. „Ostatnio głośno zrobiło się o 30-letniej Amerykance, ukrywającej się pod pseudonimem Ophelia Vanity. Kobieta, która ma azjatyckie korzenie, miała nie być zadowolona ze swojego wyglądu do tego stopnia, że poddała się nawet zabiegowi... powiększenia oczu" – czytamy na plotkarskim portalu. I tak ładna niegdyś kobieta przeistoczyła się w prawdziwe straszydło. Napisałabym, że teraz czekam no kogoś, kto zechce z człowieka zamienić się w smoka. Jednak nie napiszę, bo o kobiecie smoczycy było tydzień temu.



eprasa.pl 8bef0554e8

Z wdzięczności

Policja w ostatniej chwili udaremniła próbę ataku na kanclerz Niemiec. Mężczyzna próbował szybko zbliżyć się do opuszczającej Bundestag Angeli Merkel. Został obezwładniony przez policję i służby chroniące kanclerz Niemiec" – informuje TVP Info. Na nagraniu wideo z zajścia, które zostało upublicznione, wyraźnie słychać, jak niedoszły napastnik krzyczy: „Allah akbar". Choć nie znam arabskiego, wydaje mi się, że ten okrzyk nie oznaczał: „Emigranci dziękują za gościnę i rozbuchany socjal".



Oni są idiotami, politycznymi idiotami" – skomentował Ireneusz Krzemiński w programie Tomasza Lisa stanowisko opozycji w sprawie nowelizacji ustawy o IPN. I w tym miejscu nie wypada się z panem profesorem nie zgodzić.

Matka niematka

W Wielkiej Brytanii z okazji Dnia Matki wydano kartki z życzeniami, na których nie ma słowa »matka«. Firmy, organizacje i szkoły wpadły w pułapkę ideologii gender, próbując obchodzić święto matek bez uznania roli i wartości macierzyństwa" – alarmuje Pch24.pl. Na kartkach wypuszczonych w marcu (w Wielkiej Brytanii Dzień Matki obchodzi się wcześniej niż w Polsce) słowo „matka" zastąpiono słowem „you", życząc nie „Szczęśliwego Dnia Matki", ale „Szczęśliwego Twojego Dnia". I tak Dzień Matki stał się świętem wszystkich, którzy zechcą świętować. Być może w ten sposób nikt nie poczuje się urażony. No, chyba że takie kartki urażą tych, którzy nie mają akurat nastroju na świętowanie.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3), instagram.com/ophelia vanity

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Nowomowa dla zaawansowanych



Dominik Zdort

Jeszcze niedawno wydawało się, że wszystkie słowa określające funkcje i zawody uzyskają swoje formy żeńskie, że zamiast pani premier będzie premierka, zamiast pani minister – ministra. A zamiast pani wójt? Wójta? Wójtka? Wójtczyni? Ocieraliśmy się o granice językowego szaleństwa. Feministki zabiegały o to, aby kobietę polityka nazywać polityczką, nieświadome chyba, że to słowo pogardliwe – tak nazywa się marny sposób uprawiania polityki.

W Polsce wraz z dobrą zmianą genderowe nazewnictwo funkcji i zawodów zepchnięte zostało do ideologicznej niszy, tam, gdzie jego miejsce – czyli do audycji w Tok FM prowadzonej przez Dorotę Warakomską, która raz w tygodniu zaprasza sobie do studia „gościnie" i prowadzi lekcje nowomowy dla zaawansowanych.

Forma żeńska zawodów i funkcji od lat, jeszcze sprzed czasów politycznej poprawności, utrwalona jest w języku niemieckim. Niemcy są narodem praktycznym i najwyraźniej im z tym wygodnie. Ale też ta narodowa praktyczność spowodowała, że przed kilkoma dniami Federalny Trybunał Sprawiedliwości postanowił, że nie ma obowiązku używania żeńskich form w formularzach. Niemki muszą się pogodzić z tym, że będą na takich drukach nazywane klientami czy właścicielami kont. Pozew żwawej 80-letniej feministki z Kraju Saary, która żaliła się na formy używane przez bank, został odrzucony – trybunał stwierdził, że nie jest to naruszenie ani praw osobistych, ani zasady równouprawnienia.

Warto na marginesie dodać, że pani, która składała wniosek w sprawie bankowych pism, jest już znana z podobnych wybryków. Mało tego – wcześniej zdarzało jej się odnosić sukcesy. W latach 90. uzyskała możliwość wpisania się do dowodu osobistego jako „posiadaczka", zmusiła także Instytut Meteorologii Uniwersytetu w Bonn, aby zmienił zasadę nazywania wyżów i niżów atmosferycznych. Wcześniej wyże nazywano męskimi imionami, niże kobiecymi, co najwyraźniej feministka uznała za ujmę na jej genderowej godności. Po interwencji meteorolodzy (i meteorolożki) zaczęli nazywać wyże i niże wymiennie imionami różnych płci.

I pomyśleć, że cały ten problem przestałby istnieć, gdyby w ramach równouprawnienia panie feministki zaczęły zmieniać imiona na męskie.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 8bef0554e8

RZECZY POSPOLITE

Kelus story



Tomasz ***Łysiak***

Gdzieś na mazurskim odludziu, w domu, w którym pali się w piecach i wokół którego w lecie fruwają pszczoły, a czas płynie wolniej i pełniej niż w miejskim gwarze, mieszka Jan Krzysztof Kelus. „Czerwony Radom pamiętam siny, jak zbite pałką ludzkie plecy" – te i inne teksty pieśni Kelusa znają przede wszystkim ci, którzy pamiętają czasy komuny. O ile taki bard „Solidarności" jak Kaczmarski jest do tej pory znany i rozpoznawalny, o tyle idę o zakład, że o Janie Kelusie młodsze pokolenie nie wie nic. A przecież Kelus to historia polskiego sprzeciwu wobec komunistycznej władzy. To marzec roku 1968, to czerwiec roku 1976, to KOR, to „Solidarność", to los ludzi wsadzanych do więzień przez komunę. Również Jan Krzysztof Kelus był w stanie wojennym internowany i osadzony w Białołęce. Siedziała też jego żona Urszula.

Doskonały film o poecie ostatnio zrealizowała wybitna polska dokumentalistka, Maria Dłużewska. Ma ona specjalny dar – wielką wrażliwość, dzięki której współtowarzyszy swym bohaterom i mądrze podąża za nimi, by snuć o nich opowieść. A żeby dobrze o nich opowiadać, trzeba ich naprawdę kochać. Maria Dłużewska kocha pięknych ludzi. Pięknych w sensie pełnym, pięknych przez to, jacy są, jakie mają dusze, jaki kręgosłup moralny, pięknych przez dobre życie i dobre w nim wybory. Taki jest film o Kelusie. Prosty i piękny.

Obraz składa się z dwóch części. W pierwszej poeta opowiada o czasach zniewolenia, o swojej twórczości i życiu, które prowadzi. Druga to obrazek krótkiego popołudnia w mazurskim domu – gdzie wokół zabawnej i trzymającej w napięciu sprawy gotowania jajek dla gości toczą się rozmowy o ludzkich wyborach. Całość przeplatana jest świetnymi animacjami oraz oczywiście muzyką i piosenkami bohatera. Trzeba dodać, że film ten powstał jakby na marginesie tworzenia innego dokumentu Dłużewskiej – o obrońcach ludzi „Solidarności". I ten obraz także powinni poznać ludzie młodzi.

Uwiedziony filmami Marii Dłużewskiej chciałbym zapytać włodarzy na Woronicza – kiedy takie ważne i potrzebne filmy, jak ten o Kelusie czy adwokatach, zobaczymy o normalnej porze w telewizji publicznej?

Piękna katastrofa



Piotr ***Cywiński***

Tyle starań, tyle – nomen omen – Zachodu w działaniach totalnej opozycji na ulicy i w zagranicy, i wszystko diabli wzięli. Po prawdzie, diablica, Angela Merkel się nazywa, kanclerz Niemiec, która nagle ubzdurała sobie, żeby przyjechać do Polski. Na głupszy pomysł już wpaść nie mogła. Co gorsza, pewnie nie spotka się po kryjomu, gdzieś w niemieckiej ambasadzie, z zakodowanymi totalsami, walczącymi o pokój i demokrację w tym naszym reżimowym, pisowskim kraju...

„Jaka piękna katastrofa" – jak powiedział Anthony Quinn vel „Grek Zorba". Tyle starań... Kanclerz Helmut Kohl po wspólnej modlitwie z premierem Tadeuszem Mazowieckim w Krzyżowej w 1989 r. potrzebował sześciu lat, by ponownie odwiedzić Polskę. Zanim Gerhard Schröder został jego następcą, potępiał go w czamuł za Gorbimanię, Jelcynmanię i za „uprawianie polityki ponad głowami Polaków". I co? Jako pierwszego gościa do wygłoszenia mowy w odbudowanym Reichstagu zaprosił niekoronowanego cara Rosji Władimira Putina. A jakże, było kopanie piłki na stadionie w Gelsenkirchen z premierem Leszkiem Millerem, były obiadki „u Włocha" i bale z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim, było klepanie po ramionach, buzi-buzi nawet, był... sztafaż.

Tylko ta Merkel, enerdówka jedna, wykręca jakieś polityczne hołubce. Już wtedy wykręciła, gdy głową naszego kraju był Lech Kaczyński, obśmiany przez niemieckie media jako kartofel – przyleciała wraz z mężem na Hel, żeby pospacerować z parą prezydencką po lesie i zjeść na deser lody z gruszką. No i teraz ten numer. Po cholerę przyjeżdża do Warszawy?!

Odpowiedź zawiera „na piśmie" umowa koalicyjna starego-nowego rządu Niemiec: zacieśnianie stosunków z Polską. Nic jeszcze z tego nie wynika, ale symbolicznego znaczenia wizyty Merkel nie sposób przecenić. Zawsze to powtarzałem, pod względem programowym rząd PiS jest niemal bliźniaczy z współrządzącą CSU i bardzo zbliżony do jej siostrzanej partii CDU. Jasne, że Niemcy woleliby płaszczący się przed nimi rząd PO. „Se ne vrati". Przynajmniej na razie. A że wzrost znaczenia Grupy Wyszehradzkiej i Trójmorza, w których Polska odgrywa dziś znaczącą rolę, no to tak krawiec kraje, jak mu materii staje – po niemiecku nazywa się to w skrócie: Realpolitik. A więc, Herzlich Willkommen, Frau Bundeskanzlerin!

eprasa.pl 8bef0554e8

Szanowni Państwo, dziękujemy za wszystkie listy i zachęcamy do korespondencji: redakcja@fratria.pl, lub tradycyjnie: Redakcja tygodnika „Sieci”, ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Mam przepraszać?

Zanim zacznę kogokolwiek przepraszać, poczekam aż:

1. Alianci przeproszą Polskę za zdradę w Jałcie [...].

2. Amerykanie przeproszą Żydów za odesłanie statku z emigrantami żydowskimi z III Rzeszy.

3. Rząd izraelski przeprosi mnie za antypolonizmy wygłaszane przez niektórych przedstawicieli rządu i parlamentu izraelskiego oraz przez ambasador Izraela w Polsce.

4. Kraje, które miały podczas II wojny rządy kolaboracyjne i w ramach rządowej działalności wysyłały obywateli do obozów, przeproszą za swoje zachowanie.

Chciałbym też, by rząd amerykański zatroskany o wrażliwość Żydów zatroszczył się i o moją wrażliwość historyczną. Czekam, aż rząd ukraiński, wydatnie wspierany politycznie i finansowo przez Polskę, zatroszczy się o moją wrażliwość i nie będzie serwował mi Bandery [...].

Na koniec, żartując trochę, uważam, że polski ambasador w USA powinien żądać od administracji Trumpa, aby uzgadniała z rządem w Warszawie wypowiedzi odnośnie do Korei Północnej. Są one bowiem zbyt agresywne i nie uwzględniają wrażliwości politycznej północnokoreańskich władz.

Rozumiem, że antypisowcy w Polsce są sfrustrowani i każdy głos jest dla nich miły, byleby atakował polski rząd tworzony przez PiS (na którą to partię notabene nie głosowałem). Antypisowcy powoli tracą nadzieję, że naród wreszcie zwróci się do nich z błagalnym: „Ratujcie od PiS”, bo jesteście niezłomni, moralni, mądrzy i profesjonalni, a tu nic. Zaczynają więc „nie rozumieć tego, co się dzieje w Polsce” (jak to stwierdził jeden z ich guru, prof. Paweł Śpiewak, socjolog). Ja rozumiem! Proponuję zatem, abyśmy z Pawłem Śpiewakiem zamienili się miejscami pracy. Jeśli trzeba, przeniosę się z Krakowa do Instytutu Socjologii UW.

A moich przyjaciół i znajomych w szeregach antypisowskiej opozycji bardzo proszę: nie przepraszajcie w moim imieniu!

Jacek Urbaniec

Sprostowanie

W wywiadzie z Bronisławem Wildsteinem, zamieszczonym w numerze 11/2018 tygodnika „Sieci”, popełniliśmy dwa błędy redaktorskie. Fragmenty, których pomyłki dotyczą, powinny mieć następujące brzmienie: „Był wiceprezes IPN Mateusz Szpytma, był prof. Grzegorz Berendt, chyba najwybitniejszy polski badacz relacji polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej, który podkreślił przy okazji, że nie czuje się zagrożony ustawą”. „Była granatowa policja, były zjawiska złe. Ileś tysięcy Żydów zostało wydanych lub zamordowanych. To jest fakt, trudny do ujęcia w liczbach, ale jednak to były tysiące”. Bronisława Wildsteina oraz czytelników bardzo przepraszamy.

Redakcja



SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: PIOTR SKWIECIŃSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL, ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna
WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL, PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 113 140 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DABROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA
OKRĘG KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, SHZG – IMAGINECHINA/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK (x4)

eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. Andrzej Wiktor

Jak mafia rządziła Warszawą

Tygodnik „Sieci" dotarł do prokuratorskich zeznań mecenasa Roberta N., jednego z głównych rozgrywających na rynku dzikiej warszawskiej reprywatyzacji, oraz jego wspólnika Janusza P., handlarza roszczeń i kamienic. Obaj obecnie przebywają we wrocławskim areszcie, z zarzutami oszustwa i łapówkarstwa. Z lektury ich zeznań wyłania się obraz mafijnej grupy, tworzonej przez warszawskich urzędników i prawników, zdemoralizowanych, działających w poczuciu całkowitej bezkarności



WOJCIECH BIEDROŃ

Mimo że o patologiach związanych z dziką reprywatyzacją mówiło się w Warszawie od lat, CBA w czasach rządów PO-PSL zdawało się nie widzieć problemu. Śledztwo ruszyło dopiero po przejęciu władzy przez PiS w 2015 r. To dzięki odwadze prokuratorów, ale i działaniom ministra Mariusza Kamińskiego oraz determinacji szefa CBA Ernesta Bejdy udało się ustalić i zatrzymać pierwszą grupę członków mafii reprywatyzacyjnej. Przełomem okazała się kontrola CBA wszczęta w kwietniu 2016 r. w stołecznym ratuszu, która pozwoliła m.in. wykazać działania sprzeczne z prawem przy okazji reprywatyzowania działki przy ul. Chmielnej 70.

Z zeznań, do których dotarliśmy, wynika, że głównymi filarami przestępczego procederu byli Jakub R., były zastępca dyrektora Biura Gospodarki Nieruchomościami (BGN) Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, zaufany urzędnik Hanny Gronkiewicz-Waltz, posiadający jej pełnomocnictwa do podejmowania decyzji reprywatyzacyjnych, oraz jego matka Alina D., wzięta i niezwykle wpływowa warszawska prawniczka, w przeszłości m.in. obrońca Władysława Ciastonia, oskarżonego o zlecenie zabójstwa bł. ks. Jerzego Popiełuszki.

RODZINNY BIZNES

Jak działał stworzony przez nich system? Wbrew pozorom bardzo prosto. „Kontrahenci" kontaktowali się z Aliną D., która była pośrednikiem i negocjatorem w procesie ustalania łapówek dla

eprasa.pl 8bef0554e8

jej syna Jakuba R. To do niego należały w stołecznym ratuszu niemal wszystkie decyzje dotyczące zwrotów nieruchomości czy odszkodowań za nie. Zorganizowana grupa przestępcza działała według ustalonych zasad. Za „załatwienie" sprawy Jakub R. i Alina D. brali od 10 do 25 proc. wartości odszkodowania lub roszczenia, często obejmowali też udziały w zagarniętych nieruchomościach albo przyjmowali łapówki za przychylność i sprawność w załatwianiu spraw. Złodziejski proceder, który wiązał się z tragedią tysięcy mieszkańców Warszawy, przynosił milionowe majątki i życie, o którym pomarzyć mogli nawet zamożni przedsiębiorcy. Piękne samochody, prywatne jachty na Morzu Śródziemnym, wille i mieszkania w najatrakcyjniejszych miejscach stolicy były normą. We wszystkim porażały bezczelność oszustów w białych kołnierzykach i poczucie całkowitej bezkarności. Z zeznań, do których dotarliśmy, wynika, że łapówki były przyjmowane przez Alinę D. m.in. w kamienicy, której okna wychodziły na budynek, w którym urzędował Paweł Wojtunik, szef CBA mianowany przez Donalda Tuska. Przestępcy otrzymywali łapówki, patrząc na siedzibę służby kierowanej przez Wojtunika. On ich widzieć nie chciał...

Prezentujemy fragmenty zeznań Roberta N. i Janusza P. Należy pamiętać, że składają je ludzie, którzy usłyszeli zarzuty i obecnie przebywają w areszcie. Ich opowieść dotyczy lat 2010–2015.

TORBA Z KASĄ DLA PANI MECENAS

Robert N.: *Myśmy [...] dawali ogromne łapówki innym urzędnikom, o czym chcę bliżej w tej chwili wyjaśnić. Zaczęło się tak, że na początku 2011 r. na jednym z kolejnych spotkań z Aliną D. zaczęliśmy rozmawiać o Mokotowskiej 63. Na pewno było po propozycji złożonej przez D. i dotyczącej Chmielnej 70. To spotkanie, o którym mówię, odbyło się albo w kancelarii Aliny D. przy ul. Bagno, albo u niej w domu przy ul. Szucha.*

Alina D. podczas tego spotkania powiedziała mi, że ja się dosyć długo staram o tę nieruchomość, i zapytała, czy ona może się „przyjrzeć" tej nieruchomości. Ja oczywiście zgodziłem się. Ja po tej rozmowie powiedziałem Januszowi [P. – dop. red.]*, że mamy chyba powtórkę z Chmielnej 70. [...] spotkanie odbyło się w jej domu. Podczas tego spotkania D. powiedziała, że jest możliwość zwrotu tej nieruchomości za kwotę 2 mln zł. Przyznam szczerze, że byłem zszokowany kwotą. Faktem, że muszę dać te pieniądze w gotówce. Ona powiedziała, żeby z nią nie dyskutować na temat wysokości łapówki, ponieważ to była kwota narzucona przez jej syna Jakuba R. D. powiedziała, żeby się decydować szybko.*

Powiedziałem mu [Januszowi P. – dop. red.] *dokładnie: „Słuchaj, Janusz, nieźle się wpierdoliliśmy, bo wydaje mi się, że teraz R. będą naszymi cichymi wspólnikami". [...] Byliśmy pewni, że Jakub R., jak będzie chciał, to zlikwiduje nam działalność kancelarii, blokując nasze sprawy w ratuszu albo wydając decyzje odmowne dotyczące zwrotów i odszkodowań. Tymi samymi argumentami straszyli nas przy okazji Chmielnej 70. [...] Janusz powiedział, że to jest biznes i trzeba to potraktować jako koszty konieczne. [...] poinformowałem Alinę D., że przyjmuję jej*



Jakub R. – były wicedyrektor Biura Gospodarki Nieruchomościami stołecznego ratusza, mózg złodziejskiej reprywatyzacji

Fot. Krzysztof Kaniewski/REPORTER

eprasa.pl 8bef0554e8



Dzięki zeznaniom Janusza P. i Roberta N. poznaliśmy mroczny system funkcjonowania mafii reprywatyzacyjnej w Warszawie

Fot. PAP/Rafał Guz, PAP/Leszek Szymański

propozycję i wypłacę jej pieniądze po tym, jak Jakub R. wyda decyzję w sprawie Mokotowskiej 63. […] ja z banku odebrałem w gotówce całą kwotę 2 mln zł. Prosiłem w banku, żeby nominały były w banknotach 200-złotowych, tak żeby pieniądze zajmowały jak najmniej miejsca.

Ja pieniądze zapakowałem w torby – aktówki. Ja nie zdawałem sobie sprawy, ile tych pieniędzy będzie. Pamiętam, że miałem problemy, żeby tę torbę dopiąć. Pamiętam to dlatego, że jak przyszedłem do D., to ona po wyjęciu przeze mnie pieniędzy miała do mnie pretensje, że było widać, że wchodzę do niej z pękatą torbą, a wychodzę z pustą. Ja z pieniędzmi do D. przyjechałem sam swoim samochodem, mercedesem ML. Ja wypakowałem pieniądze na stół. Pamiętam, że potem, po kilku latach, D. się chwaliła, że to mieszkanie sprzedała…

Prawomocna decyzja dotycząca Mokotowskiej 63 została wydana na Mirosława B. albo na jego spółkę Pl. Następnie został podpisany akt notarialny, na podstawie którego 50 proc. udziału w roszczeniach do gruntu i we własności budynku nabyła moja siostra Marzena K. i teściowa B.

Następne łapówki dla Aliny D. i Jakuba R. zapłaciliśmy w związku z decyzjami dotyczącymi Borzymowskiej […] w roku 2011. W tym okresie byłem z D. w stałym kontakcie odnośnie Chmielnej. […] D. złożyła mi propozycję nie do odrzucenia. Ona zażądała od mnie łapówek za każdą decyzję, która przechodziła przez naszą kancelarię. Mieliśmy płacić łapówki w wysokości 10 proc. Za Borzymowską żądała 25 proc.

> Podczas tego spotkania D. powiedziała, że jest możliwość zwrotu tej nieruchomości za 2 mln zł. Byłem zszokowany kwotą

STAŁY CENNIK

Robert N.: *Chcę jednak wyraźnie podkreślić, że w okresie, kiedy Jakub R. wydawał w Biurze Gospodarki Nieruchomościami decyzje z upoważnienia prezydent Miasta Stołecznego Warszawy, to myśmy od każdej takiej decyzji płacili albo 25 proc., albo 10 proc. wartości odszkodowania w zależności od kategorii spraw. Pamiętam nawet, że Alina D. pokazywała mi wydruk spraw, w których Jakub R. wydawał te decyzje odszkodowawcze na rzecz mojej kancelarii. Ona w oparciu o te wykazy rozliczała się ze mną za każdą decyzję odszkodowawczą. Odnośnie mechanizmu wpłacania łapówek Jakubowi R. i Alinie D. zawsze było tak, że dostawałem sygnał o tym, że muszę się spotkać z D. i jej zapłacić. Oprócz łapówek, które dawaliśmy za decyzje odszkodowawcze, miały miejsce sytuacje, że płaciliśmy również za decyzje zwrotowe. Płaciliśmy łapówki w związku z decyzjami dotyczącymi nieruchomości przy Nowy Świat 63 – 1 mln zł, przy Grójeckiej – nie mniej niż 300 tys. zł, Młocińskiej 5/7 – nie mniej niż 30 tys. zł.*

WSPÓŁPRACA PO BGN I REJS NA IBIZĘ

Robert N.: *Jak Jakub R. odszedł z Urzędu Miasta Warszawy, zjawił się w mojej kancelarii w związku ze sprawą Chmielnej 70. […] powrócił do rozmów na temat rozliczenia się za decyzje reprywatyzacyjne i dalszej współpracy w tym zakresie. Najpierw Jakub R. powiedział o kontynuacji współpracy. […] Jak mu o tym* [Januszowi P. – dop. red.] *powiedziałem, a on stwierdził: „Co R. teraz, kur…, może, skoro nie ma długopisu?”. On* [Jakub R. – red.] *podczas kolejnego spotkania przyniósł wykaz urzędowy wszystkich odszkodowań zakwalifikowanych do wypłaty. Na tym wykazie były również nasze odszkodowania. Z tego, co się zorientowałem, nasze odszkodowania nie były w czołówce. […] Jakub R. powiedział mi w tej rozmowie, że może wpłynąć na to, żeby nasze odszkodowania w urzędzie były traktowane priorytetowo. […] Ustaliliśmy z Januszem, że trzeba negocjować jak najniższy procent. […] R. przekazywałem łapówki co najmniej do 2015 r. Wręczyłem mu łapówki mniej niż 10 razy. Łącznie nie mniej niż 3 mln zł.*

Ja mówiłem do Jakuba R.: „To dla ciebie”. R. brał torbę i wychodził tylnym wyj-

35/02/18/F

eprasa.pl 8bef0554e8

ściem z kancelarii. […] w 2016 r., w lecie, miała miejsce taka sytuacja, że Jakub R. zaprosił [Janusza P. – red.] *na swoją łódź. I razem popłynęli z Walencji na rejs na Ibizę. Wiem, że to trwało tydzień.*

KONEKSJE RODZINY R. I ZNANY MECENAS

Robert N.: *Chciałem jeszcze dodać, że ja obawiam się Grzegorza M.* [byłego dziekana Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie – dop. red.] *i rodziny R. w związku z tym, co wyjaśniam. Zdaję sobie sprawę, że moje wyjaśnienia ich pogrążają. Wiem, że Grzegorz M. bronił gangsterów typu „Pershing" i „Rympałek", „Oczko" oraz Kiszczaka i Jaruzelskiego. Miał duże poważanie w palestrze, o czym świadczą nie tylko nazwiska klientów, ale także fakt, że był wieloletnim rzecznikiem dyscyplinarnym Okręgowej Rady Adwokackiej. […] ma poważne koneksje. O tym, kogo bronił i jakich ma klientów, opowiadał mi sam Grzegorz M. już w 2016 r. po wybuchu afery reprywatyzacyjnej. […] Grzegorz M. był słupem Jakuba R., co jego też obciąża.*

Odnośnie Grójeckiej, to korzyść majątkową, którą przekazałem Alinie D. […] Pamiętam, jak Alina D. zadzwoniła do mnie i powiedziała, że syn podpisał decyzję i trzeba się spotkać i rozliczyć. […] Oczywiście płaciliśmy D. też 10 proc. od zwrotów – za wyjątkiem Borzymowskiej, gdzie zostało to ustalone na 25 proc.

Janusz P.: *Gdy w prasie pojawiły się pierwsze artykuły dotyczące reprywatyzacji Chmielnej 70, Grzegorz M. był przerażony i uważał, że kwestią czasu jest, że Robert i ja, i on również zostaniemy tymczasowo aresztowani jako zorganizowana grupa przestępcza. […] Robert się z tego śmiał i bagatelizował jego słowa.*

NIC BEZ ICH ZGODY I NIC ZA DARMO

Janusz P.: *W zasadzie podział był taki, że ja otrzymywałem 25 proc., a Robert 75 proc. wartości przyznanego odszkodowania. Robert, żądając ode mnie wysokich prowizji, uzasadniał je tym, że musi się z „nimi" podzielić – z Jakubem R. oraz Aliną D. Robert mówił zawsze „oni" lub „pani mecenas", ale obaj doskonale wiedzieliśmy, że chodzi o Alinę D. i Jakuba R. […] Żadna korzystna dla nas decyzja nie mogła zapaść bez wiedzy i zgody mecenas D. […] Robert N. powiedział mi wprost, że mec. D. niczego nie robi za darmo.*

Gdy w 2015 r. oświadczyłem Robertowi, że nie będę nigdy więcej płacił za żadną decyzję, to ziściły się obietnice Roberta i nie dostałem już żadnej decyzji odszkodowawczej, odnośnie której nie ma żadnych przeszkód, żeby ją realizować. […] W zamian za łapówki otrzymaliśmy od Aliny D. gwarancje, że decyzje, które i tak musiały zostać na naszą rzecz wydane, zostaną wydane w nieodległym terminie […].

HARACZ ZA CHMIELNĄ 70

Janusz P.: […] *Ja w 2012 r., w trakcie skupowania ostatnich roszczeń do*

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

Chmielnej 70 – chyba w tym okresie zostały do podpisania dwie ostatnie umowy przedwstępne – dowiedziałem się od Roberta N., że trzeba będzie zapłacić łapówkę za wydanie decyzji zwrotowej. Robert N. powiedział mi o tym w rozmowie sam na sam. Robert powiedział mi, że „oni" [Jakub R. i Alina D. – dop. red.] *zażądali 50 proc. roszczeń Chmielnej 70, które chcieli dostać za darmo, jako „prowizję" i warunek wydania decyzji zwrotowej przez BGN. To nie był pierwszy raz, jak Robert N. w rozmowie ze mną posługiwał się terminem „oni", mówiąc o łapówkach. My już wówczas płaciliśmy łapówki za Borzymowską, które wyglądały tak, że ja przekazywałem żądane kwoty pieniędzy Robertowi N., który zapewniał mnie, że tyle samo dokłada od siebie i całość pieniędzy przekazuje Alinie D., a za jej pośrednictwem również Jakubowi R., który te decyzje podpisywał.*

ŁAPÓWKA PRZY WÓDCE I „TOWAR"

Robert N.: *Razem z Januszem P. zabiegaliśmy o to, by zaprosić Krzysztofa R.* [wówczas kierownika Działu Nieruchomości i Związków Wyznaniowych w BGN – dop. red.] *poza urząd i żeby się z nim poznać na etapie prywatnym. Krzysztof R.* [...] *nadzorował pracę podległych mu urzędników ratusza, którzy prowadzili postępowania administracyjne i przygotowywali w tym zakresie projekty decyzji administracyjnych dla osób je podpisujących z upoważnienia prezydenta, w tym Jakuba R. My zabiegaliśmy o kontakty z Krzysztofem R. ok. 2011 r. Ten kontakt był w tym okresie uzasadniony z tego powodu, że my dopiero mieliśmy „towar", tzn. zasadne roszczenia odszkodowawcze.* [...]. *Chcieliśmy, aby nikt „na dole" z urzędników ratusza nie blokował naszych spraw odszkodowawczych. Podczas tego spotkania* [w mieszaniu Roberta N. – dop. red.] *spożywaliśmy alkohol – wódkę. Krzysztof R. został u mnie na noc i ode mnie poszedł do pracy.* [...] *Drugie spotkanie było już bardziej konkretne.* [...] *Ustaliliśmy z Krzysztofem R., że będziemy współpracować.*

Ja podczas tego spotkania zapytałem wprost, dlaczego jedni tak dużo odszkodowań dostają, a inni nie dostają, i co można zrobić, żeby być w grupie tych, którzy odszkodowania dostają. On mi powiedział, że potrzebna jest współpraca finansowa. To, że mieliśmy Krzysztofa R. po naszej stronie, powodowało, że on oddziaływał na przyspieszenie pracy urzędników w naszych sprawach, co potrafiło skrócić postępowanie nawet o rok. [...] *Ja z Krzysztofem R. uzgodniłem, że my z Januszem P. będziemy mu przekazywali pieniądze wtedy, jak będziemy dostawać odszkodowania. Był dla nas tylko elementem układanki.* [...] *My już wiedzieliśmy, że jak Krzysztof R. doprowadzi do przedłożenia Jakubowi R. projektu decyzji, to ta decyzja na pewno zostanie podpisana. Byliśmy już w tym zakresie umówieni z Aliną D., matką Jakuba R.* [...] *Wspólnie z Januszem P. ustaliłem, że każdorazowo będziemy Krzysztofowi R. wręczać pieniądze w kwotach po 20 lub 30 tys. zł.*

> Wręczyliśmy Krzysztofowi R. nie mniej niż 300 tys. zł. Umawialiśmy się telefonicznie lub przez esemes. Wtedy zawsze był ten sam kod – umawialiśmy się na „oglądanie meczu"

Wręczenie łapówki wyglądało w następujący sposób. [...] *R. przyszedł, napiliśmy się wódki i zjedliśmy.* [...] *z szafy wyjąłem przygotowane na ten cel pieniądze w kwocie 20 tys. zł. To był plik pieniędzy w gotówce o nominałach 100 lub 200 zł zawinięte gumką. Krzysztof R. pieniądze przyjął, nie przeliczył.* [...] *Łapówki wręczałem przez okres pięciu lat, do czasu wybuchu afery reprywatyzacyjnej w mediach. On* [Krzysztof R. – dop. red.] *zawsze sugerował, że kwota 20 tys. to trochę za mało. Wręczyliśmy Krzysztofowi R. nie mniej niż 300 tys. zł.* [...] *Umawialiśmy się telefonicznie lub przez esemes. Wtedy zawsze był ten sam kod – umawialiśmy się na „oglądanie meczu".*

ODWET ZZA KRAT

Ludzie mafii reprywatyzacyjnej pozostają w areszcie, ale wcale nie składają broni. Jakub R. od jesieni ubiegłego roku rozsyła donosy na ludzi, którzy wsadzili go do kryminału. Na celowniku byłego warszawskiego urzędnika i niektórych mediów, w tym „Gazety Wyborczej", która opiera swoje publikacje na donosach Jakuba R., znaleźli się ludzie, dzięki którym rozbito przestępczą reprywatyzacyjną szajkę – minister Mariusz Kamiński, jego zastępca Maciej Wąsik oraz szef CBA Ernest Bejda. Pod ich adresem, a także prokuratorów prowadzących śledztwo, Jakub R. kieruje absurdalne zarzuty. W jednym z pism skierował do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez funkcjonariuszy CBA, ale jednocześnie odmawia składania zeznań. Czyżby się bał? Jako świadek musiałby bowiem składać zeznania pod rygorem odpowiedzialności karnej.

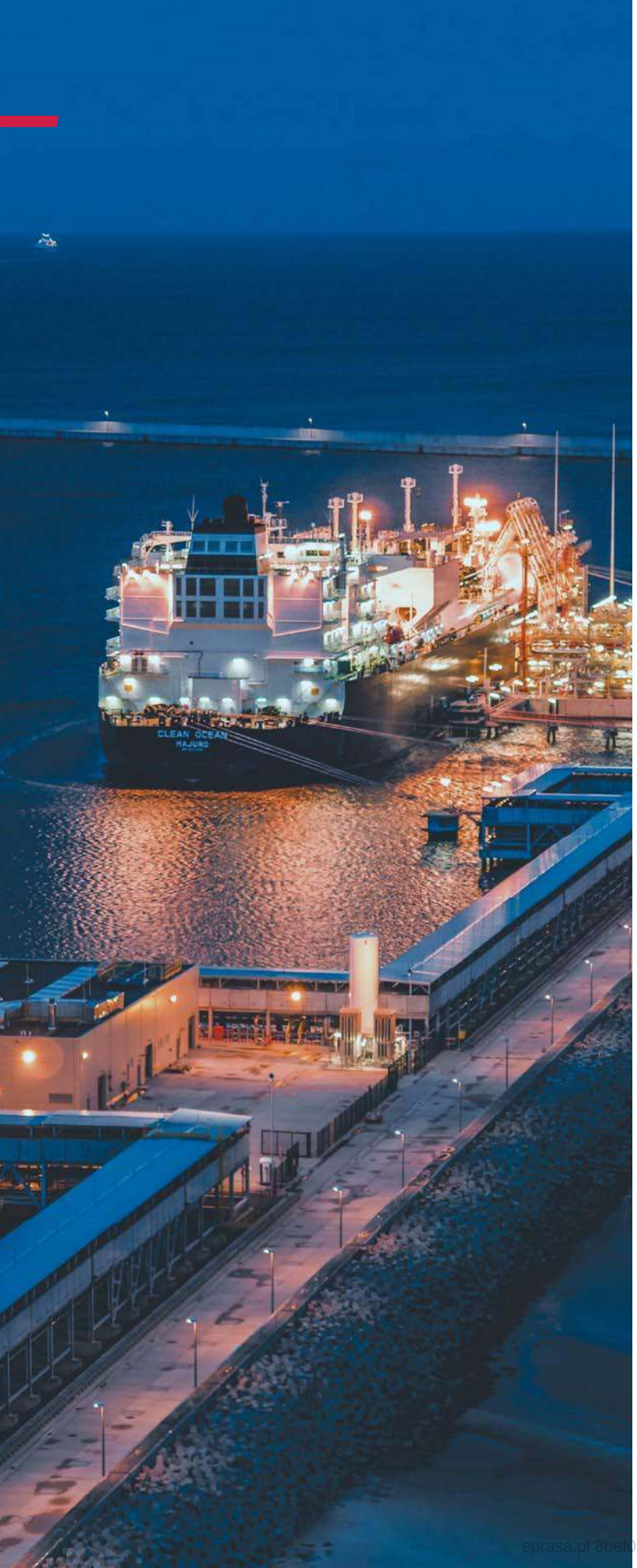
Do internetu trafiają prywatne zdjęcia sprzed lat Macieja Wąsika z imprezy imieninowej brata Jakuba R. – Marcina Rudnickiego. Obaj się znają, byli kolegami z liceum i studiów, ale od lat nie mają ze sobą kontaktu. Ale tu fakty nie są ważne. Dla Jakuba R., wspierających go polityków i mediów ważna jest serwowana przez nich insynuacja, że afera reprywatyzacyjna została nakręcona przez PiS.

Te ataki nie biorą się znikąd. Jakub R. wciąż ma wiele do stracenia. Możliwe, że z pieniędzy pochodzących z korupcyjnego procederu mogła korzystać cała jego rodzina. Gigantyczne kwoty przechodziły między kontami. Pojawiają się tu darowizny i nieruchomości.

– Nigdy nie otrzymywałem żadnych darowizn. To są oczywiste bzdury. Wszystkie zarzuty, które stawia prokuratura mojej mamie i mojego bratu, to są pieniądze wirtualne, które nie istnieją i nie istniały. Prokuratura nie ma na to żadnych dowodów. To wszystko jest dęte, to przewał – komentuje w rozmowie z „Sieci" Marcin Rudnicki.

31/0218/F

eprasa.pl 8bef0554e8



Bezpieczeństwo

dzięki dywersyfikacji

PGNiG od lat stoi na straży energetycznego bezpieczeństwa Polski. Zapewnienie nieprzerwanych dostaw gazu i ropy odbiorcom indywidualnym oraz przedsiębiorstwom to efekt konsekwentnie realizowanej strategii biznesowej oraz polityki dywersyfikacji źródeł pozyskiwania surowców.

Dzięki koncesjom na eksploatację złóż w Norwegii, projektowi Baltic Pipe, dostawom gazu typu LNG przez gazoport im. Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu oraz stałemu zwiększaniu zdolności wydobywczej ze złóż krajowych niezmiennie utrzymujemy pozycję lidera na polskim rynku.

PGNiG

eprasa.pl 8bef0554e8

Przedwyborcze scenariusze Jarosława Kaczyńskiego

Obecna konfiguracja obozu władzy wcale nie musi być ostateczna. Wszystko zależy od skuteczności rządu Mateusza Morawieckiego na arenie międzynarodowej, ale też utrzymania społecznego poparcia dla Zjednoczonej Prawicy w Polsce



STANISŁAW JANECKI

Jeśli ktoś sądzi, że trwająca wiele tygodni rekonstrukcja rządu na przełomie lat 2017–2018 wyłoniła ostateczną wersję gabinetu Zjednoczonej Prawicy do wyborów w 2019 r., powinien takie przekonanie porzucić. Z wiarygodnych źródeł dowiedziałem się, że Jarosław Kaczyński dopuszcza następne zmiany w rządzie, nawet bardzo radykalne (zmiana filozofii rządzenia i relacji między koalicjantami w ramach Zjednoczonej Prawicy), gdyby nawarstwiające się problemy nie zostały rozwiązane, ale uległy kumulacji. Zakłada też korektę obecnego kształtu gabinetu Zjednoczonej Prawicy. Jeśli doszłoby do zmian, mogłyby one zostać przeprowadzone jeszcze w 2018 r. (np. na początku września) lub na początku roku 2019.

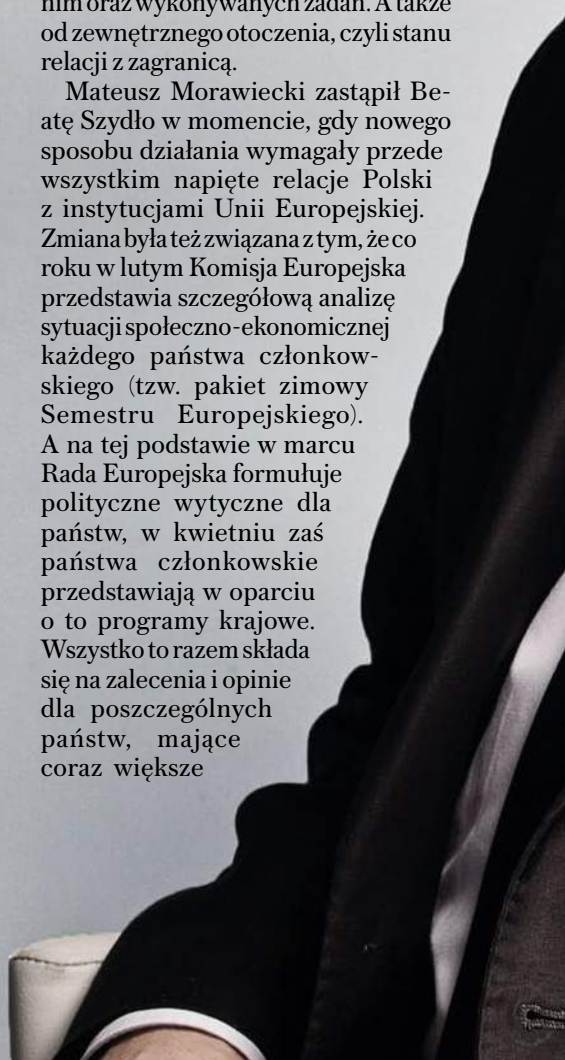
Przeciwko rewolucji czy znaczącej ewolucji w 2018 r. przemawiają setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości i wybory samorządowe, lecz i to nie jest gwarancją, że kolejnej rekonstrukcji nie będzie. Ciężar organizowania obchodów setnej rocznicy spada bowiem na prezydenta Andrzeja Dudę, czyli najbardziej stabilne ogniwo w polskiej polityce do lata 2020 r. Optymalny politycznie byłby początek 2019 r., czyli już po wyborach samorządowych i przed wyborami do europarlamentu (prawdopodobnie pod koniec maja 2019 r.). Chyba że gabinet Mateusza Morawieckiego zrealizuje najważniejsze cele, jakie przed nim postawiono, a sam premier poradzi sobie z ewentualną niefunkcjonalnością poszczególnych resortów, gdyby coś takiego nastąpiło. Obecnie pozycja Morawieckiego nie jest zagrożona.

Już wymiana premiera w grudniu 2017 r. i rekonstrukcja w styczniu 2018 r. wskazują na ewoluowanie rządu w stronę ciała coraz bardziej technicznego, z przesunięciem najważniejszych kwestii politycznych do Prawa i Sprawiedliwości. Zmiany mogą być kolejnym krokiem w „technicyzacji" rządu lub – wręcz przeciwnie – zmierzać do uczynienia rządu najważniejszym, a wręcz jedynym ośrodkiem dyspozycji politycznej. Oba scenariusze są możliwe. Ten techniczny wydaje się najlepszy w związku z rozwiązywaniem problemów w polityce zagranicznej i w relacjach z instytucjami Unii Europejskiej, w tym stworzenia bezpiecznej dla Polski perspektywy pracy nad kolejnym wieloletnim budżetem UE (na lata 2021–2027 lub w skróconej perspektywie 2021–2025). Ten polityczny wariant byłby preferowany, gdyby udało się uspokoić sytuację wokół Polski, a wtedy najważniejsze byłyby cele wewnętrzne, w tym przygotowanie do wyborów parlamentarnych w 2019 r. i utrzymanie wysokiego poparcia społecznego, zbudowane przede wszystkim na bezpieczeństwie socjalnym i stabilnej perspektywie bogacenia się przeciętnych obywateli.

RZĄD ZADANIOWY

Rząd Beaty Szydło wydawał się gabinetem na cztery lata, a przetrwał nieco ponad dwa. Trwanie rządu Zjednoczonej Prawicy w konkretnej wersji nie zależy bowiem przede wszystkim od kalendarza wyborczego i kwestii personalnych, lecz od stawianych przed nim oraz wykonywanych zadań. A także od zewnętrznego otoczenia, czyli stanu relacji z zagranicą.

Mateusz Morawiecki zastąpił Beatę Szydło w momencie, gdy nowego sposobu działania wymagały przede wszystkim napięte relacje Polski z instytucjami Unii Europejskiej. Zmiana była też związana z tym, że co roku w lutym Komisja Europejska przedstawia szczegółową analizę sytuacji społeczno-ekonomicznej każdego państwa członkowskiego (tzw. pakiet zimowy Semestru Europejskiego). A na tej podstawie w marcu Rada Europejska formułuje polityczne wytyczne dla państw, w kwietniu zaś państwa członkowskie przedstawiają w oparciu o to programy krajowe. Wszystko to razem składa się na zalecenia i opinie dla poszczególnych państw, mające coraz większe



eprasa.pl 8bef0554e8



znaczenie, także w sensie skutków finansowych, choć formalnie niemające mocy wiążącej. Zalecenia nie mają takiej mocy, ale wywołują konkretne skutki prawne, co wzmacniają orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu. Zalecenia formułowane wobec Polski do kwietnia 2018 r. mogą zawierać takie warunki, które nie będą dla Polski korzystne (można w nich ukryć nawet quasi-sankcje). I temu mają się przeciwstawić premier Mateusz Morawiecki oraz jego ministrowie. Ale głównie temu, żeby zablokować powiązanie mechanizmu tworzenia wieloletniego budżetu UE i finansowania konkretnych celów z kryterium praworządności. Te sprawy będą rozstrzygane w najbliższych miesiącach i staną się testem skuteczności rządu.

Wszystkie obecne działania premiera Morawieckiego w UE są nastawione na zmniejszenie napięcia wokół Polski i zablokowanie możliwości użycia jakiegoś rodzaju sankcji. I dotychczasowe efekty są zachęcające. Jeśli Polska nie będzie poszkodowana w trakcie tworzenia nowej perspektywy budżetowej UE, pozycja Mateusza Morawieckiego bardzo się wzmocni.

Zmiana premiera w grudniu 2017 r. i rekonstrukcja rządu w styczniu 2018 r. nastąpiły w ostatnim momencie przed uruchomieniem dorocznych procedur Semestru Europejskiego. Zaszły też w bardzo gorącej fazie konfliktu z Komisją Europejską w sprawie praworządności oraz w momencie, gdy Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej zajmował się kilkoma ważnymi dla Polski sprawami, m.in. kwestią Puszczy Białowieskiej. Zmiany wynikały zatem z bardzo praktycznych przesłanek. Nowy rząd miał rozwiązać konkretne kłopoty i ten proces trwa. A skład rządu zależy od jego skuteczności w rozwiązywaniu problemów.

Niedokończona jeszcze redukcja liczby wiceministrów zaledwie po około ośmiu tygodniach od rekonstrukcji dowodzi, że skład rządu cały czas może ewoluować. Tym bardziej że pojawiły się nowe problemy i nowe zagrożenia, przede wszystkim w stosunkach polsko-amerykańskich i polsko-izraelskich. Do tego dochodzi sprawa ewentualnej oceny zmian w polskim sądownictwie w związku z pytaniami prawnymi skierowanymi przez irlandzką sędzię Aileen Donnelly do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (w związku z wnioskiem o ekstradycję przestępcy narkotykowego Artura C.). O ile TSUE uzna, że może rozstrzygać takie

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8bef0554e8

kwestie, co byłoby niebezpiecznym precedensem zachęcającym inne sądy i instytucje UE do podobnych działań przeciwko Polsce.

PRAGMATYCZNY LIDER

Jarosław Kaczyński, najbardziej doświadczony z wciąż czynnych polityków działających po 1989 r., wbrew pozorom jest też liderem najbardziej elastycznym, pragmatycznym i reagującym na rzeczywistość. Przede wszystkim reagującym personalnie. Tak postępował już zresztą na początku lat 90., gdy porzucił funkcję szefa kancelarii prezydenta Lecha Wałęsy, choć dawała mu ona wielkie polityczne możliwości i wpływ na polską politykę. Bardzo elastycznie i pragmatycznie zachował się też kilka tygodni później, gdy w grudniu 1991 r. powstawał rząd Jana Olszewskiego, formalnie mający tak małe zaplecze w Sejmie (114 posłów), że wydawało się nierealne, iż zostanie sformowany. A tym bardziej pod przewodnictwem Jana Olszewskiego. To wtedy Jarosław Kaczyński namówił PSL do poparcia gabinetu Jana Olszewskiego, choć sam nie odniósł z tego powodu korzyści. Pragmatycznie reagował w 2005 r., gdy PiS wygrało wybory parlamentarne, lecz nie powiodła się koalicja z PO. Usunął się w cień, wystawiając Kazimierza Marcinkiewicza, który akurat wtedy nie budził negatywnych emocji, a jego rząd był wyjątkowo pluralistyczny personalnie. To było ważne, aby w głosowaniu nad wotum zaufania zyskać poparcie nie tylko Samoobrony i LPR, lecz także PSL, choć żadne z tych ugrupowań nie weszło do rządu. Przecież koalicja z LPR i Samoobroną została zawarta dopiero w maju 2006 r. I była tak niestabilna oraz kłopotliwa, że dopiero wtedy Jarosław Kaczyński zdecydował się zostać premierem. Równie pragmatycznie postępował po wygranych wyborach w 2015 r.

Posiadanie różnych wariantów rządowych, w tym awaryjnych, jest stałą cechą polityki Jarosława Kaczyńskiego. Podobnie jak prymat konkretnych zadań nad trwaniem przy jednej strategii rządzenia mimo zmiany warunków i otoczenia. Pod tym względem Jarosław Kaczyński jest bez porównania bardziej elastyczny niż Donald Tusk, który w swoim obozie miał podobną do niego pozycję. Takie konkretne zadania ma do wykonania premier Morawiecki: w UE – z naciskiem na „przyjazny" dla Polski, nierestrykcyjny budżet; w relacjach z USA (właściwe jedynym gwarantem bezpieczeństwa Polski), z Niemcami, Francją, a ostatnio także z Izraelem; w lewarowaniu znaczenia Grupy Wyszehradzkiej i Trójmorza, w dowartościowaniu państw bałtyckich. W tym wszystkim chodzi o zminimalizowanie zewnętrznego zagrożenia dla polskich reform. One byłyby atakowane w każdym wariancie personalnym rządu Zjednoczonej Prawicy ze względu na swoją nieprawomyślność dla unijnego i zachodniego establishmentu, choć dla Polski są one niezbędne.

Gry personalne preferowane przez Jarosława Kaczyńskiego są skuteczną metodą zarządzania kryzysem, który był nieuchronny. I to uzasadnia istnienie kolejnych wariantów zmian w rządzie, gdyby były one potrzebne. A mogą być potrzebne, gdyż wbrew opozycji i jej mediów Zjednoczona Prawica i jej rząd wcale nie wytwarzają problemów, ale przeważnie je detonują na własnych warunkach. Oczywiście z małymi wyjątkami, jak w relacjach polsko-izraelskich, ale nie wszystko da się przewidzieć. A problemy są związane z charakterem i skalą zmian w Polsce. Nie byłoby ich, gdyby rząd robił to, co PO, czyli nic. Skoro robi, naraża się na ataki, które są neutralizowane także zmianami personalnymi w rządzie.

BLIŻEJ PREZYDENTA

Scenariusz Jarosława Kaczyńskiego na lata 2018–2019 zakłada bliższe niż w latach 2016–2017 współdziałanie z prezydentem Andrzejem Dudą, gdyż miał on znaczący udział w zwycięstwie w 2015 r. Co prezes Kaczyński podkreśla, jest ideowo bliski obozowi Zjednoczonej Prawicy i będzie prezydentem przynajmniej do lata 2020 r. Andrzej Duda będzie częściej i intensywniej wykorzystywany w polityce zagranicznej, co zresztą jest już widoczne w relacjach z USA. Tym bardziej, że polski prezydent będzie wyjątkowo aktywny w ONZ, a to w związku z naszym przewodnictwem w Radzie Bezpieczeństwa w maju 2018 r. Po różnych nieporozumieniach z Andrzejem Dudą w przeszłości, w latach 2018–2019 ma nastąpić harmonijna współpraca, czego początkiem jest wygaszenie konfliktów miedzy MON a BBN i samym prezydentem jako zwierzchnikiem sił zbrojnych. W kwestiach obronności ma być wspólne działanie, podobnie jak w polityce zagranicznej. Nie ma też mowy o rywalizacji rządu czy premiera z prezydentem, co zdarzało się w przeszłości. I za tymi zmianami w relacjach z Andrzejem Dudą stoi Jarosław Kaczyński.

Na razie scenariusz Kaczyńskiego nie przewiduje zmiany formuły koalicyjnej Zjednoczonej Prawicy, ale relacje PiS z Porozumieniem i Solidarną Polską mogą ewoluować. Obecnie szczególnie partia Jarosława Gowina wzmacnia się, przejmując polityków i dawnych zwolenników PO, Nowoczesnej czy generalnie ludzi o poglądach wolnorynkowych. I wszystko to jest uzgodnione.

Jednak problemy pojawią się przy pierwszych wyborach (samorządowych), gdy konstruowane będą listy kandydatów. W Warszawie już je zresztą widać, co opóźnia wskazanie lidera Zjednoczonej Prawicy. Dotychczas prezes PiS pozostawiał koalicjantom wolną rękę także w kwestiach personalnych, ale wobec zbliżających się wyborów może być zawarte porozumienie inaczej to regulujące, gdyż i tak decyzje personalne są przez opinię publiczną wiązane z PiS, a nie jego partnerami. Zresztą decyzja premiera o zmniejszeniu liczby wiceministrów już wydaje się jaskółką zmian w tej mierze, skoro premier miał tu decydujący głos.

W scenariuszu Jarosława Kaczyńskiego chodzi o takie funkcjonowanie wszystkich elementów władzy, żeby przeprowadzić niezbędne reformy, osłonić je przed zewnętrznymi atakami, pilnować rządzących przed demoralizacją i patologiami, przeprowadzić trwałe zmiany hierarchii autorytetów i prestiżu, a jednocześnie nie stracić poparcia społecznego, wręcz je powiększyć i zapewnić sobie rządzenie co najmniej przez kolejną kadencję. To wymaga wielu narzędzi, a gry personalne i różne scenariusze dotyczące składu rządu są tu narzędziem poręcznym i skutecznym. Dlatego obecna konfiguracja władzy wcale nie musi być ostateczna.

eprasa.pl 8bef0554e8

Rok wykorzystanych możliwości



Energa, jedna z największych w Polsce grup elektroenergetycznych, podsumowała 2017 r. Należał do najlepszych od lat i daje podstawy do wiary w dalszy dynamiczny rozwój firmy

Ogłoszone w połowie marca całościowe wyniki Grupy Energa za 2017 rok robią wrażenie. EBITDA w porównaniu z ubiegłorocznym wzrósł aż o 133 mln zł, do poziomu 2,16 mld zł. Jeszcze bardziej imponujący okazał się zysk netto – Energa odnotowała tu wynik o 642 mln zł wyższy niż za rok 2016.

SUKCESYWNY WZROST

Tradycyjnym motorem napędowym grupy była dystrybucja z mocnym EBITDA, który w 2017 wzrósł do 1,723 mld zł. Znaczące wzrosty odnotowały pozostałe Linie Biznesowe Grupy, Wytwarzanie i Sprzedaż. Szczególnie dla tej drugiej ubiegły rok należał do pomyślnych, poprawiła bowiem swój wynik EBITDA ponaddwukrotnie – z 40 mln zł w 2016 do 85 mln zł w 2017. EBITDA Wytwarzania wzrósł z kolei, w stosunku do wcześniejszych 12 miesięcy, o ponad jedną czwartą – do 398 mln zł.

– Uznajemy rok 2017 za bardzo udany dla Grupy Energa. Zadowolenie jest tym większe, że dobre wyniki osiągnęliśmy w warunkach coraz większej presji ze strony konkurencji i ograniczeń ze strony regulatorów rynku – podkreśla Alicja Barbara Klimiuk, p.o. prezes zarządu Energi SA.

ROK ODWAŻNYCH DECYZJI

Tak udany wynik jest owocem ciężkiej pracy, a także wielu śmiałych decyzji, jakie w ubiegłym roku podejmował nowy zarząd Energi SA po rozpoczęciu funkcjonowania w marcu. Na czele z ówczesnym prezesem Danielem Obajtkiem rozpoczął przede wszystkim proces zmian w strukturze całej grupy, sukcesywnie redukując liczbę spółek, co pozwoliło na optymalizację pracy i skrócenie procedur decyzyjnych. System finansowy grupy również został wzmocniony przez ograniczenie liczby zleceń na realizację usług przez firmy zewnętrzne, bez strat dla działalności spółek.

Jednym z kluczowych posunięć była odważna decyzja z września, gdy Energa Obrót, lider Linii Biznesowej Sprzedaży w grupie, zaprzestała realizacji 22 umów sprzedaży praw majątkowych wynikających ze świadectw pochodzenia (chodzi o tzw. zielone certyfikaty). Jak wskazywały analizy prawne renomowanych kancelarii, zostały one zawarte z poważnym naruszeniem obowiązującego w kraju prawa zamówień publicznych. To posunięcie – jak wskazują władze zarówno spółki obrotu, jak i Energi SA – w perspektywie najbliższych lat może zaowocować oszczędnościami przekraczającymi 2 mld zł.

ROZBUDOWA I MODERNIZACJA

Niebagatelny wpływ na wskaźniki miały też wysokie nakłady inwestycyjne, które w ubiegłym roku wyniosły łącznie ponad 1,4 mld zł. Zdecydowana większość tej kwoty, bo ponad 1,2 mld zł, przeznaczona została na inwestycje w filar grupy, czyli dystrybucję. Rozbudowa i modernizacja ponad 3,5 tys. km sieci pozwoliła m.in. na podłączenie 52 tys. nowych odbiorców energii elektrycznej i przekroczenie przez Energę bariery 3 mln klientów.

– Nie spoczywamy na laurach. W nadchodzących latach realizowane będą kolejne inwestycje, także dzięki dofinansowaniu, jakie udało nam się pozyskać w 2017 r. Pozyskaliśmy 250 mln euro na modernizację sieci dystrybucyjnej w ramach „Planu Junckera" oraz 166 mln zł z Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko na lata 2014–2020 na inwestycje związane z wdrażaniem inteligentnej sieci elektroenergetycznej. Zrobimy z tych środków dobry użytek – zapewnia Jacek Kościelniak, wiceprezes zarządu Energi SA ds. finansowych.

Plany inwestycyjne spółki na najbliższe lata obejmują m.in. przystosowanie sieci do standardów Smart Grid, czemu posłuży dalsze instalowanie inteligentnego opomiarowania, a także automatyzacja i budowa nowoczesnych systemów magazynowania energii.

Fot. Shutterstock | 31/0118/F

eprasa.pl 8bef0554e8

Dzień apokalipsy



Fot. Zuzanna Kruschewska

Gdyby budować swoją wiedzę o dzisiejszej Polsce wyłącznie na podstawie tytułów w liberalnych mediach, trzeba by było dojść do wniosku, że największą katastrofą, jaka spotkała nasz kraj od czasów rozbiorów, był wprowadzony właśnie zakaz handlu w niedzielę



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Pustki jak z horrorów. Tak wyglądają warszawskie galerie w pierwszą niedzielę wolną od handlu" – alarmuje portal NaTemat.pl. „Normalnie w każdym z tych miejsc w niedzielę przemieszczają się tysiące osób. Potoki ludzkich mas wędrują korytarzami największych warszawskich galerii. Tymczasem dzisiaj jest przeraźliwie pusto". Publikacji towarzyszą zdjęcia zamkniętych na głucho sklepów, pustych alejek handlowych oraz przebijającego znad szklanych świetlików ponurego, szaroburego nieba. Dzięki tym obrazkom wkraczamy w sferę najgłębszych przeżyć przeciętnego leminga, widzimy nękający go od lat nocny koszmar, który w marcową niedzielę przybrał realny kształt.

BUNTOWAĆ SIĘ CZY NIE

Pytanie, czy ten koszmar, jakim jest gwałt na dotychczasowym stylu życia, pchnie leminga przeciwko pisowskiej władzy. Do tej pory pozostawał on raczej zdystansowany wobec organizowanej przez liberalną hipsterkę rewolty przeciw prawicy. Tamci demonstrowali, tupali pod Sejmem, czasem rzucili czymś w rządowe limuzyny, po czym zbierali pochwały na łamach „Gazety Wyborczej". On, owszem, ogląda „Fakty" w TVN, co tydzień uraczy się lekturą „Newsweeka" (aby nie stracić całkiem kontaktu ze słowem pisanym i „pogłębić" swoje refleksje nad rzeczywistością), ale na co dzień od rana do wieczora kupuje i sprzedaje zagraniczne towary w zagranicznej korporacji, przygotowuje prezentacje i ślęczy nad arkuszami kalkulacyjnymi, aby zyskać uznanie i premię od swojego – zwykle – zagranicznego pracodawcy. Słowem: haruje, aby wspiąć się wyżej w społecznej hierarchii. Na razie finansowo, ale marzy mu się – podobnie jak dozorcy Walendziakowi z „Czterdziestolatka" – że dzięki zdobytemu kapitałowi jego dzieci będą znanymi profesorami, lekarzami, adwokatami.

Czy ja z tego kpię? Trochę tak. Ale nie tyle z tych aspiracji, które – same w sobie – są godne pochwały, ile z naiwności, która każe lemingowi sądzić, że wystarczą pieniądze i imitacja cudzych wyborów, aby stać się pełnoprawnym członkiem społecznej elity. Leming najwyraźniej dostrzega, że coś w tej jego strategii jest nie tak, bo jednak – mimo wszystko – utrzymuje trwożny dystans wobec tych, którzy wydają mu się autorytetami. Pomimo zarabianych ciężko pieniędzy, kolejnych samochodów oraz wakacji w Egipcie zazdrości – i to mocno – chwały, jaką daje przynależność do liberalnej elity. Chciałby do niej dołączyć, ale wie, że to dla niego zbyt „wysokie progi", że same pieniądze nie dają mu wstępu, że ciągle mu czegoś brakuje i że w takim razie skoro nie on, to może jego dzieci zasłużą na upragniony awans. W ten sposób leming dowiaduje się o istnieniu kapitału kulturowego, choć w jego przypadku jest to wyłącznie wiedza intuicyjna.

To wszystko oznacza, że aspirujący leming stanowi dla liberalnej inteligencji ludowe zaplecze, tak jak dla konserwatywnej prawicy zapleczem jest zazwyczaj odrzucający obyczajowe przemiany katolik. Przy czym jeden i drugi może pochodzić zarówno z dużego miasta, jak i małej miejscowości lub wsi. Jednak właśnie duże miasto, jako miejsce awansu, stanowi naturalny magnes dla spragnionych nobilitacji lemingów, stąd ich widoczna przewaga wśród miejskiej ludności, przekładająca się potem na wyborcze wyniki wyraźnie faworyzujące w miastach obecną opozycję z PO na czele.

eprasa.pl 8bef0554e8

PODBURZANIE LEMINGA

Spór o handlowe niedziele daje opozycji pewne szanse na polityczne zaktywizowanie leminga. A jemu samemu pozwala się poczuć uczestnikiem „walki o demokrację". Tkwiący w tym potencjał dostrzegł – chyba przypadkowo – Tomasz Lis, który w grudniu zeszłego roku zwierzył się gorzko na Twitterze: „Byłem dwa dni temu w galerii handlowej. Gdyby frekwencja na demonstracjach przeciw deptaniu demokracji była taka jak w galeriach po świętach, PiS nie istniałby po tygodniu. Może Polska nie potrzebuje żadnego wielkiego projektu, ale zwykłej przeceny".

A zatem nie tumult w obronie sędziów, imigrantów lub Trybunału Konstytucyjnego, lecz zamknięcie sklepów w niedzielę może poruszyć antypisowski lud. Bo jest to odczuwalna ingerencja w świat, do którego ten lud się przyzwyczaił. Dodatkowym bodźcem może być wyraźna pogarda leminga dla stojącego od niego niżej w hierarchii społecznej pracownika handlu, któremu „nie chce się pracować". Tego „lenia" i „pijaka", który przekupiony za marne 500 zł domaga się kolejnych „przywilejów" i zatruwa swoją obecnością wypoczynek nad Bałtykiem.

Nic dziwnego, że w przeddzień „dnia apokalipsy", jakim była druga marcowa niedziela, pod galeriami handlowymi w całej Polsce ustawiły się grupki aktywistów PO, którzy w zmarzniętych dłoniach trzymali plakaty z hasłem „Wolność, nie zakazy" i obietnicą przywrócenia handlowych niedziel po powrocie do władzy. Można założyć, że pikiety, choć nieliczne, spełniły swoje zadanie. Bo były adresowane właśnie do klientów tych galerii, którzy w sobotę zaatakowali szturmem sklepy, kupując wszystko, co się da, tak jakby następował właśnie koniec świata. O czekającym wszystkich armagedonie alarmowały przecież przez cały tydzień liberalne media, obwiniając za nadchodzący kataklizm rządzącą prawicę.

Inna sprawa, że do podobnych szturmów na sklepy dochodziło i wcześniej, gdy zamykane były na święta, co może świadczyć zarówno o skłonności części naszego społeczeństwa do chomikowania (wspomnienie dawnej biedy?), jak i o niebezpiecznym uzależnieniu od zakupów.

ZAMKNIĘTE PRZEZ PIS

Zakupy wydają się esencją współczesnego liberalnego świata, niemalże celem ludzkiego istnienia. Pozbawianie człowieka tego „świętego prawa" jest przedstawiane jako zamach na jego wolność i prawa obywatelskie. I znów, warto tu posłużyć się cytatem z twitterowego filozofa Tomasza Lisa: „Załgana i świętoszkowata władza, pełna pazernych nieudaczników, w swej arogancji i bucie przyznaje sobie prawo decydowania, co ludzie mają robić i jak mają żyć".

Na tym tle dochodzi zresztą do – niekoniecznie może zaskakującego, ale charakterystycznego – sojuszu rozmaitych wolnościowców i neokorwinistów z liberalnymi postępowcami. Jedni i drudzy, choć wychodząc zwykle z odmiennych założeń, twardo krytykują niedzielny zakaz handlu. Pierwsi, bo widzą w nim kolejną ingerencję państwa (państwo, jak wiadomo, jest patologią, którą należy zwalczać), a drudzy, bo każdy pretekst jest dobry, aby uderzyć w PiS. Tu jeszcze jeden – obiecuję, że ostatni, za to bardzo szczery – cytat z Lisa: „W zakazie handlu w niedzielę gorsze niż treść zakazu jest to, kto i dlaczego zakazuje".

No właśnie, ważne jest, kto i dlaczego zakazuje. Bo trudno znieść świadomość, że PiS rządzi (i w związku z tym może czegoś zakazywać) i że zakazuje dlatego, aby ucywilizować nieco standardy pracownicze w Polsce, a także przywrócić choć trochę zatracony już świąteczny charakter niedzieli. To jasne, że mnóstwo branż pracuje w niedzielę, ale nie jest to wystarczający argument, aby uruchamiać galerie handlowe. Biorąc pod uwagę, że większość galerii i znajdujących się w nich sklepów należy do zagranicznych sieci, zadziwiające jest to samobójcze dążenie do nabijania zysków obcym firmom kosztem polskiego pracownika i wmawianie ludziom, że na tym polega wolność. To jest właśnie rezultat gospodarczej kolonizacji Polski, z którą próbuje walczyć rządząca prawica, bo przecież w większości krajów, z których wywodzą się obecne w Polsce sieci handlowe, w niedzielę większość placówek handlowych jest pozamykana. Trudno zatem zrozumieć, w czyim interesie tak naprawdę występują opozycja i wspierający ją liberalni publicyści. Unikałbym tu jednak teorii spiskowych. W walce z zakazem handlu kieruje nimi – moim zdaniem – głównie nienawiść do PiS oraz niezdolność do jakiejkolwiek głębszej refleksji.

BURZA W SZKLANCE WODY

Ustawa o zakazie handlu nie jest doskonała. Zawiera wiele luk i furtek, które już dziś wykorzystują handlowcy. Sklepy, które udają kawiarnie, galerie handlowe udające dworce kolejowe, stacje benzynowe zamieniane w minisupermarkety, wreszcie godziny otwarcia wydłużane bezlitośnie w soboty do północy. Pojawiają się również informacje o ściąganiu pracowników do sklepów w nocy z niedzieli na poniedziałek, aby ustawić towary na rano. A przecież instytucje państwowe, które powinny zapobiegać przypadkom łamania zakazu, nie pracują w dni wolne. I trudno mieć tu pretensje, skoro chodzi o to, aby niedziele były dla jak największej liczby osób wolne (skądinąd to niezły paradoks, że w drugiej dekadzie XXI stulecia toczymy w Polsce walkę o wolne niedziele – pokazuje to, jak daleko się cofnęliśmy w kwestii praw pracowniczych).

Nie ma więc żadnych wątpliwości, że zakaz handlu w niedzielę będzie omijany (co nie oznacza, że niezgodnie z prawem). Opozycja i wspierające ją media krzyczą o bublu prawnym, co jest przejawem groteskowej wręcz hipokryzji, bo przecież niby zależy im na tym, aby w niedzielę można było zrobić zakupy. I te zakupy będzie można zrobić, może nie w takim wyborze jak w dzień roboczy czy w sobotę (są przecież soboty) i może niekoniecznie w sklepie pod domem (jakby galerie handlowe były blisko). Dlatego sądzę, że luki te działają w istocie na rzecz rządzącej prawicy. Bo gdy pył bitewny opadnie i okaże się, że świat nadal istnieje, ludzie żyją, domy stoją, a słońce świeci, antypisowski lud wróci do codziennego zarabiania pieniędzy. A opozycja będzie musiała sobie znaleźć kolejną apokalipsę.

eprasa.pl 8bef0554e8



*Jacek Karnowski rozmawia z **Piotrem Glińskim**, wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego*

Cenzura w Polsce skończyła się w 2015 r.

Fot. Andrzej Wiktor

Nie będzie tak jak za rządów poprzedniej ekipy, gdy pewni twórcy i pewne tematy nie miały szans. Jako minister kultury mówię jasno: nie będę z powodu innych poglądów niczego cenzurował. Nie będę zabraniał twórcom robienia nawet głupich filmów

Czy dobra zmiana ma się dobrze? Sondaże są bardzo dobre, ale narasta poczucie, że obóz rządzący znalazł się w defensywie.

Piotr Gliński: Zgodzę się, że złapała nas trochę wizerunkowa zadyszka. To wynik zarówno naszych niedociągnięć, jak i pewnej ogólnej słabości państwa, wynikającej z zaniedbań kilkudziesięciu, a może i kilkuset lat. Nie jesteśmy przygotowani na takie kryzysy jak ten związany z ustawą o IPN.

To niewielkie pocieszenie.

Mamy świadomość, że mogliśmy zrobić więcej na tym polu. Szczerze mówiąc, był to chyba jeden z powodów zimowych zmian. Ale też nie da się tak wielu zaniedbań odrobić w ciągu kilkudziesięciu miesięcy. Dlatego dziwi mnie ta olbrzymia krytyka kierowana pod adresem Polskiej Fundacji Narodowej. Przecież to nie jest instytucja do działań ad hoc. Funkcjonuje krócej niż rok. A tu nagle na PFN zrzuca się całą winę za to, że jesteśmy niemal bezbronni wobec globalnej machiny propagandowej.

Jesteśmy dziś bezbronni?

W dużej mierze tak. Przyczyny sięgają co najmniej okresu po II wojnie światowej, gdy na Zachodzie trzeba było jakoś uzasadnić zdradę wobec Polski. I to się za nami ciągnie do dziś.

PFN ma duże pieniądze i to naturalne, że oczekiwania wobec niej są wysokie.

Dość emocjonalnie reaguję na krytykę PFN, bo nie rozumiem, dlaczego za kilka dekad zaniedbań ma odpowiadać wyłącznie instytucja, która dopiero powstaje? Pomysł pojawił się jesienią 2016 r., do marca 2017 r. trwało doprecyzowywanie statutu. Fundacja się rozkręca, zaczyna działać w USA i Izraelu, rozpoznaje teren do tej pory w Polsce nierozpoznany, musi działać szybko, ale i rozważnie.

Było dla pana zaskoczeniem, że w środowiskach żydowskich poziom niechęci wobec Polski jest aż tak wielki?

Było jasne, że antypolonizm jest żywy w wielu środowiskach. Są też instytucje, które uruchamiają mechanizmy propagandowe wzmacniające stereotypy. Polak to ma być ktoś z „Malowanego ptaka", czyli ze świata wymyślonego przez Jerzego Kosińskiego. To ma być ktoś z książek Grossa. A do tego ten obraz płynie również z kraju. Są u nas środowiska, które w istocie twierdzą, że ta nasza Polska jest nic niewarta, że nasze społeczeństwo to ciemnota, ksenofobia. I najlepiej grzecznie wykonywać wskazówki mocniejszych i bardziej wpływowych...

To prawda, wystarczy przywołać „Idę" czy „Pokłosie". A teraz film „Twarz" Małgorzaty Szumowskiej, silnie promowany w Niemczech. Czy takie filmy muszą wciąż powstawać?

„Twarz" to klasyczny film festiwalowy, sprawnie zrobiony, dobrze zagrany, a jednocześnie karykatura. Swego rodzaju

eprasa.pl 8bef0554e8

produkcyjniak z prostą jak cep tezą, że polskie społeczeństwo to kupa prymitywnych ksenofobicznych kretynów, do tego brzydkich nie tylko moralnie, lecz i fizycznie. A wszystko jest nudne, przewidywalne od początku do końca. No ale berlińskie festiwalowe elity są zachwycone...

Skoro tak, to może nie warto tego finansować?

Ja akurat nie decydowałem o tym finansowaniu, ale jako minister kultury mówię też jasno: niezależnie od tego, co się będzie działo, nie będę z powodu innych poglądów, nawet zdecydowanie innych, niczego cenzurował. Wierzę w demokrację, która musi umożliwiać różną ekspresję. Nie będę zabraniał twórcom robienia nawet głupich filmów. Tam gdzie jest wolność, tam musi być miejsce dla błędów, dla niezrozumiałej czasem dla kogoś czy dla mnie odmienności. Będę za to stosował kryteria artystyczno-pluralistyczne. I w tym kierunku zreformowaliśmy PISF.

Co to znaczy?

To znaczy, że nie będzie tak jak za rządów poprzedniej ekipy, gdy pewni twórcy i pewne tematy nie miały szans. Był teflonowy zamordyzm i iście europejska cenzura. Nie można było np. zrobić filmu o Pileckim, o Smoleńsku. Teraz można już takie filmy kręcić, ale nie oznacza to rewanżu w drugą stronę. Tym bardziej że taki kierunek byłby spełnieniem snów naszych przeciwników politycznych, bo oznaczałby, że przestajemy być krajem wolnym i demokratycznym. A my jesteśmy kochającą wolność demokracją, gdzie każdy może prezentować i wyrażać swoje poglądy.

Ale np. kraje zachodnie, choć są tam różne zjawiska, nie finansują propagandy wymierzonej przeciw sobie. Przynajmniej nie na taką skalę.

Tak, ale tam istnieje opinia publiczna. Coraz słabsza, często bezbronna, ale jednak istnieje. Generalnie nie wszystko tam ujdzie. A u nas przez wiele lat tego nie było. To od społeczeństwa zależy, czy będzie u nas przyzwolenie np. na antypolskie filmy. Sam rząd tego nie załatwi. Ja generalnie nie mogę arbitralnie decydować ex ante, co w sztuce jest antypolskie. Musimy wytworzyć mechanizmy opinii społecznej. Choć tam gdzie granice wolności innych ludzi i praw wspólnoty są ewidentnie przekroczone, np. w kwestii prowokacji Frljicia, podejmowałem trudne, lecz konieczne decyzje.

Może jest też tak, że grupa twórców niezależnych, niezwiązanych z lewicowo-salonową koterią jest zbyt mała, by mogła wykreować prawdziwą przeciwwagę?

Nie, to są istotne środowiska, wystarczy odwiedzić gdyński Festiwal „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci", organizowany już od dekady przez Arkadiusza Gołębiewskiego. Gdy porównamy tę imprezę z odbywającym się tydzień wcześniej Festiwalem Polskich Filmów Fabularnych, to możemy mówić o świecie biegunowo odmiennym. Ale przyznaję, nie jest to środowisko dominujące, przez całe lata spychane na margines, pozbawione środków publicznych. Nie odwrócimy tych proporcji metodami administracyjnymi, ale staramy się przeprowadzać pewną korektę. Tak działa klasyczne wahadło demokracji.

Każda próba naruszenia status quo spotyka się z wrzaskiem, że „wraca cenzura".

Na jednym z portali, finansowanym zresztą przez moje ministerstwo, przeczytałem, że przeprowadzam „stalinowskie czystki w teatrach", choć zmieniono z udziałem przedstawicieli ministerstwa, i to w trybie konkursowym, tylko 2–3 dyrektorów. Powtarzam, w Polsce cenzura administracyjna w sferze kultury skończyła się jesienią 2015 r. Ja takich metod nie stosuję i nie będę stosował. Zresztą wystarczy zobaczyć, jakie sztuki prezentuje wiele teatrów.

Jakie?

Takie, że nawet lewicowi krytycy bywają zażenowani tą dość prymitywną publicystyką, masowo obecnie tworzoną.

Gdzie więc szukać nadziei na zmianę? Wyborcy dobrej zmiany wybrali was także po to, by móc pójść do teatru na jakieś normalne przedstawienie.

Nadzieję pokładamy w tym, że w dłuższym okresie będziemy zmieniali postawy, doprowadzimy do tego, że iluś ludzi się otrząśnie. Bo ile można jechać tym nudnym banałem, w dodatku kompletnie odklejonym od rzeczywistości. Ile można opisywać władzę jako faszystów, antysemitów, a ostatnio złodziei. To przecież nie ma nic wspólnego z faktami. Ludzie to widzą. Jesteśmy jedyną ekipą polityczną, która szanuje swoje zobowiązania i traktuje Polaków poważnie. Sztuka, która zajmuje się absurdalną politgramotą, nie ma przyszłości. A wracając do pytania o nadzieję, to przede wszystkim tworzymy bardzo wiele instytucji już pokazujących alternatywę, które w przyszłości – wierzę – będą miały dobry wpływ na społeczeństwo.

O jakie instytucje chodzi?

Na przykład o ponad 20 nowych instytucji muzealnych. Współczesne muzea to miejsca edukacji, aktywne placówki, wychodzące na zewnątrz. W przyszłym tygodniu, mam nadzieję, wybierzemy wykonawcę Muzeum Historii Polski. To będzie wielka, godna placówka, której budowa była przez wiele lat blokowana przez naszych poprzedników. Równolegle na Cytadeli powstaje Muzeum Wojska Polskiego. Ruszyliśmy z Muzeum Kresów w Lublinie, Muzeum Sybiru w Białymstoku, w listopadzie otwieramy Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce. Budujemy Muzeum Piłsudskiego w Sulejówku. Chcemy upamiętnić i wbudować w świadomość społeczną niemiecką zbrodnię na inteligencji polskiej, m.in. tworząc Muzeum Piaśnicy. Zmieniamy Muzeum II Wojny Światowej zgodnie z prawem i z polską racją stanu. Powołujemy kilka placówek, które będą upamiętniały polskich Sprawiedliwych; m.in. rozbudujemy muzeum w Markowej, powstanie filia tej placówki w Nowym Jorku, powstanie także placówka w Ciepielowie. Pomagamy fundacji Lux Veritatis w upamiętnieniu Polaków ratujących Żydów, którzy z różnych względów nie zostali uhonorowani przez Yad Vashem. Powołaliśmy

eprasa.pl 8bef0554e8

nowe Muzeum Getta Warszawskiego, bo przecież to jest też nasz obowiązek, część naszej historii. A jeszcze Muzeum Mieszkańców Ziemi Oświęcimskiej, Muzeum Rodziny Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej, Łambieniowice, Sobibór, Treblinka, Wiślica i in.

Można powiedzieć: szeroki front robót.

Te instytucje powstają, niedługo – za rok, dwa, trzy – zaczniemy je otwierać. Tego wszystkiego miało nie być, a będzie.

Muzeum Getta będzie prowadzone przez Ministerstwo Kultury?

Tak, to będzie muzeum państwowe.

W przypadku muzeum Polin pojawia się coraz więcej emocji. Widać wyraźne zaangażowanie polityczne.

Muzeum Historii Żydów Polskich, powołane z inicjatywy śp. Lecha Kaczyńskiego, jest placówką jak najbardziej potrzebną Polsce, ponieważ opowiada o wielomilionowej mniejszości żydowskiej na naszych ziemiach, która żyła z nami 800 lat. Powinno prezentować różne wątki wspólnej historii. Ale rzeczywiście, obecna dyrekcja zbytnio się angażuje w bieżącą politykę. Mam inną niż ona ocenę pewnych kwestii, ale przecież jej nie zabronię. Zresztą nie mam takich narzędzi, to jest muzeum prowadzone przez trzy różne podmioty. Musimy takie rzeczy wytrzymywać, żyjemy w pluralistycznym społeczeństwie. Nasi zwolennicy też muszą to zrozumieć.

Jak pan ocenia dołączenie do wystawy poświęconej rocznicy Marca'68 wypowiedzi kilku osób publicznych, które dyrekcja Polin oceniła jako antysemickie? Niektóre na bardzo, bardzo wątpliwych podstawach.

Cieszę się, że w Polsce występuje tylko taki „antysemityzm". Na pewno nie ma mojej zgody np. na używanie słowa „parchy", ale też przecież – na miły Bóg – nie jest tak, że to jest początek jakiegoś faszyzmu. To raczej znowu ta sama metoda walki propagandowo-politycznej nakierowana na „ulicę i zagranicę": opisywać rzeczywistość jako niewyobrażalny skandal, hańbę, faszyzm itd. A nuż ktoś w to uwierzy...

Zdaniem ambasador Izraela Anny Azari w Polsce obudzono „demony antysemityzmu".

Zdecydowanie nie zgadzam się z tą opinią. Podobnie jak z tezami, że obecna władza daje rzekomo takie przyzwolenie na antysemityzm, jak komuniści w 1968 r., co słyszałem na własne uszy w TVN. To są twierdzenia tak absurdalne, że trudno z nimi w ogóle dyskutować. To jest – powtarzam – zwykła propaganda, której celem jest kreowanie skrajnych emocji, nienawiści, przedstawienie obozu władzy jako diabła wcielonego, faszystów, a ostatnio – złodziei. A przecież my prowadzimy o niebo bardziej uczciwą politykę niż nasi poprzednicy, ściągnęliśmy, zgodnie z zapowiedzią, dziesiątki miliardów do budżetu, i – co chyba najważniejsze – sprawiedliwiej te pieniądze dzielimy.



Fot. Andrzej Wiktor

Pozostając jeszcze przy historii stosunków polsko-żydowskich: czy pana zdaniem Muzeum Auschwitz w odpowiedni sposób prezentuje cierpienie Polaków?

Relacje polsko-żydowskie są sferą niezwykle wrażliwą i delikatną. Auschwitz jest miejscem bardzo szczególnym, znajdującym się pod auspicjami i UNESCO, i międzynarodowej rady powoływanej przez premiera Polski. Kadencja rady upływa latem i wierzę, że premier tak dobierze nowy skład tego ciała, by uniknąć kontrowersji.

A czy sama wystawa w Auschwitz jest zgodna z prawdą, w tym z polskim doświadczeniem?

Wystawa dotycząca Polaków w Auschwitz jest obecnie zmieniana. Trwa remont, pojawi się szerzej postać rtm. Pileckiego. Na terenie muzeum, w tzw. Starym Teatrze, powstaje także Centrum Edukacyjne. Ma ono stanowić m.in. propozycję dla młodzieży izraelskiej...

...przekonywanej w Polsce, co opisywaliśmy na łamach „Sieci", że wokół czyha zagrożenie ze strony Polaków.

To nie jest problem łatwy do rozwiązania. Nie mamy prawie żadnego wpływu na program tych wycieczek, ale możemy przedstawić swoją ofertę. Część tych grup spotyka się już z polskimi rówieśnikami. Nam bardzo zależy na dialogu, ale do tego potrzeba równie przekonanego partnera. Sytuację w muzeum wyjaśniamy bardzo obszernie w odpowiedzi na interpelacje poselską posłów Jakubiaka i Grabowskiego. Mogę tylko powiedzieć, że zarzuty wobec muzeum w większości nie znajdują potwierdzenia w faktach.

Prof. Andrzej Nowak podkreślał na łamach „Sieci", że batalii o prawdę nie wygramy za pomocą jednej ustawy czy też jednego rozwiązania, na to potrzeba dekad.

Dlatego – dzięki wiceminister Magdalenie Gawin – powołaliśmy np. kilka specyficznych instytucji: Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami, którego głównym zadaniem jest udostępnienie światu świadectw polskich ofiar, dziś niemal niedostępnych po angielsku. Także Instytut Solidarności i Męstwa, który ma dokumentować i honorować działania heroiczne przedstawicieli różnych narodów, związane z niesieniem pomocy polskim ofiarom. Obejmujemy współprowadzeniem miejsce pamięci w Treblince; mamy szczególny obowiązek dbać o to miejsce, w którym Niemcy zamordowali niemal wszystkich warszawskich Żydów. W Ostrowi Mazowieckiej, 20 km od Treblinki, powstaje niewielkie

eprasa.pl 8bef0554e8

muzeum rodziny Pileckich – stamtąd pochodziła Maria Pilecka, rotmistrz przebywał tam przed wojną i w jej trakcie. Ostrów Mazowiecka ma też swoich Sprawiedliwych. Chodzi o to, by grupom zagranicznym odwiedzającym Treblinkę pokazać szerzej polski punkt widzenia.

A co z promocją polskiej historii na świecie? Dobra zmiana obiecała Polakom hollywoodzki film.

Jeśli chodzi o filmy w kooperacji zagranicznej, to dwa projekty mają największe szanse: opowieść o lotniku Merianie Cooperze z Eskadry Kościuszkowskiej, później twórcy „King Konga", potencjalnie atrakcyjna dla widowni amerykańskiej. Druga propozycja to opowieść nawiązująca do „Jerusalem Avenue" z przemówienia Trumpa w Warszawie, której bohaterem jest angielski jeniec, walczący po ucieczce w powstaniu warszawskim.

Kiedy możemy się spodziewać konkretów?

Takich filmów nie robi się w pięć minut, to wymaga czasu, całych lat, czasem dekady. Minister kultury nie może też być producentem filmowym, może jedynie inspirować pewne rzeczy i czekać na artystów z pomysłami. Organizowany przez nas konkurs na scenariusz przyniósł sporo ciekawych propozycji. Podkreślam: chodziło nam o film historyczny, związany także z trudnymi wyborami, a nie o jakieś dzieła propagandowe. I takie filmy powstają: „Legiony" Macieja Pawlickiego i Adama Borowskiego w reżyserii Andrzeja Gajewskiego, którym pomagamy, jak możemy. Michał Rosa pracuje nad filmem o Piłsudskim, Leszek Wosiewicz – o Pileckim, TVP szykuje serial o Marszałku, także o żołnierzach Andersa. Jest scenariusz filmu o Szmulu Zygielbojmie. Pomagamy Muzeum Powstania Warszawskiego w pracy nad filmem o Janie Nowaku-Jeziorańskim. Trwają prace nad filmem o rodzinie Ulmów. Do tego kilkadziesiąt filmów dokumentalnych.

> Powołaliśmy do życia ponad 20 nowych instytucji muzealnych, np. Muzeum Kresów w Lublinie, Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce, Muzeum Piłsudskiego w Sulejówku, Muzeum Getta Warszawskiego...

To produkcje, do których ministerstwo się dokłada?

Oczywiście. Polski Instytut Sztuki Filmowej pod nowym kierownictwem działa energicznie i transparentnie, w dobrej współpracy ze środowiskiem filmowym.

Co jeszcze uważa pan za swój sukces?

Sukces? Raczej wyzwanie i zobowiązanie. I mrówcza, mało widowiskowa praca wielu moich współpracowników. Wzięliśmy na współprowadzenie cztery filharmonie: podkarpacką, szczecińską, łomżyńską i łódzką; dwa słynne zespoły pieśni i tańca, czyli Mazowsze i Śląsk, które niemal przymierały. Także inne instytucje kultury o znaczeniu regionalnym, lokalnym. Dbamy o zrównoważony rozwój, o kulturę w mniejszych ośrodkach. Powołaliśmy Operę Królewską, która gra w Łazienkach, a która zaprezentowała już kilkanaście premier. Szykujemy reformę socjalno-instytucjonalną dla całego środowiska kultury, w oparciu o efekty pracy 11 Ogólnopolskich Konferencji Kultury, czyli spotkań ze środowiskami branżowymi i regionalnymi. Zajmuje się tym wiceminister Wanda Zwinogrodzka. Kończymy porządkowanie zarządzania prawami autorskimi, sprawę związaną z dużymi interesami. Przygotowujemy ustawę dla rynku filmowego. Chodzi o zachęty finansowe, by kręcić filmy w Polsce, a nie tylko w Czechach czy Bułgarii. Powołaliśmy Instytut Architektury i Urbanistyki, by lepiej dbać o jakość naszej przestrzeni, i Instytut Dziedzictwa Kulturowego za Granicą, by lepiej wspomagać zachowanie tego dziedzictwa na Kresach i na Zachodzie. Realizujemy, za co odpowiedzialny jest Jarosław Sellin, wielkie obchody 100-lecia niepodległości Polski. Na zabytki, np. remonty wspaniałych, historycznych polskich świątyń, wydajemy znacznie więcej niż nasi poprzednicy. Robimy naprawdę dużo, zmieniamy Polskę systemowo. Krok po kroku. Także w zakresie kultury. Idziemy w dobrym kierunku. Ale to wymaga czasu.

Czy Polska powinna się wycofać z ustawy o IPN?

Półtora roku temu mówiłem publicznie, że jestem przeciwny karaniu więzieniem za poglądy. Cywilizowanym sposobem walki z kłamstwem albo zniesławieniem jest grzywna. Zgodzę się, że moment przyjęcia ustawy był nieszczęśliwy, ale suwerenne państwo nie da sobie niczego narzucić. Teraz czekamy na werdykt Trybunału Konstytucyjnego. Moim zdaniem TK może doprecyzować kilka rzeczy, ale decyzja nie należy do polityków.

Czy repolonizacja jest dziś martwa?

Chodzi o dekoncentrację mediów? Nie. Projekt jest gotowy, dopracowany. To jest propozycja rozsądna, umożliwiająca porozumienie z wieloma grupami interesu. Ale decyzji politycznej jeszcze nie ma. W obecnej sytuacji polityczno-medialnej nie powinniśmy proponować społeczeństwu otwierania nowych frontów.

Jak podoba się panu telewizja publiczna dysponująca wreszcie bardzo dużymi pieniędzmi?

Po latach kłamstwa zawiniętego w celofan, które udawało salon, Polacy potrzebują dziś prawdy. I TVP prawdę pokazuje. Czasem w formie mocno jednoznacznej, bez niuansowania, ale dobrze, że pokazuje. Jest Teatr Telewizji, nowe pasmo historyczne, są nowe produkcje. Jest świetna TVP Kultura, owszem, także z lewicą, ale powtarzam: cieszmy się z pluralizmu, nie bądźmy jak nasi poprzednicy, którzy zmonopolizowali w sposób skandaliczny niemal całe życie publiczne. To się nigdy nie powinno powtórzyć.

eprasa.pl 8bef0554e8



Potrzebujecie

Z Goongiem Chenem, Philipem J. Morrisem, Richardem A. Marquise'em i Robertem Benzonem, amerykańskimi ekspertami współpracującymi z Prokuraturą Krajową w śledztwie dotyczącym katastrofy smoleńskiej, rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

Dlaczego postanowili panowie zaangażować się w prace nad wyjaśnieniem przyczyn katastrofy smoleńskiej?

Goong Chen: To dla mnie duże wyzwanie naukowe, więc cieszę się, że zostałem zaproszony do tej współpracy. Widocznie uznano, że moje dotychczasowe doświadczenie przyda się zespołowi prokuratorskiemu – zwłaszcza symulacje przebiegu wypadków lotniczych. Najgłośniejsze sprawy, nad którymi pracował mój zespół, to zaginięcie malezyjskiego Boeinga MH370, który spadł do oceanu, i katastrofa Germanwings 9525, który rozbił się we francuskich Alpach. W przypadku Smoleńska rekonstrukcja zdarzeń także mogłaby pomóc odpowiedzieć na wiele pytań, ale należy zaznaczyć, że byłaby to tylko jedna z opinii. Należałoby ją czytać razem z ustaleniami inżynierów oraz śledczych. A patrząc długofalowo, chciałbym, by praca nad tym przypadkiem była wkładem w rozwój nauk matematycznych.

Philip J. Morris: Szczerze mówiąc, gdy Goong zaprosił mnie do tej pracy, to w pierwszym momencie powiedziałem zdecydowane: „Nie!". Bo nie jestem badaczem katastrof lotniczych. Przez ostatnie 15 lat zajmowałem się inżynierią lotnictwa. Przekonało mnie to, że podsumowanie naszych prac, które jako zespół mamy w przyszłości przedstawić, ma być kompilacją opinii z wielu dziedzin. Zgodziłem się, gdy się dowiedziałem, że będzie potrzebne także szersze spojrzenie kogoś z wiedzą w zakresie lotnictwa ogólnego, a to jest dokładnie to, na czym się dobrze znam.

G. Chen: To oczywiste, że tworzymy zespół specjalistów z różnych dziedzin. Jestem matematykiem i zrobię bardzo dokładne obliczenia, ale potrzebny jest mi ktoś z szeroką wiedzą, taką jak ma Philip. Błędem byłoby zaangażowanie tylko fachowców od katastrof, opinia końcowa musi być interdyscyplinarnym spojrzeniem na całą sprawę.

Robert Benzon: Zbadałem w swojej karierze wiele katastrof. Gdy na świecie dzieje się coś takiego, w naturalny sposób interesuję się tymi przypadkami. Gdy przyszła propozycja z Polski, miałem ogólną wiedzę na temat tej tragedii, zadałem tylko kilka pytań doprecyzowujących i właściwie od razu się zgodziłem. Wiem, że moje doświadczenie może pomóc w pracy całego zespołu.

Czy dla panów, którzy mają tak bogaty dorobek, katastrofa smoleńska jest w jakiś sposób wyjątkowym przypadkiem?

Richard A. Marquise: Tak, bo to nie jest zwykła sprawa. Pamiętam, jak przed 30 laty, gdy pracowałem dla FBI, zostałem wysłany do Szkocji, by brać udział w wyjaśnianiu zamachu bombowego na boeinga linii PanAm nad Lockerbie. To było bardzo żmudne zadanie, bo wybuch nastąpił na wysokości 10 tys. m i „miejsce zbrodni", które musieliśmy przeszukać, było niesłychanie rozległe. Ale satysfakcja z rozwiązania zagadki była ogromna. Tym bardziej że spotykałem się z ludźmi, którzy stracili w katastrofie swoich bliskich, i widziałem, jak czekali na efekty naszej pracy. Widzę, jak bardzo Polacy potrzebują się dowiedzieć, co

eprasa.pl 8bef0554e8



znać prawdę

się stało w Smoleńsku w 2010 r. Dlatego zgodziłem się na współpracę z prokuratorami.

A nie baliście się zaangażować w sprawę, która obarczona jest tak dużym ciężarem politycznym?

R. Benzon: Oczywiście mamy tego świadomość, do mnie dotarło to dosyć szybko. Ale nie zajmuję się polityką, lecz badaniami naukowymi i bezpieczeństwem. Myślę, że wyniki naszych badań się obronią, bo będą poparte solidną pracą, a nie domysłami.

G. Chen: Wiemy o emocjach, jakie narosły w Polsce wokół Smoleńska, i nie ma w tym nic dziwnego, bo to była ogromna tragedia narodowa. Słyszeliśmy także o wykluczających się ustaleniach i różnych postępowaniach. To utrudnia sprawę. Ale rozmawiając między sobą przed podjęciem decyzji, czy zaangażować się w pomoc prokuraturze, ustaliliśmy jedno: będziemy prowadzić nasze prace bezstronnie i w maksymalnym oderwaniu od emocji. Chcemy się dowiedzieć, jaka jest prawda. To nasz jedyny cel.

R. Marquise: Być może politycy rozumują w takich kategoriach, co będzie, jeśli się okaże coś nie po naszej myśli. My myślimy odwrotnie. Gdy zaczynasz badać trudny przypadek, nie myśl na starcie, dokąd cię to zaprowadzi. Nie zajmuj się polityką, niech do ciebie dotrze, że twoja praca, twoje badania mają sprawić, by latanie było bezpieczniejsze. A jeśli w trakcie wyjaśnień okaże się, że ktoś zawinił i spowodował tę katastrofę, to należy go wsadzić do więzienia. Ale to ma być efektem pracy, a nie celem. Celem jest znalezienie prawdy.

Czy widzą panowie jakieś podobieństwa do Smoleńska w którejkolwiek z badanych w przeszłości spraw?

R. Benzon: Zawsze należy szukać różnic i podobieństw do innych przypadków, bo to może ułatwić pracę. Zwracam uwagę m.in. na wysokość lotu, zniszczenia, rozrzut szczątków samolotu czy ciał ofiar. Było wiele przypadków, gdy maszyna spadała na ziemię, rozpadając się w locie. Na dokładne porównania przyjdzie jednak jeszcze czas.

R. Marquise: Gdy spada samolot, zawsze należy się zastanowić, czy ktoś nie umieścił w nim bomby. Zdarza się przecież, że ktoś intencjonalnie powoduje uszkodzenie maszyny, by ta spadła na ziemię. Należy jednak tę hipotezę udokumentować, żeby nie została tylko spekulacją. To zadanie dla ekspertów – wystarczy, że ktoś doświadczony spojrzy na szczątki, i będzie wiedział, czy był tam wybuch. Ale by taka opinia mogła być dowodem w sądzie, należy poczekać na całościową opinię.

R. Benzon: Gdy badasz ślady, często uświadamiasz sobie, że wiele katastrof spowodowanych jest błędami ludzkimi. Czasem do katastrofy doprowadza zachowanie pilota, który zawadza o przeszkodę na ziemi, ale przecież błędem ludzkim jest także wada konstrukcyjna samolotu lub użycie niewłaściwego materiału do budowy maszyny.

Jakiego rodzaju badania będą panowie chcieli przeprowadzić?

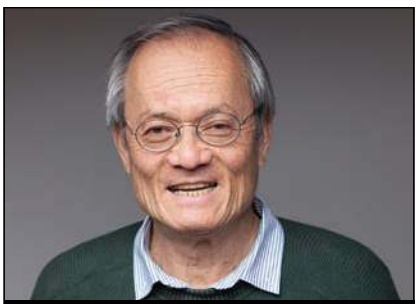
G. Chen: Na pewno będziemy się starali stworzyć dobrą mapę miejsca, na które spadł samolot. Do moich badań potrzebuję wiedzieć, jakie jest ukształtowanie terenu w Smoleńsku czy jakiego rodzaju gleba tam występuje. Muszę poznać konstrukcję samolotu, właściwości materiału, z jakiego był zbudowany, i jego zniszczenia. Między innymi te dane wprowadzę do komputera, co pozwoli stworzyć wiarygodną symulację przebiegu tego zdarzenia. Mamy maszyny obliczeniowe, które stworzą kilka podobnych do siebie symulacji. Te wyniki będą do dyspozycji biegłych, ale dopiero dodając do tego inne analizy i dowody, będzie można

eprasa.pl 8bef0554e8



Robert Benzon

doświadczony pilot wojskowy (misje w Wietnamie), wieloletni pracownik Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu (NTSB). Badał m.in. zamach na samolot linii PanAm nad Lockerbie w Szkocji oraz katastrofy w USA, Indiach, Japonii, Afganistanie, Rosji, Indonezji i Wielkiej Brytanii (w sumie ponad 100 przypadków). Uczestniczył również w wyjaśnianiu wodowania Airbusa A320 na rzece Hudson. Pomagał też NASA w śledztwie dotyczącym katastrofy promu kosmicznego Columbia.



Goong Chen

profesor matematyki i inżynierii lotniczej w Texas A&M University. Twórca rekonstrukcji katastrof lotniczych dla celów analiz sądowych, m.in. dotyczących katastrofy samolotu Malaysia Airlines Flight MH370 oraz katastrofy Germanwings 9525 w Alpach.



Richard A. Marquise

były wyższy oficer FBI. Po zamachu bombowym na samolot PanAm Flight 103 nad Lockerbie w Szkocji w 1988 r. kierował amerykańską grupą zadaniową.

zdecydować, który scenariusz jest najbliższy prawdy.

P. Morris: Te maszyny, którymi dysponuje prof. Chen, mają rzeczywiście ogromną moc obliczeniową, ale będą efektywne tylko wtedy, gdy zostaną wprowadzone do nich wiarygodne dane. To od nas zależy, jak wiele użytecznych informacji zgromadzimy. Im więcej danych o terenie i samolocie, tym lepiej. Chodzi o nawet najdrobniejsze szczegóły, które mogą zaważyć na wyniku symulacji.

Byli panowie w Mińsku Mazowieckim, gdzie stoi bliźniaczy Tu-154M. Na ile może on być przydatny w waszych badaniach?

P. Morris: Za nami jego wstępne oględziny. Dużo o nim rozmawialiśmy. Może się okazać kluczowy przy zbieraniu trudno dostępnych informacji, o których wyżej wspomniał Goong.

G. Chen: Nie tylko może, lecz na pewno będzie niezwykle istotny w przygotowaniu badań komputerowych.

Czy postęp, jaki w ostatnich latach dokonał się w nauce, otwiera przed nami nowe możliwości w badaniu tej katastrofy?

G. Chen: Zdecydowanie tak. Weźmy jedno z badań, które planujemy przeprowadzić. Superkomputery poprzednich generacji symulację katastrofy dużego samolotu odrzutowego obliczały przez tygodnie, a nawet miesiące. W ciągu ostatnich pięciu lat parametry maszyn, na których pracujemy, polepszyły się na tyle, że ten proces skrócił się do tygodnia, może dwóch. Ale prędkość superkomputerów to jedno. Kolejnym elementem jest oprogramowanie – mówiąc ogólnie: szybsze, dokładniejsze i bardziej efektywne w wynikach, bo coraz lepiej radzące sobie z przetwarzaniem mnóstwa skomplikowanych danych. Warto tu jeszcze nadmienić, że zawsze zaczynamy od najprostszych symulacji, a w kolejnych etapach je uszczegóławiamy – dokładamy kolejne elementy samolotu i sprawdzamy, na ile zmienią one wynik analiz. Narzędzia, którymi dysponujemy, sprawiają, że te analizy z roku na rok są coraz bardziej efektywne.

Ale nawet najlepszy komputer i najlepsze oprogramowanie nie zastąpią człowieka.

R. Marquise: Dlatego niezwykle ważna jest umiejętność oceny wiarygodności wyników. Na końcu wszystko i tak sprowadza się więc do całościowej oceny, najlepiej doświadczonego badacza.

G. Chen: Choć oczywiście nie sposób przecenić pomocy komputerów. Pamiętajmy, że poza szybszą i dokładniejszą analizą pozwalają one znacząco obniżyć koszty badań. Nie musimy już rozważać budowy wielkich modeli do poddawania crash testom i wydawania na nie milionów dolarów.

Czy na samym początku postępowania można wykluczyć jakąś przyczynę, np. zamach?

R. Marquise: Większość katastrof zdarza się po starcie albo przy lądowaniu. Rzadko maszyny nagle „spadają z nieba". Mieliśmy kilka przypadków, gdy samolot zaczynał spadać z 10 km (np. UTA 772 w 1989 r. nad Nigerią), TWA 800 przy Long Island spadł z 4 km. W takich przypadkach musisz podejrzewać, że nie doszło do awarii mechanicznej.

R. Benzon: Choć czasem to się zdarza. Zaskakujące zjawiska pogodowe mogą zakłócić działanie samolotów na tyle, że dochodzi do katastrofy.

R. Marquise: Jednak rzadko. Kryminolodzy, specjaliści z NTSB [Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu – dop. red.] zawsze na początku oglądają szczątki samolotu. Przy sprawie lotu PanAm 103 miejsce zdarzenia w Lockerbie obejmowało ogromny teren. Zaczęto od odnalezienia kawałków luku bagażowego, którego zniszczenia wskazywały na działanie

eprasa.pl 8bef0554e8



Philip J. Morris

fizyk, profesor inżynierii lotniczej na uniwersytecie stanowym w Pensylwanii. Ekspert z dziedziny lotnictwa ogólnego oraz konstrukcji maszyn.

materiałów wybuchowych. Szybko sprawdzono to w laboratorium i podejrzenia się potwierdziły. Zaczęto więc szukać tym tropem – co znajdowało się w luku, co w bagażu.

Ten przypadek dowodzi, jak ważne są badania na miejscu zdarzenia, zaraz po wypadku.

R. Marquise: Lockerbie było pod tym względem przypadkiem szczególnym. Szkocka policja wykonała znakomitą pracę. Komendant wydał rozkaz: „Przeszukajcie całą roślinność, nie przynoście mi drzew, nie przynoście płotów, ale jeśli znajdziecie coś w nie wbitego – to nas interesuje". Lubię przywoływać historię jednego z moich kolegów z FAA [Federalna Administracja Lotnictwa – przyp. red.], który pracował z nami w Lockerbie. Nosił niewielki aparat słuchowy. Zgubił go, przeszukując miejsce katastrofy. Zgłosił to lokalnej policji i wyobraźcie sobie panowie, że po jakimś czasie ten aparat się odnalazł. Tak dokładnie prowadzono przeszukanie terenu. Mówimy o czymś wielkości paznokcia!

A właśnie tak mały był szczątek, który okazał się w tej sprawie koronnym dowodem.

R. Marquise: Dokładnie. Wydaje się to nieprawdopodobne, a jednak ten niewielki fragment płytki obwodowej z magnetofonu doprowadził nas do rozwikłania zagadki zamachu.

Standardy, o których panowie opowiadają, różnią się od tego, co wiemy o przeszukiwaniu miejsca katastrofy smoleńskiej.

R. Marquise: Minęło osiem lat. Dziś już niewiele byśmy tam znaleźli. To spore utrudnienie, bo jakaś część naszej pracy będzie niestety zależała od tego, na ile poprawnie działano w 2010 r.

Marek Pasionek



– zastępca prokuratora generalnego, nadzorujący Zespół Śledczy nr 1: Goszczenie wybitnych ekspertów z USA i z Węgier związanych z badaniem katastrof lotniczych to dla nas zaszczyt. W ten sposób realizujemy założenia śledztwa i przystępujemy do trzeciego – najważniejszego, ale i najtrudniejszego etapu umiędzynarodowienia sprawy. Będzie nim zrekonstruowanie przebiegu lotu, w szczególności chwili katastrofy z 10 kwietnia 2010 r. To zadanie chcieliśmy powierzyć najznamienitszym fachowcom. Po wielomiesięcznych staraniach udało się takie grono zebrać. Od początku naszym celem było zgromadzenie ekspertów o charakterze teoretyczno-praktycznym – zmierzaliśmy do tego, by zaprosić nie tylko luminarzy świata nauki, najznamienitszych profesorów renomowanych amerykańskich uniwersytetów, lecz także bardzo doświadczonych oficerów FBI, funkcjonariuszy mających za sobą kariery związane z katastrofami lotniczymi. Nasze rozmowy w Warszawie są bardzo owocne. Myślę, że szybko zostaną sformalizowane i nasi goście – już w charakterze biegłych – przystąpią do pracy. W przedsięwzięcie zorganizowania zespołu i jego przyjazdu do Warszawy zaangażowanych było wiele osób, z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą, prokuratorem krajowym Bogdanem Święczkowskim i wszystkimi prokuratorami z Zespołu Śledczego nr 1.

Fot. Andrzej Wiktor (x5), M. Czutko

3110318/F

wykonanie:
Jerzy Zelnik
muzyka:
Baltic Neopolis Ensemble
w programie:
ORATORIUM JOSEPHA HAYDNA
Siedem ostatnich słów Chrystusa na krzyżu

14 KATEDR

SIEDEM OSTATNICH SŁÓW JEZUSA NA KRZYŻU

WSTĘP WOLNY

KONCERT PASYJNY
na podstawie
medytacji księdza Grzegorza Strzelczyka

NOWY SĄCZ 24.02.2018 / sobota / godz.19.00
Bazylika Kolegiacka św. Małgorzaty
LIMANOWA 25.02.2018 / niedziela / godz. 16.45
Bazylika Matki Boskiej Bolesnej
RADOMSKO 02.03.2018 / piątek / godz. 18.30
Sanktuarium Matki Bożej Bolesnej
OŚWIĘCIM 03.03.2018 / sobota / godz. 17.00
Kościół św. Maksymiliana Marii Kolbego
BRZESZCZE 04.03.2018 / niedziela / godz. 17.30
Kościół św. Urbana
SUWAŁKI 09.03.2018 / piątek / godz. 19.00
Kościół Chrystusa Króla
ZAMOŚĆ 10.03.2018 / sobota / godz. 16.00
Kościół Matki Bożej Królowej Polski
CHEŁM 11.03.2018 / niedziela / godz. 19.00
Bazylika Narodzenia NMP
OPOCZNO 16.03.2018 / piątek / godz. 17.00
Kościół św. Bartłomieja
BIAŁYSTOK 17.03.2018 / sobota / godz. 19.15
Bazylika Wniebowzięcia NMP
AUGUSTÓW 18.03.2018 / niedziela / godz. 19.00
Bazylika Najświętszego Serca Pana Jezusa
ZIELONA GÓRA 23.03.2018 / piątek / godz. 19.00
Kościół św. Alberta Chmielowskiego
TRZEBNICA 24.03.2018 / sobota / godz.19.30
Bazylika św. Jadwigi
OLEŚNICA 25.03.2018 / niedziela / godz. 19.00
Bazylika św. Jana Apostoła

www.14katedr.pl
Partnerzy Strategiczni
PZU FUNDACJA ORLEN EHS

REKLAMA

eprasa.pl 8bef0554e8



Ubezwłasnowolnić resorty

Premierowi Mateuszowi Morawieckiemu nie udało się jasno przedstawić celów, jakie przyświecają obecnej reorganizacji rządu

Fot. Andrzej Wiktor



JAN ROKITA

Argument o przeprowadzanym „przeglądzie ministerstw" jest sloganem, który w najlepszym razie mówi o kwestii najzupełniej technicznej, przemilczając polityczne cele, jakie przez ów przegląd premier chciałby osiągnąć. W najgorszym zaś służy tylko jako wykręt czy też pretekst dla akcji pozbycia się grupy wiceministrów oraz nagłego planu reformy organizacji ministerstw. Ogłoszone w krótkim odstępie czasu dymisje 17 wiceministrów mogą przez to wywoływać wrażenie chaotycznych i trudnych do wytłumaczenia. Na przykład usunięcie dopiero co mianowanego rządowego lidera programu walki ze smogiem Piotra Woźnego czy prof. Aleksandra Bobki, którego skłoniono do rzucenia funkcji rektora uniwersytetu, gdyż rząd nie miał nikogo z odpowiednim backgroundem do zorganizowania nowej agencji ds. zagranicznej współpracy naukowej. Tymczasem problem smogu właśnie osiągnął swoje polityczne apogeum, a agencja ciągle znajduje się in statu nascendi. Nerwowe wyjaśnienia rzeczniczki rządu, że niektórzy spośród tych, którzy właśnie dostali dymisję, w rzeczywistości jednak zostają, tylko pogłębiają wrażenie zamętu.

TRYWIALNE OPINIE

Skoro premier opowiada jedynie o „administracyjnych przeglądach" albo o buchalteryjnym „porównywaniu ilości pracowników na jednego ministra", nie dziwota, że do opinii publicznej przebiły się najbardziej trywialne i zwulgaryzowane uzasadnienia podejmowanych przezeń kroków.

„Najpierw utuczyli rząd do niebotycznych rozmiarów, potem na skutek protestów go odchudzają" – jasno i dobitnie mówi szefowa Nowoczesnej Katarzyna Lubnauer. I – co ciekawe – taką samą linię przyjęli liczni „eksperci" od spraw administracji, ze znawstwem wyjaśniający (jak Mateusz Rzemek na łamach „Rzeczpospolitej"), że Morawiecki zrobił po prostu „specjalny show dla gawiedzi, która dostała na pożarcie wiceministrów".

W takich strywializowanych kategoriach traktowana jest także zapowiedź premiera przeprowadzenia reformy samej istoty urzędu wiceministra. Morawiecki bowiem chce, aby członkowie rządu mogli się wspierać w swoich resortach tylko jednym zastępcą z partii, a całą resztę ich współpracowników mieliby stanowić wyłącznie resortowi urzędnicy.

eprasa.pl 8bef0554e8

Temu celowi ma służyć włączenie funkcji tzw. podsekretarzy stanu do korpusu urzędniczej służby cywilnej oraz (jak się zdaje) plan likwidacji tzw. gabinetów politycznych. Wygląda na to, że w tej ostatniej kwestii Morawiecki ma ochotę wykorzystać do swoich celów populistyczne (tzn. wynikające z nierozumienia konsekwencji własnych czynów) żądanie ruchu Kukiza. W tej reformie medialni „eksperci" widzą z kolei wyłącznie pomysł na to, aby wiceministrom i radcom z gabinetów politycznych, przerobionym na urzędników, dołożyć trochę więcej pieniędzy. „Show dla gawiedzi" albo sztuczki dla zagarnięcia większej forsy – to są dwa wytrychy, za pomocą których zarówno opozycja, jak i media najlepiej potrafią objaśniać politykę.

REFORMA SPRZED 20 LAT

I obecny kształt gabinetów politycznych, i koncept struktury ministerstw są wynikiem przeprowadzonej ponad 20 lat temu tzw. reformy Marka Pola, od nazwiska ówczesnego pełnomocnika rządu ds. reform administracji. Warto pamiętać, że w 30-letnich dziejach niepodległej Polski była to jedyna reforma struktury rządu, która nie tylko przezwyciężyła katastrofalny chaos organizacyjny, jaki narastał w rządzie po roku 1989, lecz także w znacznym stopniu przełamała długotrwały opór – ba, czasem otwarty sabotaż ówczesnych ministrów i ich urzędników. Polityczną stawką tamtej reformy było to, czy w odrodzonej Polsce władza i moc kształtowania jednolitej polityki państwowej zostaną skoncentrowane w ręku premiera, czy też przeciwnie – Polska pozostanie państwem nierządnym, niezdolnym do prowadzenia spójnej polityki, za to bycie ministrem będzie oznaczać faktyczną suwerenność resortowego książątka.

Z perspektywy ustroju państwa była to więc stawka najwyższa, skoro szło o możliwość skutecznego rządzenia. A zbudowane wtedy podstawy organizacji rządu działają do dziś. Co więcej, był to jeden z nielicznych przypadków wspólnego reformatorskiego działania ówczesnej większości sejmowej i opozycji. Rzecz dzisiaj nie do pomyślenia.

Z jednej strony ministrowie i ich resorty zostali wtedy poddani władzy premiera, który odtąd (jeśli tylko chce i potrafi) może im kroić według własnego uznania zadania i cele oraz przydzielać i odbierać podległe departamenty. Ale z drugiej – ministrom dano możliwość posiadania własnego „personelu politycznego", czyli wiceministrów i radców w gabinetach politycznych. Po co? Po to, żeby nie stali się politycznymi marionetkami w rękach premiera, ale mieli jak i kim tworzyć własne resortowe strategie, zabiegać o poparcie dla nich w Sejmie, troszczyć się o wyborców we własnych okręgach i – last, but not least – nie czuć się „osamotnionymi okupantami" w ministerstwach zasiedlonych wygami urzędniczymi. Ów polityczny personel miał w gruncie rzeczy służyć temu, aby tworzyć (jak wtedy mawiano) „administrację na rzecz zmiany", czyli wprowadzać do urzędów reformatorski ferment intelektualny i skłonność do zmian. To się sprawdziło zwłaszcza w rządzie Jerzego Buzka, w którym napędową siłą reform państwa stał się przede wszystkim korpus doborowych wiceministrów.

CO PRZYNIESIE AKCJA PREMIERA

Potem, zwłaszcza w czasach inercyjnego premierostwa Tuska, ten system się zdegenerował. A personel polityczny coraz częściej stawał się grupą powiązanych partyjnie i koleżeńsko nieudaczników obdarzanych przywilejami materialnymi przez ministra. Rządy premier Szydło umocniły ten trend. Pani premier zachowywała się jak jeden z wielu, choć bardzo wpływowy lobbysta, próbujący wetknąć, gdzie się da, „swoich ludzi", najczęściej z okolic Oświęcimia. A ministrom biernie pozwalała na jej naśladowanie. Morawiecki przejął gabinet po okresie wewnętrznego rozkładu organizacyjnego i teraz szuka sposobów, aby ów rozkład przełamać, a zarazem wzmocnić swoją kontrolę nad wszystkim, co się dzieje w rządzie. Ostentacyjna czystka wiceministrów, ku zaskoczeniu ich samych i ich ministerialnych zwierzchników, zaplanowana została jako akt pierwszy owej akcji. Miecz Damoklesa nie spadł tylko (co zrozumiałe) na dwa resortowe księstwa: to „własne" Morawieckiego, wokół ministerstw rozwoju i finansów, oraz to drugie – „nowogrodzkie", złożone z resortów siłowych zarządzanych bezpośrednio przez osobistych asystentów szefa PiS. W akcie drugim ministrowie mają zostać w ogóle pozbawieni swoich zaufanych współpracowników, co uczyni ich znacznie słabszymi wobec władzy premiera.

> Morawiecki przejął gabinet po okresie wewnętrznego rozkładu organizacyjnego i teraz szuka sposobów, aby ów rozkład przełamać, a zarazem wzmocnić swoją kontrolę nad wszystkim, co się dzieje w rządzie

Tyle tylko, że ten kij ma dwa końce. Owszem, uderzy w tych członków rządu, którzy chcieliby intrygować przeciw Morawieckiemu albo tworzyć lobbystyczne strategie i ustawy niezgodne z planami premiera, ale jeszcze bardziej osłabi tych spośród ministrów, którzy (zgodnie z niegdysiejszymi założeniami „reformy Pola") projektują istotne reformy państwa, jakich nie byliby w stanie ani stworzyć, ani przeforsować bez swego personelu politycznego. Nie ma w tym nic dziwnego, że np. Jarosław Gowin, którego ambicją jest zreformowanie uniwersytetów, ostro zapowiada „walkę jak lew" o utrzymanie swego gabinetu politycznego. Jeśli więc Morawiecki zechce zrobić drugi krok w planie politycznego ubezwłasnowolnienia ministrów, to zapewne napotka silny opór.

eprasa.pl 8bef0554e8



Kreowanie histerii

Fot. Andrzej Skwarczyński

Dziwaczny klimat pojawił się nagle wokół oświęcimskiego muzeum



PIOTR SKWIECIŃSKI

Dziwaczny, gdyż nic, co stało się lub dzieje na terenie Muzeum Auschwitz-Birkenau, nie uzasadnia kreowanej wokół tej placówki atmosfery wzburzenia. Nie oznacza to, aby wszystko było tam zgodne z obrazem, który chcielibyśmy widzieć, lecz zarazem nie odbywa się tam żaden skandal, który mógłby się stać przyczyną podjęcia jakichś działań nadzwyczajnych, upragnionych przez niektórych.

Ale po kolei.

Teren obozu od zawsze wzbudzał emocje. I prowokował próby czy to zmonopolizowania go przez jedną z konkurujących pamięci zbiorowych, czy to przynajmniej maksymalnego rozepchnięcia się którejś z nich. Jest to zrozumiałe. Zarówno w szerszym kontekście cechy współczesnego świata, którą jest „uszlachcająca" funkcja statusu ofiary, co powoduje zaostrzającą się konkurencję o ów status. Jak i w kontekście węższym, czyli chorobliwych relacji polsko-żydowskich. I przekonania nacjonalistów po obu stronach, że Auschwitz musi być jednoznaczną koroną ich męczeństwa. Skojarzonego często z wizją, w której myśl ostateczne zwycięstwo odniesione w Oświęcimiu spowodowałoby, iż świat dostrzeże, iż strona przeciwna jest mniej ofiarą niemieckiego nazizmu, a bardziej nosicielem win.

By nie rzec – po prostu narodem złych ludzi. Bo w umysłach żydowskich i polskich nacjonalistów odpowiednio Polacy i Żydzi to po prostu generalnie źli ludzie; polscy nacjonaliści przy tym jeszcze Żydów demonizują, a żydowscy bardziej Polakami pogardzają, ale co do tego, że druga strona jest nosicielką zła, myślą bliźniaczo.

Ponieważ w skali międzynarodowej Auschwitz stał się (słusznie) symbolem Holokaustu, a w Polsce już w okresie wojny zaczął (równie słusznie) pełnić funkcję znaku polskiego męczeństwa, konflikt musiał wybuchnąć. I wybuchł natychmiast, gdy upadek komunizmu odmroził możliwość takiego rozwoju wypadków. Przez cały okres po '89 r. miał kilka faz. Dziś, kiedy już kilkanaście lat w Oświęcimiu panuje spokój, ktoś najwyraźniej chce zainicjować kolejną.

Oto posłowie ruchu Kukiz '15 Marek Jakubiak i Paweł Grabowski (obaj współzakładali stowarzyszenie Endecja; ten drugi w 2016 r. dostał ze strony ABW odmowę dopuszczenia do informacji niejawnych; Agencja uzasadniała to według samego posła tym, że miał on być „inwigilowany przez obcy wywiad", co można uznać za grzeczną formę stwierdzenia, że orbitują wokół niego postaci o związki z takim wywiadem podejrzewane) skierowali interpelację do ministra kultury. Wyrażają w niej „głębokie zaniepokojenie obecną sytuacją w Muzeum Państwowym Auschwitz-Birkenau".

I pytają m.in.: „Czy wiadomo Panu, iż na tablicach informacyjnych w muzeum dokonuje się rozróżnienia ofiar na »Żydów« i »nie-Żydów«?", „Czy wiadomo Panu, że liczba zaproszeń dla rodzin polskich ofiar na uroczystości 73. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau została ograniczona jedynie do

eprasa.pl 8bef0554e8

trzech?", „Czy w Muzeum Auschwitz-Birkenau dokonywany jest audyt przewodników oraz przedstawianych przez nich informacji? Z doniesień osób, które odwiedzały muzeum, wynika, że grupy zagraniczne słyszą inną narrację aniżeli polską", „Dlaczego zrezygnowano z wystawy dotyczącej historii rotmistrza Pileckiego?". A tę kreującą atmosferę grozy konstrukcję wieńczy pytanie: „Czy wobec wszystkich powyższych wątpliwości i pytań uznaje Pan za zasadną zmianę na stanowisku dyrektora Muzeum Auschwitz-Birkenau?".

O co w tym wszystkim chodzi? Moim zdaniem cel jest ściśle polityczny. Chodzi o reanimowanie polsko-żydowskiej wojny o Auschwitz, a argumentacja jest tu wtórna i instrumentalnie stosowana. Sądzę tak, gdyż opiera się ona na zbiorze przeinaczeń.

I tak wystawa dotycząca polskiego ruchu oporu w obozie (w tym, oczywiście, postaci rotmistrza Pileckiego), skądinąd stworzona jeszcze w latach 80. i lekko tylko uzupełniona w następnej dekadzie, znajduje się na piętrze w oświęcimskim Bloku XI. Stropy w tym budynku są w stanie zagrażającym zawaleniem, dlatego też od pewnego czasu wystawa nie jest udostępniana dużym grupom zorganizowanym (chodzi o to, żeby jednocześnie nie przebywało tam zbyt wielu ludzi, bo to niebezpieczne – z podobnych powodów wyłączono z eksploatacji już kilka pięter w kilku innych obozowych blokach; muzeum nie ma pieniędzy na potrzebny kapitalny remont ich konstrukcji).

Jednocześnie trwają prace nad stworzeniem na parterze Bloku XI nowej wystawy, poświęconej ruchowi oporu wśród polskich więźniów i postaci Pileckiego. Dyrekcja muzeum obiecuje, że zostanie ona otwarta jeszcze w tym roku.

„Zredukowanie liczby zaproszeń dla rodzin polskich ofiar uroczystości 73. rocznicy wyzwolenia obozu" to wręcz odwrócenie sytuacji rzeczywistej. Bo w rzeczywistości utworzone niedawno Stowarzyszenie Rodzin Polskich Ofiar Obozów Koncentracyjnych, o które tu chodzi, otrzymało na uroczystość nie mniej, tylko więcej wejściówek od innych ubiegających się o to organizacji. Z reguły dostawały one jedną–dwie wejściówki, stowarzyszenie zaś wywalczyło sobie aż trzy. Dodajmy, że członkowie rodzin byłych polskich więźniów obozu znajdują się nie tylko w owym stowarzyszeniu – także w innych współpracujących z muzeum organizacjach (np. w Towarzystwie Opieki nad Oświęcimiem), nie sposób więc uznać je za jedyną reprezentację tego środowiska.

W sali, w której odbywają się takie uroczystości, znajduje się około 300 miejsc. Na rocznicy udało się zgromadzić ponad 60 byłych więźniów – każdemu z nich towarzyszył opiekun. Oprócz nich w obchodach brali udział przedstawiciele rządu, Sejmu, władz samorządowych, ponad 40 ambasad, duchowieństwo różnych wyznań, przedstawiciele organizacji społecznych współpracujących z muzeum, a także Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej, Fundacji Auschwitz-Birkenau i innych placówek zajmujących się obozami, wreszcie – emerytowani pracownicy muzeum.

Zdecydowana większość obecnych, zarówno wśród dawnych więźniów, jak i wśród reszty gości, to byli Polacy. Podkreślam to, bowiem Elżbieta Rybarska, przewodnicząca Stowarzyszenia Rodzin Ofiar, parokrotnie sugerowała, że sala zdominowana była przez Izraelczyków.

Tablice informacyjne „dokonujące rozróżnienia ofiar na Żydów i nie-Żydów" pełnią funkcję wprowadzania do świadomości zwiedzających wiedzy, że w ogóle istnieli więźniowie obozu będący Polakami i szerzej – niebędący Żydami. Bo, niestety, poza Polską nie jest to informacja powszechnie znana.

Obecni na uroczystości rocznicy wyzwolenia obozu działacze Stowarzyszenia Rodzin twierdzą, że nie wolno im było wnosić polskich flag i że w związku z tym zakazem zostali jakoś skandalicznie potraktowani. W rzeczywistości flagi wolno wnosić, tylko że bez drzewców. A „skandaliczne" potraktowanie polegało na tym, że liderzy Stowarzyszenia w kulminacyjnym momencie ceremonii, odbywającej się w Birkenau, stanęli w sektorze przeznaczonym wyłącznie dla byłych więźniów i tam rozwinęli flagę, co części więźniów uniemożliwiało obserwację ceremonii składania wieńców pod tamtejszym pomnikiem. Opiekunowie więźniów, a potem również uczestniczki powstania warszawskiego, więzione po jego upadku w Auschwitz, zwracali więc uwagę rozwijającym flagę. Bezskutecznie.

Czy oznacza to, że niczemu, co dzieje się w muzeum, nie można nic zarzucić? Niestety nie. Trzeba tu powiedzieć przede wszystkim o problemie narracji, której na terenie ośrodka natychmiastowej eksterminacji w Birkenau (będącego miejscem kaźni przede wszystkim Żydów) poddawane są grupy izraelskie.

Oprowadzane są one – na mocy międzypaństwowych porozumień – przez izraelskich przewodników, ale o ile na terenie obozu Auschwitz towarzyszą im przewodnicy polscy, co pozwala w pewnym zakresie kontrolować to, co mówione jest Izraelczykom, o tyle w Birkenau, traktowanym przez Żydów jako ich narodowa świątynia, polskiej obecności, a więc i nadzoru już nie ma. De facto nie ma więc również wiedzy, co tam izraelscy przewodnicy mówią swoim podopiecznym. A pogłoski sugerują, że właśnie w tych okolicznościach, w Birkenau, zdarza się coś, co można by określić mianem antypolskiej indoktrynacji.

Oczywiście należy dążyć do zmiany tej sytuacji. Sytuacji niebędącej jednak efektem zaniedbań obecnej dyrekcji muzeum, tylko porozumień podpisywanych z Izraelem przez kolejne polskie rządy. A także sytuacji, w której (co w ogóle charakterystyczne dla całej rzeczywistości III RP) państwo polskie było przez dekady na tyle słabym graczem, że dla Polaków, pracujących w rozmaitych międzynarodowych instytucjach czy też z nimi na bieżąco współdziałających rządy zmieniające się w Warszawie przestawały być busolą.

Potrzebna jest tu więc wytrwała praca, wykonywana przede wszystkim w Warszawie. Praca, w której kreowanie sztucznej atmosfery moralnej paniki wokół oświęcimskiego muzeum samo w sobie nie pomaga.

Warto, żeby zdawali sobie sprawę z tego ci, którzy wokół Oświęcimia generują atmosferę rzekomego skandalu.

Chyba że, oczywiście, ich prawdziwe cele są inne niż te, które deklarują.

eprasa.pl 8bef0554e8



MARCIN WIKŁO



Zdjęcia dzięki fundacji Red is Bad, fot. Julita Szewczyk

Niezłomni u Matki

Ponad 60 żołnierzy antykomunistycznego podziemia przybyło na pierwszą Pielgrzymkę Żołnierzy Wyklętych na Jasną Górę. Od teraz mają poświęconą sobie tablicę w kaplicy Pamięci Narodu im. o. Augustyna Kordeckiego

To było wyjątkowe wydarzenie. Starsi mężczyźni w mundurach Wojska Polskiego i asystujący im harcerze oraz wolontariusze powoli, krok po kroku, wchodzili do jasnogórskiego sanktuarium. Na piersiach ordery, także Krzyże Virtuti Militari, a na rękawach biało-czerwone opaski: AK, WiN, NSZ... Nie każdemu dopisuje już zdrowie, ale tego dnia nie narzekali. – Dziękuję Panu Bogu, że dożyłem takiego czasu – tak mówiło wielu z nich. I każdy chętnie snuł swoją historię. – Było nas trzech braci, każdy wiedział, że trzeba iść i bronić ojczyzny. Nie wybaczylibyśmy sobie, gdybyśmy nie zrobili nic. Lepiej zginąć z honorem, niż żyć w hańbie – takie poruszające świadectwa zaciskają krtań. To zaszczyt móc się pomodlić wspólnie z wielkimi polskimi bohaterami.

„Nie znajdziecie lepszych wzorców do naśladowania niż ci bohaterowie. Ale gdybyście kiedyś o tym zapomnieli... to ta tablica wam o nich przypomni" – mówił do harcerzy Piotr Woźniak, prezes PGNiG, firmy, przy której działająca Fundacja PGNiG przygotowała upamiętnienie Żołnierzy Wyklętych. Spotkanie współorganizowały także IPN i tygodnik „Niedziela".

Odsłonięta na Jasnej Górze tablica znalazła się w miejscu, można rzec, oczywistym – kaplicy Pamięci Narodu im. o. Augustyna Kordeckiego. Czarna tabliczka ze złoconym ryngrafem i napisem, który trafnie oddaje ich tragiczną rzeczywistość: „Żołnierzom Niezłomnym, którzy stanęli do walki o wolną Polskę przeciwko komunistycznemu zniewoleniu, poległym w walkach, zakatowanym podczas śledztw, zamordowanym w wyniku zbrodni sądowych, długoletnim więźniom i represjonowanym".

List do uczestników uroczystości skierował Andrzej Duda: „To wielki triumf tych naszych szlachetnych, prawych, zawsze wiernych ojczyźnie rodaków, którzy w imię zasad najwyższych, konstytuujących naszą wspólnotę, podjęli bój ze złem i zniewoleniem, chociaż nie mieli szans zwyciężyć. To im potomność przyznała rację. Dla nas, współczesnych, to oni okazali się zwycięzcami w nierównych zmaganiach toczonych z nieprzyjacielem" – treść przesłania odczytał prof. Andrzej Waśko, doradca prezydenta.

Weterani zostali także pozdrowieni przez Jarosława Kaczyńskiego, który w specjalnym liście napisał: „Dziś Żołnierze Wyklęci wrócili, przybywając do tronu Jasnogórskiej Hetmanki, której wizerunki nosili w boju na ryngrafach. [...] Oczywiście jest to powrót symboliczny, gdyż – co trzeba z całą mocą podkreślić – przez te wszystkie lata, jakie dzielą nas od tragicznych dni II wojny światowej, Żołnierze Wyklęci

eprasa.pl 8bef0554e8



Nie złamali naszego polskiego ducha" – mówiła, wzbudzając aplauz przybyłych. Jej delegacja przez drobiazgowość celników musiała spędzić na granicy ponad pięć godzin. Ale – jak mówiła pani pułkownik – spotkanie u stóp Matki Boskiej wynagrodziło wszelkie niedogodności.

Pani Weronika ps. Różyczka zawsze chętnie spotyka się z młodzieżą, która i tym razem z uwagą słuchała jej tragicznej historii. „Przeszliśmy więzienia, Workuta, Syberia... Rodzice i ja mieliśmy wyrok, 60 lat, odbyłam z nich 20. W tym czasie zginął mój brat. Do tej pory nie wiemy, gdzie spoczywa jego ciało. Modlę się codziennie i proszę Matkę Najświętszą, by pozwoliła nam odkryć to miejsce, byśmy mogli zapalić znicz" – opowiadała.

niemieckim, potem z wrogiem sowieckim. W końcu trafiłem do Polski, ale ona podziękowała mi wyrokiem. Ale to była Polska komunistyczna, a nie Polska niepodległa" – opowiadał. Rzeczywiście po wojnie został skazany na dożywocie, choć komunistyczny prokurator żądał kary śmierci. „Rączy" wyszedł w czasie amnestii w 1956 r. „Nasze losy zawsze wahały się między grobem a życiem. A jednak przetrwaliśmy i zwyciężyliśmy..." – mówił spokojnie, choć trudno mu było złapać oddech.

Uczestnicy pielgrzymki zgromadzili się także w kaplicy Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Mszę koncelebrował były biskup polowy WP abp Sławoj Leszek Głódź. W emocjonalnej homilii mówił o czasach, w których przyszło walczyć Żołnierzom Wy-



byli przecież z nami, istnieli w naszym wspomnieniach, żyli w zbiorowej pamięci narodu".

Pielgrzymka na Jasną Górę była nie tylko uroczystością upamiętniającą tych, którzy w obronie ojczyzny zginęli. To było przede wszystkim spotkanie żyjących. Mimo sędziwego wieku żołnierze przybyli czasem z bardzo daleka. Niezwykle gorąco przywitano płk Weronikę Sebastianowicz, prezes Związku Żołnierzy Armii Krajowej na Białorusi, która na co dzień spotyka się wciąż z uciążliwościami ze strony władz w Mińsku. Tamtą rzeczywistość rozpatruje nieustannie w kategoriach walki. „Na Kresach Wschodnich, czasowo okupowanych, nie doznajemy szacunku. Wciąż jesteśmy jako bandyci albo polskie niedobitki... Ale dzięki modlitwie i polskiej kulturze nie potrafili nas złamać przez ponad 70 lat.

W imieniu przybyłych mówił także płk Tadeusz Bieńkowicz ps. Rączy. Gdy wybuchła II wojna światowa, miał 16 lat, mieszkał w Lidzie. Obecnie to miasto na Białorusi, wówczas – polska osada na grodzieńszczyźnie zaatakowana 19 września 1939 r. przez Armię Czerwoną.

„Pomimo 95 lat przyszedłem na spotkanie nie tylko z Matką Boską Częstochowską, lecz także z przyjaciółmi. Razem walczyliśmy, najpierw z wrogiem

klętym. „Stworzono sztuczną – jakby w sercach nie żyła prawdziwa – Polskę, która jest usankcjonowaniem wszelkiej podłości, zła i zdrady" – mówił hierarcha, ciesząc się, że niezłomnych, „szczególnych synów polskiego narodu", można dzisiaj przyjąć w miejscu tak dla naszego narodu szczególnym. Przypomniał słowa św. Jana Pawła II wygłoszone w Częstochowie: „Tutaj zawsze byliśmy wolni".

eprasa.pl 8bef0554e8

Bóg i Stephen Hawking

Stephen Hawking był więcej niż fizykiem. Był ikoną popkultury, która uważała, że ludzie są tylko „szczególnie zaawansowaną odmianą małp na niezbyt ważnej planecie, krążącej wokół całkiem przeciętnego słońca”



ALEKSANDRA RYBIŃSKA



Fot. Twocoms/Shutterstock.com

Lista naukowców będących popkulturowymi ikonami nie jest specjalnie długa. Stephen Hawking zajmuje na niej wysokie miejsce. Obok Alberta Einsteina, Jane Goodall i Carla Sagana. Znakiem rozpoznawczym naukowca była choroba (stwardnienie zanikowe boczne, zdiagnozowane w wieku 21 lat) i porozumiewanie się ze światem za pomocą syntezatora mowy. Można w tym widzieć symboliczną pieśń przyszłości – intelekt jest najważniejszy, a ułomne ciało można przezwyciężyć za pomocą technologii. Hawking miał po diagnozie żyć najwyżej kilka lat, a przeżył aż 55. Urodzony w Oksfordzie naukowiec był najbardziej znanym fizykiem teoretycznym na świecie, sformułował wiele przełomowych koncepcji i hipotez naukowych dotyczących zwłaszcza astrofizyki. I lubował się – jak pisze na łamach dziennika „The Guardian” Roger Penrose, brytyjski fizyk i matematyk – „w roli fizyka celebryty”. Chętnie się spotykał z gwiazdami filmowymi i działał w obszarach kultury masowej. Doczekał się nawet swoich własnych klocków Lego oraz piosenki autorstwa Pink Floyd. Wystąpił także w skeczu Monty Pythona, „Star Treku” (gdzie jako hologram grał w pokera z Einsteinem i Newtonem), w reklamach i użyczył swojego głosu w serialach animowanych „Futurama”, „Simpsonowie” i „Dilbert”. Na jego wykłady przychodzili nie tylko fachowcy, lecz również zwykli ludzie, nawet jeśli niewiele z nich rozumieli. Hawkingiem zainteresowało się także Hollywood. Cztery lata temu premierę miał film „Teoria wszystkiego”, nieco uromantyczniona historia jego życia. On sam zastanawiał się nieraz, co uczyniło go tak popularnym: naukowe odkrycia czy niepełnosprawność.

TRIUMF LUDZKIEJ INTELIGENCJI

Mimo że Hawking uważał się za ateistę, to właśnie Bóg pomógł rozkręcić mu karierę. Jego książka „Krótka historia czasu”, do której wstęp napisał słynny astrofizyk Carl Sagan, trafiła w 1988 r. na listę bestsellerów „Sunday Timesa” i utrzymywała się na niej przez 237 tygodni. Podobno czytelnicy docierali średnio do 29 strony. Mimo to książka była na liście bestsellerów przez ponad pięć lat i sprzedała się do dziś w ponad 10 mln egzemplarzy. W niej Hawking pisze bowiem, że „jeśli stworzymy pełną teorię (Wszechświata), będzie to ostateczny triumf ludzkiego rozumu – wówczas bowiem poznamy myśli Boga”. Możliwość poznania Boga poprzez naukę zafascynowała wielu.

Sam Hawking z biegiem czasu starał się jednak wyprostować tę – jego zdaniem – „niewłaściwą interpretację jego słów”. W książce „Wielki projekt” z 2010 r. stwierdził jednoznacznie, że odkrycie w 1992 r. planet pozasłonecznych przekonało go, że nowe teorie fizyczne nie pozostawiają wolnego miejsca dla stwórcy Wszechświata. „Ponieważ istnieją takie prawa jak grawitacja, wszechświat może i będzie się tworzył z niczego.

eprasa.pl 8bef0554e8

Spontaniczne tworzenie jest przyczyną tego, że istnieje raczej coś niż nic, dlatego istnieje Wszechświat, istniejemy my" – pisał Hawking. „Nie ma potrzeby angażowania Boga, by podpalił lont i sprawił, że Wszechświat zaczął działać" – podkreślał fizyk. Gdy pisał o poznaniu myśli Boga, chodziło mu zaś tylko o pewną metaforę. „Miałem na myśli, że wiedzielibyśmy wszystko, co wiedziałby Bóg, gdyby Bóg istniał. Jednak on nie istnieje. Jestem ateistą. Religia wierzy w cuda, ale one nie są zgodne z nauką" – przekonywał w wywiadzie z hiszpańskim dziennikiem „El Mundo". W rozmowie z niemieckim tygodnikiem „Der Spiegel" stwierdził, że ludzie są tylko „szczególnie zaawansowaną odmianą małp na niezbyt ważnej planecie, krążącej wokół całkiem przeciętnego słońca". A tym, co czyni ich szczególnym, jest właśnie „możliwość poznania Wszechświata". A gdy go w końcu poznają, będzie to „wielkim triumfem ludzkiej inteligencji".

Teorie Hawkinga o powstaniu Wszechświata i kondycji ludzkiej spotykały się nierzadko z ostrą krytyką kolegów po fachu. Profesor matematyki z Oksfordu John C. Lennox w swojej książce „Bóg i Stephen Hawking" wytyka mu błędy metodologiczne, jak również niezrozumienie istoty Boga. „Hawking mówi nam, że Wszechświat bierze się z niczego, które okazuje się czymś (pierwsza sprzeczność), a potem dodaje, że Wszechświat stwarza się sam z siebie (druga sprzeczność). To jednak nie wszystko. Jego przekonanie, że jakieś prawo przyrody (w tym wypadku prawo grawitacji) wyjaśnia istnienie Wszechświata, jest także wewnętrznie sprzeczne, gdyż istnienie prawa przyrody z samej swej definicji zależeć musi bez wątpienia od uprzedniego istnienia przyrody, którą ma opisywać. [...] A zatem główna konkluzja książki („Wielki projekt") okazuje się nie tylko wewnętrznie sprzeczna, co już w sobie jest wystarczającą katastrofą, lecz potrójnie wewnętrznie sprzeczna" – pisze Lennox.

ŁOWCA CZARNYCH DZIUR

Hawking był profesorem matematyki i fizyki teoretycznej na swojej macierzystej uczelni, czyli Uniwersytecie Cambridge, oraz w Kalifornijskim Instytucie Technologicznym (Caltech) w Pasadenie. Był też członkiem Królewskiego Towarzystwa Fizyki Teoretycznej. W ciągu trwającej ponad 40 lat kariery naukowej zajmował się głównie kosmologią teoretyczną, w tym zwłaszcza tzw. czarnymi dziurami i grawitacją kwantową. W latach 60. i 70. współpracował przede wszystkim z Rogerem Penrose'em. Razem udowadniali, że Wszechświat miał początek, a czarne dziury są normalnym zjawiskiem, ulegają zniszczeniu i emitują promieniowanie znane dziś jako promieniowanie Hawkinga lub Bekensteina-Hawkinga. Nierzadko sam rewidował swoje własne teorie, mówiąc otwarcie, że „się mylił". Po latach doszedł m.in. do wniosku, że wbrew temu, co twierdził wcześniej, Wszechświat nie musiał mieć początku w czasie i przestrzeni, a czarne dziury niekoniecznie ulegają całkowitemu zniszczeniu, tylko mogą „prowadzić do innych światów". Nagrody Nobla nigdy nie dostał, bo żadne z jego badań nie wyszło poza teorię ani nie zostało potwierdzone eksperymentalnie. Za to był laureatem m.in. Nagrody Fizyki Fundamentalnej, Orderu Imperium Brytyjskiego oraz amerykańskiego Medalu Wolności, którym uhonorowany został w 2009 r.

Był też mocno zaangażowany politycznie, jak pisze Penrose w „Guardianie", za sprawą matki, „intelektualistki i radykalnej wolnomyślicielki, absolwentki filozofii, politologii i ekonomii na Oksfordzie, która miała na niego wielki wpływ". Ojciec Hawkinga był biologiem, specjalistą od chorób tropikalnych. Hawking popierał brytyjską Partię Pracy oraz Ala Gore'a, a amerykańską inwazję na Irak w 2003 r. nazwał „zbrodnią wojenną". Lobbował za bojkotem Izraela, rozbrojeniem nuklearnym i przeciwko Brexitowi. Donalda Trumpa uważał za zagrożenie dla świata, głównie dlatego, że prezydent USA wycofał się z umowy paryskiej o ochronie klimatu. Hawking był przekonany, że jeśli nie zostaną podjęte stanowcze działania, by zatrzymać zmiany klimatyczne, Ziemia zamieni się w drugą Wenus, będą panowały temperatury powyżej 250 stopni Celsjusza, a z nieba będzie padał kwas siarkowy.

> „Nie sądzę, abyśmy przeżyli na tej planecie jeszcze tysiąc lat" – tłumaczył Hawking podczas jednego z wykładów

W ostatnim czasie Hawking wielokrotnie ostrzegał ludzkość także przed skutkami rozwoju technologii. Jak twierdził, moment, w którym uzyskamy ostateczną formę sztucznej inteligencji – samodzielną i samoświadomą, będzie najgorszy w historii ludzkości. „Nie wiemy w tym momencie, jak zachowa się sztuczna inteligencja – może będzie nam pomagać, równie dobrze może nas zignorować. Co jeśli przyjdzie jej do głowy, by nas zniszczyć? Skoro ma być samodzielna, samoświadoma i zastanawiać się nad sensem swojego istnienia – możliwości jest mnóstwo. A nikt przecież nie powiedział, że będzie nam wdzięczna za to, że ją stworzyliśmy, prawda?" – mówił Hawking. I przekonywał, że aby zapewnić ludzkości przyszłość, musimy się wyrwać w kosmos. „Nie sądzę, abyśmy przeżyli na tej planecie jeszcze tysiąc lat" – tłumaczył podczas jednego z wykładów na uniwersytecie w Oksfordzie.

Własnej śmierci się nie bał. „Żyłem z perspektywą śmierci przez ostatnie 49 lat. Nie boję się jej, ale niespiesznie mi umierać. Mam jeszcze tyle do zrobienia" – mówił w 2011 r. w rozmowie z „Guardianem". Jako ateista był przekonany, że nie ma nieba ani życia po śmierci, że to „bajeczka dla ludzi, którzy boją się ciemności". „Mózg jest podobny do komputera, a umysł jest czymś w rodzaju programu, który przestanie działać, gdy zawiodą jego komponenty. Nie istnieje niebo ani życie pozagrobowe dla zepsutych komputerów" – mówił. „Mamy to jedno życie, by docenić wielki projekt Wszechświata, i za to jestem bardzo wdzięczny" – dodał. Stephen Hawking zmarł w ubiegłym tygodniu w wieku 76 lat. Był dwukrotnie rozwiedziony i miał trójkę dzieci.

eprasa.pl 8bef0554e8

Marketing otyłości

Tyle pyskujemy w polityce, tak się wymądrzamy o edukacji czy służbie zdrowia, znamy się niby na wszystkim – a dalej nie wiemy, co kupujemy i co jemy

*Z **Martą Pawłowską**, coachem zdrowia rodziny, rozmawia Dorota Łosiewicz*

Czy producenci żywności mają interes w tym, by podtuczać klientów?

Marta Pawłowska: Trudne i ważne pytanie, odpowiedź jednoznaczna chyba nie istnieje. Producenci chcą, by klienci kupowali jak najwięcej tego, co wytwarzają, by wracali po ich towary, by kupowali nowości, które wprowadzają na rynek. Tak działa handel. Producenci reklamują swoje towary, zachęcają, byśmy polubili określone produkty i byśmy wybierali ich marki. A decyzje zakupowe zawsze podejmujemy my, klienci. My podchodzimy do konkretnej półki sklepowej, my wkładamy produkty do koszyka lub wózka, my za nie płacimy i my je zjadamy. Nikt nikomu nic na siłę nie wciska, prawda? Diabeł tkwi jednak w naszych błyskawicznych decyzjach zakupowych, w zakupach na szybko, na pamięć, bez czytania etykiet i bez refleksji typu: dlaczego jem właśnie to? Czemu w takiej ilości? Czy to mi służy? Czyli kupujemy oczami, dźwigamy ramionami, ładujemy do wielożernego żołądka, nie myśląc najczęściej o tym, co w zasadzie kupujemy i co pałaszujemy. Wychodzi na to, że podtuczamy się zatem na własne życzenie, tak jak na własne życzenie szkodzimy sobie nadmiernym cukrem, solą i tłuszczem. Kupujemy i jemy z oczami szeroko zamkniętymi.

Jakie więc zabiegi stosują producenci, byśmy kupowali więcej?

Oferując nam paczki chipsów wielkości dwuletniego dziecka, słodkie napoje gazowane rozmiarów biurowej gaśnicy, coraz większe porcje frytek w fast foodach czy stopniowo powiększając wielkość tabliczek czekolady. Standardowe 100-gramowe odchodzą do lamusa, dzieci nie jedzą już czekolad na kostki, ale na paski. Czyli stopniowo kupujemy coraz większe opakowania – rodzinne, więcej za mniej, 3 w cenie 2. Nie zdając sobie sprawy, że co prawda przelicznik ilości wydaje się ekonomicznie korzystny, ale – po pierwsze – jemy więcej, a po drugie – przestajemy decydować o tym, co lubimy, bo kupujemy to, co się opłaca. W efekcie zdecydowana większość z nas je zbyt dużo, zbyt słono, zbyt słodko i zbyt tłusto. To droga do tycia i do chorób dietozależnych – konia trojańskiego naszej cywilizacji.

Mówi pani o opakowaniach rodzinnych. A czy nie jest tak, że większe opakowanie jest po prostu tańsze w ostatecznym rozrachunku? Sama kupiłam ostatnio megapakę sera żółtego w plastrach. Poszło wszystko.

Jasne, jest tańsze. Ale w rozrachunku czego, pani Doroto? Przelicznika za kilogram czy w rozrachunku jakości dla zdrowia mojego i rodziny? Kupujemy te megapaki, bo są tańsze w rozrachunku, a potem je zjadamy – bo są kupione.



Marta Pawłowska – MBA, coach zdrowia rodziny i członek Izby Coachingu, specjalizujący się w jedzeniu emocjonalnym i zachowaniach kompulsywnych. Pełnomocnik dyrektora Instytutu Żywności i Żywienia ds. Komunikacji

Fot. Andrzej Kasprowicz

41/0218/F

eprasa.pl 8bef0554e8

Udowodniono, że z dużego opakowania zawsze nakładamy więcej – czy to orzeszków, czy jogurtu, czy karmy dla psa. Sami siebie dyskretnie tuczymy. Proszę zwrócić uwagę, że wielkie opakowania w zdecydowanej większości dotyczą produktów, które powinniśmy ograniczać, bo jakoś kaszy jaglanej i ogórków kiszonych w metrowych opakowaniach brak.

Kiedy opakowania zaczęły puchnąć, kiedy zaczął się ten marketing otyłości?

Puchną konsumenci, puchną opakowania. Chyba trudno już znaleźć początek tego mechanizmu. Bo w końcu gdybyśmy nie chcieli kupować więcej, taniej i szybciej – producenci nie serwowaliby nam półhurtowych opakowań jednostkowych. Jest popyt, to jest i podaż – czyste prawo rynku. Nie zastanawiamy się nad tym, rządzą nami nawyki, reklama i wygodnictwo.

Lepiej więc kupować mniej?

To zależy. Jeśli mamy rodzinę cztero-, sześcioosobową i zjemy duże opakowanie jogurtu razem do śniadania – jest OK. Jednak jeśli kupujemy dla siebie, to duże opakowanie jest zachętą do przejadania się i do podjadania, bo takie otwarte opakowanie czegoś, co lubimy, korci nas, by je skończyć. Dużej musztardy czy majonezu nie będziemy podjadać tak jak jogurtu, paluszków czy orzeszków. Duże opakowania oduczają nas umiaru w jedzeniu, zanika pojęcie porcji, jemy za dużo cukru, soli i tłuszczu, a priorytetem staje się opakowanie.

Czym różni się porcja od opakowania?

Jedząc posiłek czy przekąski, powinniśmy się kierować porcjami, czyli określoną ilością produktu, właściwą dla osoby w danym wieku, o danej wadze czy ograniczeniach, odpowiednią w danej porze dnia. Jeśli nie wiemy, jakie porcje i czego powinniśmy jeść, warto się zaprzyjaźnić ze stroną internetową Narodowego Centrum Edukacji Żywieniowej. Tam znajdziemy wszystko, czego potrzebujemy, wraz z możliwością bezpłatnej porady on-line. Nie ma przeszkód, by zobaczyć, jak duże porcje powinnam jeść ja czy powinny moje dzieci. Niestety dziś prawie zanikło pojęcie porcji, bo kupujemy i jemy na opakowania lub kilogramy.

Może pani podać konkretne przykłady?

Kulka sera mozzarella. Zjadamy ją bezrefleksyjnie całą z dodatkami w sałatce caprese. A to spora ilość, zbyt duża na porcję dla przeciętnej kobiety, jeśli nie jest to posiłek obiadowy. Albo opakowanie tofu czy twarogu – zjadamy zwykle zawartość opakowania, nawet jeśli 30 proc. jest już „na dopych", jak mówią moi podopieczni. A 400-gramowe opakowanie pierogów dla jednej osoby? A popcorn w kinach czy 100-gramowa mieszanka studencka? Na szczęście pojawiają się też opakowania bardziej porcyjnie „na raz", ale często ich cena niewiele odbiega od większego opakowania. Czyli „opłaca

REKLAMA



kasastefczyka.pl
801 600 100 (koszt połączenia wg taryfy operatora)

25 lat
KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Pożyczka Fit umożliwia konsolidację zobowiązań zaciągniętych wyłącznie w innych instytucjach finansowych. RRSO oznacza Rzeczywistą Roczną Stopę Oprocentowania. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Wyprodukowano dnia 23.02.2018 r.

eprasa.pl 8bef0554e8

się" kupić według opakowania, które sugeruje nam producent, bo ten, kto chce kupować małe porcje, przepłaca. Przez lata straciliśmy rozeznanie, ile jeść, jemy na opakowania. Puchną też posiłki i porcje w fast foodach – warto w internecie czy na YouTubie odnaleźć informacje, jakiej wielkości była mała porcja frytek czy coli w fast foodach 30 lat temu, a jaka jest teraz. Polecam samemu to zobaczyć.

Dlaczego tak łatwo łapiemy się na promocyjne zestawy cola + gigapopcorn za 1/3 ceny?

Bo dają! A jak dają, to mi się należy. I wrzucamy w siebie coraz większe wiaderka, bezmyślnie. Brytyjczycy przeprowadzili badanie, w którym udowodniono, że jedząc w kinie bezrefleksyjnie, zwykle zjadamy do końca. Oglądamy film, a ręką sięgamy automatycznie do kubełka z popcornem, jemy do momentu, aż ręka wyczuje puste dno. Badanym ludziom dawano różne porcje w kubełkach z regulowanym dnem – jedli swobodnie 40 proc. więcej, niż sami uważali, że zjedli. Podobnie się zresztą dzieje, gdy jemy przed telewizorem czy przy komputerze. Ręka sięga po tyle słonych orzeszków czy ciastek, ile jest na talerzu.

Jak to wygląda w restauracjach? Też stosują jakieś zabiegi, żeby nas podtuczyć?

Poza tym, że sączą piękną muzykę, przyciszają światło i nadają potrawom nazwy, które lubimy lub do których aspirujemy – chodzi znów o porcje. O proporcje, czyli o talerz. Nie my decydujemy o ilości mięsa czy sosu, o dodanej soli czy śmietany do zupy, nawet gdy to zbędne. Wielu z nas ma opory przed tym, by zapytać o wielkość porcji czy poprosić o modyfikację – mówię to, pracując już kilka lat z osobami zmieniającymi nawyki żywieniowe. Wstydzimy się poprosić, by zdrowa sałatka nie pływała w tłustym sosie, którego kaloryczność może przekraczać wartość energetyczną całej sałatki. Głupio nam ingerować w porcje serwowanych nam dań, by zjeść mięso czy rybę z dużą porcją gotowanych warzyw, bez klusek śląskich hojnie polanych tłuszczem. W efekcie dajemy przyzwolenie, by o tym, jak się odżywiamy, decydowali szefowie kuchni, którzy przecież nas nie znają, nie wiedzą, czego potrzebujemy, a dodatkowo nie wiemy, co oni wiedzą o zdrowym żywieniu. Decydujemy o wyborze dania z karty i na tym się zwykle kończy. Warto pytać kelnerów o skład, nie bać się prosić o zmiany, bo często jest to możliwe. Tylko to my musimy być aktywni.

A dlaczego tak często wstydzimy się poprosić o zapakowanie niezjedzonego do końca dania na wynos i wmuszamy je w siebie?

Bo włącza nam się słyszane w dzieciństwie „Nie grymaś przy jedzeniu". Bo myślimy, że „nie wypada", choć sami nie wiemy, dlaczego niby „nie wypada". Bo „nie chcemy robić kłopotu", choć kłopotem to nie jest, a dla wielu restauracji jest to normalnością. Bo mamy wdrukowane myślenie, że to, co dostajemy, jest właściwą porcją dla każdego, czyli dla mnie też. Bo nie słuchamy swojego ciała, wyłączamy własne potrzeby i jemy według potrzeb oraz porcji ludzi i firm, którzy nas nie znają.

Często np. płatki fitness tak naprawdę nie są fit.

Słowa „fitness" czy „fit" stały się w reklamie lub na opakowaniach pustymi pojęciami, które my, klienci, chcemy widzieć, bo chcemy wierzyć, że chociaż nie wiem, co jem, to producent wie, że ja chcę jeść zdrowo, i tak mnie karmi. No bzdura przecież. Bo co to znaczy „fitness" na opakowaniu płatków? Że ile mają cukru czy soli, a ile pełnoziarnistych płatków? Nie wierzmy w słowa wydmuszki, wierzmy swojemu rozumowi i czytajmy etykiety. I nie ma usprawiedliwienia, że nie rozumiem. Trzeba raz się nad tym pochylić i przyswoić wiedzę niezbędną do tego, by kupować to, co służy dobrze nam i naszym rodzinom. Trzeba tę lekcję odrobić i nie ma przebacz. Bo inaczej całe życie będziemy jojczeć, że producenci oszukują, a ja, biedulek, nie wiem, co jem. Uczymy się jazdy samochodem, uczymy się, jak działa komputer, uczymy się podstaw bankowości i uczymy się makijażu. To nauczmy się wreszcie czytać etykiety! Porównujmy produkty leżące obok siebie na półce, sprawdzajmy, jaki mają skład, a nie tylko cenę i datę przydatności. Tyle pyskujemy w polityce, tak się wymądrzamy o edukacji czy służbie zdrowia, znamy się niby na wszystkim – a dalej nie wiemy, co kupujemy i co jemy.

> Niestety dziś prawie zanikło pojęcie porcji, bo kupujemy i jemy na opakowania lub kilogramy

Jakich jeszcze słów kluczy używają producenci, żeby zachęcić nas do kupowania?

Pamiętajmy, że najsilniejszą emocją człowieka jest strach. Rodzice boją się o swoje dzieci, boją się o ich zdrowie, o ich rozwój, o to, by właściwie się odżywiały. Są więc podatni na liczne sugestie – zarówno graficzne, jak i hasłowe. Bo jako rodzice chcemy wierzyć, że robimy dla naszych dzieci to, co najlepsze, że mądrze je wychowujemy. Mnóstwo czasu i energii wkładamy przecież w codzienność rodzinną, często zmęczeni odpuszczamy w temacie jedzenia – idziemy na skróty, nie sprawdzamy, co kupujemy. I ładujemy w dzieci słodkie serki, słodzone napoje udające sok i chemiczne opakowania tłusto-słodko-słonych przekąsek. To droga donikąd. Narracyjnie jesteśmy podatni na określenia typu „pożywny baton". Pożywny, czyli niby jaki? Wierzymy, że „mleczna kanapka" ma coś wspólnego z kanapką, kupujemy przesłodzone snacki pod wpływem reklamy, w której z wiadra płynie zdrowe mleko i leje się na zdrowe, smakowicie wyglądające orzechy. Z tym obrazem w oczach sięgamy na półkę, nie patrząc na skład produktu, nie weryfikując obrazów w reklamie z tym, co wkładamy do wózka w sklepie. Przepraszam za to, co teraz powiem, ale reklama nie zwalnia z myślenia ani z odpowiedzialności.

eprasa.pl 8bef0554e8



Bank Pekao SA na stulecie odzyskania niepodległości: jakie zobowiązania nakłada na nas historia?

Osiemdziesiąt dziewięć lat temu, 17 marca 1929 r., powstał Bank Polska Kasa Opieki SA. – W jubileuszowym roku stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę przypominamy naszą wielką historię i pokazujemy, że jest ona dla nas inspiracją – mówił **Michał Krupiński**, prezes zarządu Banku Pekao SA, podczas konferencji inaugurującej włączenie się Banku w obchody stulecia.

Gościem honorowym uroczystości był marszałek senior Sejmu RP **Kornel Morawiecki**, który zwrócił uwagę na kluczowe znaczenie instytucji finansowych dla całej wspólnoty narodowej. – Pieniądz i wymiana dóbr między ludźmi są czymś, co tworzy wspólnotę. Można powiedzieć, że bogactwo jest tworzone przez to, że jesteśmy razem – mówił Kornel Morawiecki w wystąpieniu otwierającym uroczystość.

22/03/18/F

Bank Pekao

niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

eprasa.pl 8bef0554e8

Bank wielkich tradycji



Fot. Marcin Łobaczewski

Uroczystość rozpoczęło doskonale przyjęte wystąpienie marszałka seniora **Kornela Morawieckiego**. Na zdjęciu z prezesem **Michałem Krupińskim**.

ALEKSANDRA GRABOWSKA

Konferencja w Hotelu Bristol została zorganizowana niemal dokładnie w 89. rocznicę powstania Banku Pekao SA. List do zgromadzonych skierował marszałek Sejmu RP Marek Kuchciński. W wydarzeniu udział wzięli posłowie i senatorowie RP, wiceprezes Instytutu Pamięci Narodowej Mateusz Szpytma, a także przedstawiciele Narodowego Banku Polskiego i Rady Polityki Pieniężnej. Obecni byli również Zdzisław Sokal, doradca Prezydenta RP i prezes zarządu Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, Wojciech Kirejczyk, zastępca dyrektora Biura Programu „Niepodległa", oraz dyrektorzy warszawskich muzeów.

Honorowym gościem konferencji był marszałek senior Sejmu RP Kornel Morawiecki. Prowadzący uroczystość Maciej Zdziarski, doradca zarządu Banku Pekao SA odpowiedzialny za program obchodów stulecia, podkreślił, że obecność wybitnego działacza opozycji antykomunistycznej ma wymiar symboliczny. Przypomina, że w ciągu 100 lat od 1918 r. Polacy wciąż musieli się upominać i starać o niepodległość. Symbolem niezłomnej postawy i walki o wolność jest Kornel Morawiecki.

Mówiąc o znaczeniu instytucji finansowych dla istnienia i pomyślności narodu, marszałek senior przywołał dramatyczną historię ewakuacji złota i dewiz Banku Polskiego na terytorium Francji we wrześniu 1939 r. Organizatorami spektakularnej ewakuacji byli Ignacy Matuszewski i Henryk Floyar-Rajchman. – Dokonali absolutnego cudu. Skutecznie przewieźli złoto Banku Polskiego – przypomniał marszałek senior. Jego przemówienie zostało przyjęte brawami.

DUMA I ZOBOWIĄZANIE

Podczas konferencji prezentowane były archiwalne zdjęcia i dokumenty Banku, który przed wojną rozwijał swoją działalność przede wszystkim za granicą. – Kiedy zajrzeliśmy do archiwów, byliśmy pod wrażeniem osiągnięć naszych poprzedników. W ciągu zaledwie 10 lat działalności przed wojną stworzono ogromną instytucję finansową, otwar-

eprasa.pl 8bef0554e8

to placówki w różnych częściach świata. Jesteśmy dumni i czujemy, że to dla nas potężne zobowiązanie – podkreślał prezes Michał Krupiński.

– Dziś chcemy w nowoczesny sposób nawiązać do idei Banku, która przyświecała jego twórcom. Podobnie jak nasi ojcowie założyciele bardzo mocno stawiamy na wsparcie aktywności zagranicznej polskich firm. Ważnym celem Banku jest podnoszenie ambicji rozwojowych naszych klientów – mówił podczas konferencji Michał Krupiński. Prezes Banku Pekao SA powiedział, że zapadła kierunkowa decyzja o otwarciu pierwszego przedstawicielstwa w Londynie. – Chcemy być bliżej naszych akcjonariuszy, a także pomagać polskim firmom aktywnym w Wielkiej Brytanii – wyjaśniał. Jak zaznaczył, w Londynie ma powstać na razie biuro, a ewentualne otwarcie placówki będzie przedmiotem dalszych analiz. Michał Krupiński potwierdził również, że analizowane są perspektywy otwarcia biur w Nowym Jorku.

Bank Pekao SA zainaugurował obchody stulecia odzyskania niepodległości debatą historyków i wystawą prezentującą historię pierwszego dziesięciolecia. W dyskusji „Utworzenie Banku Polska Kasa Opieki w 1929 r. jako przykład polityki gospodarczej II RP. Jakie zobowiązania nakłada na nas historia?" udział wzięli profesorowie: Andrzej Chojnowski (Uniwersytet Warszawski), Wojciech Morawski (Szkoła Główna Handlowa), Waldemar Paruch (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej) i Włodzimierz Suleja (Instytut Pamięci Narodowej).



Fot. Marcin Łobaczewski

Uczestnicy dyskusji podkreślali znaczącą rolę, jaką odegrał w historii II RP Bank Polska Kasa Opieki SA. Od lewej: **prof. Włodzimierz Suleja**, **prof. Wojciech Morawski**, **prof. Andrzej Chojnowski** oraz prowadzący dyskusję **Maciej Zdziarski**.

HISTORYCZNA ROLA BANKU

– Już w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości podejmowane były próby zagospodarowania oszczędności Polaków zamieszkałych za granicą oraz umożliwienia Polonii przekazywania pieniędzy do kraju – przypominał prof. Wojciech Morawski. – Powstanie Banku Polska Kasa Opieki wpisywało się też w plan budowy silnego sektora państwowego w bankowości polskiej, co było konieczne po tym, jak wojna i inflacja pozbawiły kraj kapitału prywatnego.

Chociaż okres tworzenia się Banku – rok 1929 – kojarzy się głównie z wielkim kryzysem gospodarczym, w Polsce



Fot. Marcin Łobaczewski

Profesor Waldemar Paruch opowiedział o wyjątkowej postaci Henryka Grubera, pierwszego prezesa Banku Polska Kasa Opieki.

eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. Marcin Łobaczewski

W konferencji uczestniczyli przedstawiciele administracji publicznej, najważniejszych instytucji finansowych i kulturalnych. Na zdjęciu m.in. członkowie zarządu Banku Pekao SA.



Fot. Marcin Łobaczewski

Zdzisław Sokal złożył w imieniu Prezydenta RP Andrzeja Dudy gratulacje z okazji włączenia się Banku Pekao SA w obchody stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę.

przełom lat 20. i 30. był czasem poszukiwania odpowiedzi na wyzwania gospodarcze, przede wszystkim gigantyczne straty, jakie na polskich ziemiach wywołała I wojna światowa, a wcześniej 123 lata zaborów. Profesor Andrzej Chojnowski przypomniał, że Bank był w II RP ważnym inwestorem, m.in. udzielił prezydentowi Warszawy Stefanowi Starzyńskiemu pożyczki w wysokości 5 mln zł na realizację przedsięwzięć modernizujących stolicę.

Bank realizował także ważne założenia gospodarcze państwa, wśród których, zgodnie z doktryną Marszałka Józefa Piłsudskiego, była budowa przemysłu zbrojeniowego. – Gospodarka, w tym także państwowa bankowość, miała być instrumentem obrony polskiej racji stanu. Dla Marszałka Piłsudskiego gospodarka nie była celem samym w sobie – mówił prof. Waldemar Paruch.

Profesor Morawski zaznaczył, że z biegiem lat rosła rola Banku, który na początku zajmował się głównie gromadzeniem oszczędności Polaków za granicą. Ogromne znaczenie miał fakt, że Polska Kasa Opieki rozwinęła mnóstwo kontaktów zagranicznych. – Bank podtrzymywał te kontakty w czasie wielkiego kryzysu, poza tym sporo inwestował w różne prestiżowe przedsięwzięcia. Dla narodu, który dopiero odzyskał niepodległość, miało to duże, symboliczne znaczenie – podkreślał historyk.

– Trzeba pamiętać, że w momencie założenia Banku Polska funkcjonowała jako niepodległe państwo zaledwie od 10 lat. Do odrobienia mieliśmy mnóstwo i na każdym polu. Warto zwrócić uwagę, kto mierzył się z tymi wyzwaniami, byli to ludzie nieprzypadkowi, zaprawieni w boju – mówił prof. Włodzimierz Suleja, wskazując na postać Henryka Grubera, założyciela Banku, pierwszego i jedynego przedwojennego prezesa.

Z LEGIONÓW DO BANKOWOŚCI

Zdaniem prof. Sulei Henryk Gruber odznaczał się głębokim poczuciem służby publicznej. – Jego całe życie determinowały przeżycia z młodości: zaangażowanie w ruch strzelecki oraz Legiony. Pod Jastkowem przeszedł trudny chrzest bojowy, potem wziął udział w bitwie pod Kostiuchnówką i wojnie w 1920 r. Był dobrym frontowym żołnie-

eprasa.pl 8bef0554e8

rzem, nie bez powodu został odznaczony Orderem Virtuti Militari. To była wyjątkowa postać.

Jak stwierdził prof. Andrzej Chojnowski, jedną z największych zalet Henryka Grubera był fakt, że potrafił patrzeć na rzeczywistość w szerokim kontekście. – Był człowiekiem o niesłychanej aktywności i pomysłach – ocenił. Profesor Waldemar Paruch zwrócił uwagę, że wszystkich piłsudczyków łączył styl myślenia o państwie i służbie publicznej, a wbrew popularnemu przekonaniu przeszłość legionowa wcale nie gwarantowała kariery. To ze względu na swoje osobiste zdolności i znakomitą orientację w rzeczywistości gospodarczej Gruber był prezesem Banku Polska Kasa Opieki od momentu powstania tej instytucji aż do wybuchu II wojny światowej. – Zakres działalności instytucji w ciągu 10 lat znacznie się rozszerzał, ale Gruber potrafił dostosowywać do tych zmian swoje decyzje.

Profesor Chojnowski przypomniał, że Henryk Gruber był cenionym społecznikiem, który finansował m.in. biblioteki. Tworzone były one w miejscach, gdzie funkcjonowały zagraniczne oddziały Banku. Jak zauważył historyk, duża liczebność Polonii w okresie międzywojennym wynikała często z biedy, z którą zmagali się Polacy w kraju. – Ludzie wyjeżdżali za granicę z konieczności. Wymagali wsparcia. Bank doskonale realizował misję budowania więzi między polską diasporą a macierzą – ocenił historyk.

WIELKI JUBILEUSZ

Bank Pekao SA zapowiada kolejne działania na rzecz uczczenia 100. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę. – Będziemy aktywnie wspierać obchody i jednocześnie przygotowywać się do 90-lecia Banku, które przypada w 2019 r. – zapowiada prezes Michał Krupiński. Jak dodaje, powrót do korzeni jest naturalną konsekwencją niedawnej repolonizacji Banku.

Jak poinformowano, w planach są m.in. wydawnictwa popularyzujące przedwojenną historię Banku, wystawa historyczna eksponowana w wybranych placówkach oraz udział w inicjatywach edukacyjnych poświęconych obchodom stulecia.



Fot. Marcin Łobaczewski

Jerzy Kropiwnicki, członek Rady Polityki Pieniężnej, mówił o zagranicznych oddziałach Banku Pekao SA, które przetrwały II wojnę światową.



Fot. Marcin Łobaczewski

Prezes Michał Krupiński zapowiedział szereg działań, które podejmie Bank Pekao SA w związku z obchodami stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę.

eprasa.pl 8bef0554e8

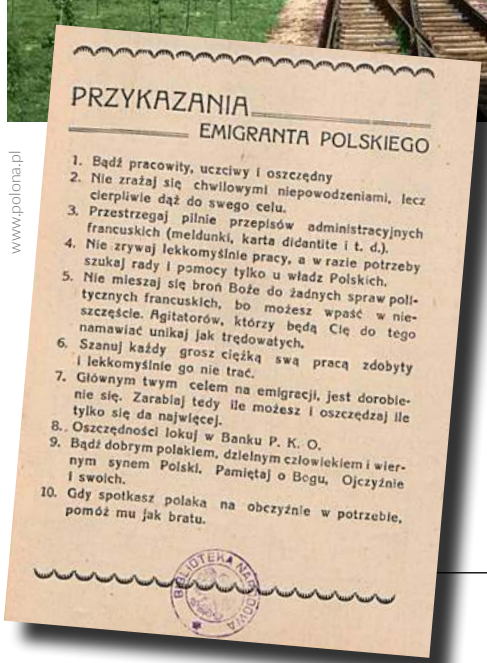
Bank dla Polaków za granicą


Przedruk z Dziem. Urzęd. „Monitor Polski" Nr 220 z d. 24 września 1929 r.

STATUT
SPÓŁKI AKCYJNEJ
POD FIRMĄ:
Bank „Polska Kasa Opieki".
Spółka Akcyjna

WARSZAWA
1929




PRZYKAZANIA
EMIGRANTA POLSKIEGO

1. Bądź pracowity, uczciwy i oszczędny
2. Nie zrażaj się chwilowymi niepowodzeniami, lecz cierpliwie dąż do swego celu.
3. Przestrzegaj pilnie przepisów administracyjnych francuskich (meldunki, karta dicantite i t. d.).
4. Nie zrywaj lekkomyślnie pracy, a w razie potrzeby szukaj rady i pomocy tylko u władz Polskich.
5. Nie mieszaj się broń Boże do żadnych spraw politycznych francuskich, bo możesz wpaść w nieszczęście. Agitatorów, którzy będą Cię do tego namawiać unikaj jak trędowatych.
6. Szanuj każdy grosz ciężką swą pracą zdobyty i lekkomyślnie go nie trać.
7. Głównym twym celem na emigracji, jest dorobienie się. Zarabiaj tedy ile możesz i oszczędzaj ile tylko się da najwięcej.
8. Oszczędności lokuj w Banku P. K. O.
9. Bądź dobrym polakiem, dzielnym człowiekiem i wiernym synem Polski. Pamiętaj o Bogu, Ojczyźnie i swoich.
10. Gdy spotkasz polaka na obczyźnie w potrzebie, pomóż mu jak bratu.

Fragment broszury „Informacje dla emigrantów w sprawie oszczędności", Mała Biblioteka Emigranta Polskiego, Mysłowice 1937.

Fot. NAC

www.polona.pl

Osiem milionów – na tyle szacuje się liczbę Polaków, którzy w okresie międzywojennym żyli poza ojczyzną. Emigranci stanowili aż jedną czwartą wszystkich żyjących wówczas Polaków, a gromadzony przez nich kapitał był na wagę złota dla tworzącego się po 123 latach zaborów państwa. Polacy, którzy chcieli przesyłać pieniądze rodzinie żyjącej w kraju, byli skazani na usługi zachodnich banków. Inni radzili sobie, przekazując banknoty np. przez znajomych wybierających się do Polski.

Aby poprawić sytuację Polonii, 17 marca 1929 r. na podstawie decyzji Ministerstwa Skarbu powołano Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna. Zadaniem nowej instytucji było z jednej strony obsługiwanie przekazów z zagranicy do Polski, a z drugiej – chronienie oszczędności Polaków zamieszkałych poza ojczyzną.

eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. NAC

Pracownicy paryskiego oddziału Banku Polska Kasa Opieki SA szybko zdobyli zaufanie Polonii. Zdjęcie pochodzi z 1930 r.

Pierwszy oddział Polskiej Kasy Opieki powstał w Paryżu pod koniec 1929 r. – w niezwykle trudnym czasie dla światowej gospodarki. W kolejnych latach Bank musiał zawalczyć o zaufanie przyszłych klientów (szacuje się, że w stolicy Francji żyło wówczas ponad pół miliona Polaków). Pracownicy Banku rozsyłali tysiące listów i druków reklamowych, organizowali promocję m.in. podczas imprez sportowych. Ich starania przyniosły oczekiwane owoce. W 1938 r. oddział prowadził już ok. 27 tys. książeczek oszczędnościowych! Udzielał kredytów polskim rzemieślnikom i kupcom, którzy potrzebowali gotówki na rozwój interesów w Paryżu. Jak stwierdził przedstawiciel paryskiej Polonii, rodacy znajdywali w Banku *oparcie, życzliwą radę i możność najkorzystniejszego załatwienia spraw finansowych*.

W ciągu paru lat w całej Francji powstało w sumie 18 agencji i biur Polskiej Kasy Opieki – m.in. w Lens, Strasburgu czy Tuluzie. Z zysków wypracowanych we Francji Bank kupił w Paryżu nowe nieruchomości (początkowo paryski oddział miał siedzibę w... kilkupokojowym mieszkaniu).

W maju 1933 r. Polska Kasa Opieki uruchomiła swój oddział w Tel Awiwie. Jego klientami stali się w szczególności polscy Żydzi, którzy wyjechali do Palestyny, ale utrzymywali kontakt z Polską. Oddział szybko zdobył zaufanie klientów – w pierwszym roku działalności zrealizował 6,8 tys. transferów, rok później – 30 tys., a dwa lata później – już 47 tys.!

W 1935 r. założono kolejny oddział – tym razem w Hajfie. Bank aktywnie działał na rzecz międzypaństwowej wymiany handlowej. Z Polski do Palestyny eksportowano polskie i hebrajskie książki, instrumenty muzyczne, drewno, żywność i artykuły przemysłowe. W odwrotnym kierunku – owoce, oliwki i wino.

Bank Polska Kasa Opieki, zgodnie ze swą nazwą, ma ***roztaczać opiekę nad rozsianymi po świecie rodakami i chronić ich przed wyzyskiem nieuczciwej spekulacji, żerującej na nieświadomości mas emigranckich****. Głównem więc zadaniem każdej placówki zagranicznej Banku winno być uświadomienie skupionych na terenie placówki Polaków o celach i zadaniach Banku i skierowanie tychże na drogę, która w sposób bezwzględnie pewny* ***zabezpiecza rezultaty ich pracy przed zmarnowaniem się i wyzyskiem*** – napisano w „Sprawozdaniu Banku Polska Kasa Opieki S.A. z działalności w roku 1934”.

eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. NAC

Otwarcie oddziału w USA wymagało mnóstwa zabiegów dyplomatycznych.
Na zdjęciu Prezes Banku Polska Kasa Opieki Henryk Gruber podczas obchodów 3 Maja w Chicago, 1935 r.

Decyzja o otwarciu oddziału Banku Polska Kasa Opieki w Stanach Zjednoczonych zapadła już w 1933 r., jednak ze względu na trudności formalnoprawne okazało się to możliwe dopiero w marcu 1939 r. *Już w pierwszych miesiącach swej działalności Oddział sfinansował szereg transakcji na import z Polski do Stanów Zjednoczonych towarów włókienniczych, książek i artykułów kościelnych*. Niestety rozwój oddziału został zahamowany przez wybuch II wojny światowej.

W okresie międzywojennym Polacy żyjący w Argentynie przesyłali do ojczyzny sporo pieniędzy, ale musieli korzystać przy tym z usług obcych instytucji bankowych. Władze Banku Polska Kasa Opieki uznały, że warto uruchomić tam własną placówkę. Gdy okazało się, że argentyńskie prawo zabrania tworzenia oddziałów zagranicznych banków, podjęto decyzję o powołaniu odrębnej spółki, Banco Polaco Polska Kasa Opieki. W 1934 r. utworzono Agencję Objazdową, obsługującą oddalone od siebie skupiska Polonii, a w 1937 r. – Oddział Miejski w handlowej dzielnicy Buenos Aires. Pracownicy Banku sami aranżowali kontakty z klientami – gdy z Polski przybywał statek, zjawiali się w porcie, by pomóc świeżym emigrantom w załatwieniu spraw bankowych (np. wymianie pieniędzy) czy udzielić informacji.

Kiedy do portu Buenos Aires zawinął słynny Dar Pomorza, stworzono specjalny komitet powitalny z dyrektorem oddziału Banku Polska Kasa Opieki na czele. Załoga zwiedziła siedzibę Banku i otrzymała skórzane portfeliki, które stały się głównym gadżetem i znakiem rozpoznawczym Banku (także we Francji).

Przyjazd Daru Pomorza, który był niezwykle radosnym wydarzeniem w tutejszej kolonii polskiej, a zarazem znakomitym czynnikiem propagandowym wobec najszerszych sfer argentyńskich, został przez nas również wykorzystany dla propagandy na rzecz naszego Banku, przy czym wstawiliśmy do filmu, sporządzonego z przyjęcia statku, wkładkę z odpowiednimi napisami, omawiającymi działalność naszego Banku – odnotowano w sprawozdaniu za 1937 r.

eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. NAC

Gdy okazało się, że argentyńskie prawo zabrania tworzenia oddziałów zagranicznych banków, podjęto decyzję o powołaniu odrębnej spółki, Banco Polaco Polska Kasa Opieki. Na zdjęciu uroczystość otwarcia oddziału w Buenos Aires z udziałem argentyńskich oficjeli (1936 r.).



Fot. Archiwum Banku Pekao SA

Przyjeżdżali do mnie robotnicy z zagłębia węglowego z północnej i środkowej Francji i przywozili pieniądze. Otwierałem im książeczki oszczędnościowe. Nieraz ich pytałem, czy nie wygodniej byłoby im jednak przesłać pieniądze do kraju pocztą. Odpowiadali, że wolą przyjeżdżać. ***U nas mogą porozmawiać po polsku. Mieli zaufanie do mnie, oczekiwali rady na temat sposobów lokowania pieniędzy. Dobrze się u nas czuli.***

Stanisław Rączkowski

Pracownik przedwojennego paryskiego oddziału Polskiej Kasy Opieki, późniejszy profesor nauk ekonomicznych

Źródło: „Bank Pekao SA 1929... 2002...", Warszawa 2002

eprasa.pl 8bef0554e8

Wizytówka niepodległej Rzeczypospolitej



Międzynarodowy Dzień Oszczędności 1936 w Buenos Aires – przedstawienie wystawiane przez dzieci. Z sukien dziewczynek układa się hasło: „Banco Polaco Polska Kasa Opieki to pewność i zaufanie".

Fot. Zbiory Biblioteki Polskiej im. Ignacego Domeyki w Buenos Aires (Biblioteca Polaca Ignacio Domeyko)

Bank Polska Kasa Opieki, zgodnie ze swą nazwą, ma roztaczać opiekę nad rozsianymi po świecie rodakami [...]. *Około placówek naszego Banku grupuje się emigracja, darząc Bank zaufaniem i życzliwością, jako „swoją" instytucję, która zawsze służy jej chętnie radą i pomocą* – odnotowano w sprawozdaniu z działalności Banku Polska Kasa Opieki za 1934 r.

Oddziały Banku Polska Kasa Opieki przeznaczały znaczne fundusze na cele społeczne. We francuskim Lille działał internat dla ubogich dzieci im. Banku Polska Kasa Opieki. Bank dofinansował pokaźną kwotą również budowę Domu dla Starców, Wdów i Sierot w Lens. Dla polskich uczniów w Paryżu fundowano stypendia i nagrody w konkursach. W Tel Awiwie Bank pełnił funkcję animatora życia emigrantów z Polski. Władze oddziału uczestniczyły w lokalnych imprezach, uroczystościach państwowych i religijnych. Oddział był organizatorem obchodów Międzynarodowego Dnia Oszczędzania.

Zagraniczne placówki Banku Polska Kasa Opieki były szczególnie aktywne w obszarze kultury. *Polska Kasa Opieki musiała często wychodzić poza ramy ściśle bankowe, gdyż rzeczywistość wciągała ją do akcji społecznej* – odnotował założyciel Banku Henryk Gruber. *Swego czasu, znana warszawska firma wydawnicza Gebethner i Wolff założyła w Paryżu księgarnię, lecz z powodu trudnych warunków stanęła przed koniecznością jej zwinięcia. Zwrócono się do mnie z kilku stron o uratowanie tej placówki. Ze względu na wzmożoną wówczas polską emigrację robotniczą do Francji uważałem, że dalsze istnienie tej księgarni będzie miało wpływ korzystny na utrzymanie polskiego czytelnictwa, więc na moje zlecenie Dyrekcja Banku* [Polska Kasa Opieki] *kupiła księgarnię od firmy Gebethner i Wolff, po czym dla jej reorganizacji*

eprasa.pl 8bef0554e8



Dyrektor Banco Polaco Eugeniusz Bączkowski otwiera Świetlicę Ogólnopolskiego Komitetu Oświatowego w Buenos Aires (1938 r.). Polacy w Argentynie chętnie korzystali z czytelni powstałej z inicjatywy Banku Polska Kasa Opieki, podobnie jak przedstawiciele diaspory w różnych częściach Francji.

Fot. Zbiory Biblioteki Polskiej im. Ignacego Domeyki w Buenos Aires (Biblioteca Polaca Ignacio Domeyko)

zaangażowaliśmy dobrego fachowca jako dyrektora. Księgarnia pod nazwą „Księgarnia Polska" funkcjonowała i dawała zyski aż do wojny. Wsparcie finansowe ze strony Banku pozwoliło założyć w stolicy Francji bibliotekę oświatową w Domu Polskim, a w Lens i Freyming-Merlebach – czytelnie. Czytelnia powstała również w Buenos Aires.

Jednym z najważniejszych elementów misji Banku Polska Kasa Opieki było promowanie oszczędzania pieniędzy. Służyły temu obchody Międzynarodowego Dnia Oszczędności, często urządzane jednocześnie z Narodowym Świętem Niepodległości. Tylko w 1937 r. w obchodach na terenie Francji wzięło udział ponad 50 tys. Polaków! Już rok później z satysfakcją odnotowano, że *społeczeństwo wychodźcze organizuje samorzutnie takie obchody, dowodząc tym, że idea oszczędności została należycie zrozumiana i że przynosi ona korzyści szerokim masom emigracji*.

Oddział Banku w Paryżu był współorganizatorem konkursów o tematyce oszczędnościowej dla dzieci, nauczycieli, działaczy społecznych i gospodyń domowych. W Argentynie posiadacze książeczek oszczędnościowych otrzymywali bezpłatnie ważne emigracyjne pismo „Głos Polski", w Paryżu *każdy depozytarjusz, zależnie od wysokości złożonych w danym okresie wkładów, mógł otrzymać bon na bezpłatny przejazd pewnej ilości kilometrów w granicach Francji*. W Palestynie urządzano specjalne objazdy i transmisje audycji o tematyce oszczędnościowej nadawanych z Warszawy. W 1937 r. klienci, którzy oszczędzali najwytrwalej, otrzymali nagrody pieniężne. Szczególnie wiele uwagi poświęcono edukacji ekonomicznej dzieci. W Argentynie rozdawano polskim uczniom książeczki z symbolicznym wkładem w wysokości 1 peso.

eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. NAC

Witryny wystawowe Biura Podróży Orbis przy prestiżowej Regent Street w Londynie, 1938 r. Prezes Banku Polska Kasa Opieki przywiązywał wielką wagę do promocji Polski za granicą.

Dużą prężność wykazywała placówka londyńska, urządzając wystawy polskiej sztuki ludowej i dekoracyjnej, malarstwa, grafiki, sprzętu narciarskiego. Niezależnie od własnych wystaw, często zmienianych, urządzono w najważniejszych obcych biurach podróży 23 wystawy okienne, propagujące turystykę do Polski.

H. Gruber, „Wspomnienia i uwagi 1892–1942”, Gryf Publications, Londyn 1968

Ze środków Banku finansowane były ważne inwestycje II RP – Polska Kasa Opieki posiadała m.in. obligacje kolei Śląsk–Gdynia, a przez kilka lat dofinansowywała budowę Domu Polaków z Zagranicy im. Marszałka Józefa Piłsudskiego przy ul. Rybaki 14 w Warszawie.

W 1933 r. Bank wykupił Biuro Podróży Orbis. W rocznym sprawozdaniu z działalności tak tłumaczono nową inwestycję: *Kupno to ma na celu utworzenie polskiego biura podróży o charakterze narodowym i państwowe nastawienie jego działalności.*

W ciągu zaledwie kilku lat firma zdołała pięciokrotnie powiększyć swój kapitał. Powstało ponad 80 placówek, m.in. w Nowym Jorku, Londynie, Berlinie, Paryżu i Brukseli. Jak napisano w sprawozdaniu za 1937 r., dzięki współpracy z zagranicznymi oddziałami Banku Polska Kasa Opieki Narodowe Biuro Podróży Orbis zaliczano do najpoważniejszych zagranicznych przedsiębiorstw w branży.

Zagraniczne oddziały Banku aktywnie angażowały się w promocję pozytywnego wizerunku Polski. W sprawozdaniu za 1934 r. odnotowano: *Oddział Palestyński zaprezentował się na Targach Lewantyńskich własnem stoiskiem w głównym pawilonie polskim. Stoisko przedstawiało rozwój Banku. Pozatem obejmowało eksponaty*

eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. NAC

Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę Domu Polaków z Zagranicy, czerwiec 1938 r. Dom powstał m.in. dzięki środkom Banku Polska Kasa Opieki. Na pierwszym planie od lewej: gen. Kazimierz Sosnkowski, Marian Zyndram-Kościałkowski, ówczesny minister pracy i opieki społecznej, oraz Władysław Raczkiewicz, wówczas prezes Światowego Związku Polaków z Zagranicy.

wyrobów krajowych, przedstawiające bogactwa naturalne Polski, jak np. marmury, węgiel, pszenicę, cukier, dąb, sól itp. Stoisko artystycznie wykonane i zajmujące reprezentacyjne miejsce, cieszyło się wielkiem powodzeniem i zostało nagrodzone przez kierownictwo Wystawy Lewantyńskiej złotym medalem.

Młode polskie inicjatywy biznesowe mogły liczyć na wsparcie zagranicznych oddziałów Banku. W 1933 r. oddział argentyński udzielił pożyczki hipotecznej Spółce Kolonizacyjnej „Vistula". *Pożyczka ta umożliwiła ocalenie pierwszego polskiego przedsiębiorstwa kolonizacyjnego, założonego staraniem Poselstwa RP* […]. *Sprawa powyższa jakkolwiek ma dla Banku znaczenie drugorzędne, jest jednak z punktu widzenia lokalnych interesów polskich wyjątkowo ważna* – napisano w rocznym sprawozdaniu.

Bank Polska Kasa Opieki chętnie odwoływał się w swojej działalności do argumentacji patriotycznej. Sprawozdanie z działalności w 1935 r. rozpoczęto od nekrologu poświęconego zmarłemu Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. [Jego] *czyny i dzieła pozostaną dla nas na zawsze wzorem i drogowskazem w dalszej pracy, prowadzonej wśród emigracji polskiej na terenach europejskich i zamorskich, którą to emigrację łączymy na polu gospodarczo-społecznem z Macierzą.*



Fot. NAC

Generał Kazimierz Sosnkowski rzuca pierwszą kielnię wapna przy zamurowywaniu aktu erekcyjnego podczas uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego.



Fot. NAC

Widok na Dom Polaków z Zagranicy, 1939 r.

eprasa.pl 8bef0554e8

Zagraniczne oddziały Banku były ważnymi ośrodkami polskości. Bez przesady można stwierdzić, że żadne większe polonijne wydarzenie towarzyskie nie mogło odbyć się bez udziału przedstawicieli Banku.



Kapitan Stanisław Skarżyński

Wizyta kpt. Stanisława Skarżyńskiego (piąty od lewej), ówczesnego rekordzisty w odległości lotu, w Buenos Aires (1933 r.). Obok kapitana prezes Banco Polaco Eugeniusz Bączkowski.

Fot. Zbiory Biblioteki Polskiej im. Ignacego Domeyki w Buenos Aires (Biblioteca Polaca Ignacio Domeyko)



Hanka Ordonówna

Hanka Ordonówna podczas pobytu w Jerozolimie (1934 r.). Artystce i jej mężowi hr. Michałowi Tyszkiewiczowi (siedzą od prawej) towarzyszy dyrektor oddziału Banku Polska Kasa Opieki SA w Tel Awiwie Tadeusz Piech (drugi od lewej).

Fot. NAC

eprasa.pl 8bef0554e8



Przyjęcie w Konsulacie Generalnym RP w Jerozolimie (1933 r.). Zofia Kossak-Szczucka (siedzi pierwsza od lewej) i dyrektor oddziału Banku Polska Kasa Opieki Tadeusz Piech (klęczy pierwszy z prawej).

Fot. NAC

Pożyczka za wysokie C Kiepury

Pewnego dnia zadzwonił do Jerzego Gronziewicza, zastępcy dyrektora Oddziału [w Paryżu], *Jan Kiepura z prośbą o udzielenie jednemu z naszych paryskich klientów szybkiego kredytu w wysokości tysiąca franków. Gronziewicz był nieco zdziwiony, że Kiepura dzwoni w takiej sprawie* [...]. *Po zastanowieniu powiedział, że jeśli zademonstruje mu przez telefon swoje wysokie C, to udzieli pożyczki. No i Kiepura ryknął mu w słuchawkę. Pożyczka została udzielona..*

Stanisław Rączkowski

Źródło: „Bank Pekao SA 1929... 2002...", Warszawa 2002



Wizyta Jana Kiepury (siódmy od lewej) w nowojorskiej siedzibie Banku Polska Kasa Opieki. U góry zdjęcia autograf Jana Kiepury.

Fot. Archiwum Banku Pekao SA

eprasa.pl 8bef0554e8

Pionierzy reklamy i PR

Jak odnotowano w sprawozdaniu z działalności w 1937 r., Polska Kasa Opieki stawiała na *różnorodność form, ciągłość w utrzymywaniu kontaktu propagandowego z klientelą i dążność do bezpośredniego docierania do skupisk emigracji*. Stosowano nowoczesne narzędzia i kanały promocji:

- reklamy w prasie wysokonakładowej, wkładki do czasopism i książek, audycje radiowe, filmy promocyjne,
- gadżety firmowe: papier listowy i koperty, pocztówki, ołówki polskiej produkcji, kalendarze, portfele, mapy Polski,
- skarbonki jako nagrody dla dzieci, którym udało się osiągnąć najlepsze wyniki w oszczędzaniu,
- tzw. szafki propagandowe – specjalnie oświetlone witryny Banku zawierające materiały reklamowe na statkach Kościuszko i Pułaski oraz w lokalach polonijnych organizacji,
- indywidualne listy do potencjalnych klientów (tylko w 1933 r. paryski oddział rozesłał 50 tys. egz.!), reklamy rozsyłane razem z życzeniami świątecznymi i noworocznymi,
- wywieszki propagandowe na stacjach kolejowych i reklamy neonowe,
- imprezy gwiazdkowe dla polskich dzieci.

Przedwojennemu Bankowi Polska Kasa Opieki nieobce były także nowoczesne narzędzia z zakresu zarządzania zasobami ludzkimi. Zdaniem dyrekcji *wyszkolony materiał urzędniczy jest jednym z podstawowych czynników sprawnej pracy, a tym samym dobrej obsługi klienteli*. Nowi pracownicy poddawani byli dwóm egzaminom – teoretycznemu i praktycznemu. Najzdolniejsi mieli szansę wyjechać na placówki we Francji, Argentynie i Palestynie. *System ten dał bardzo dodatnie rezultaty* – odnotowano z satysfakcją w sprawozdaniu z 1936 r.



Fot. Zbiory Biblioteki Polskiej im. Ignacego Domeyki w Buenos Aires (Biblioteca Polaca Ignacio Domeyko)

W niniejszym wydawnictwie wykorzystano źródła:
- Henryk Gruber, „Wspomnienia i uwagi 1892–1942", Gryf Publications, Londyn 1968
- Zbigniew Landau, Jerzy Tomaszewski, „Bank Polska Kasa Opieki S.A. 1929–1989", Warszawa 1991
- Andrzej Zybała, „Bank Pekao SA 1929... 2002...", wyd. Bank Pekao SA, Warszawa 2002
- Bank Polska Kasa Opieki bankiem wychodźstwa i eksportu polskiego [w:] „Rocznik Ziem Wschodnich", r. V, 1939 r.
- Roczne sprawozdania Banku Polska Kasa Opieki S.A. z działalności w latach 1933–1938

Zdjęcia:
- Narodowe Archiwum Cyfrowe
- Zbiory Biblioteki Polskiej im. Ignacego Domeyki w Buenos Aires (Biblioteca Polaca Ignacio Domeyko)
- Polona.pl
- Archiwum Banku Pekao SA

Koloryzacja zdjęć:
- Anna Marjańska (Barwy przeszłości): str. 6, 7, 8, 12, 13, 14 (2), 15
- Mikołaj Kaczmarek (Kolor Historii): str. 9, 10, 11, 14 (1), 16

eprasa.pl 8bef0554e8



Trzeba mieć odwagę mówić: chcę tego, ale to już mi się nie podoba. – Niestety pigułka gwałtu każdego czyni bezbronnym – podkreśla ***Małgorzata Kożuchowska****, która w nowej odsłonie serialu „Druga szansa” (sezon 5) włącza się w dyskusję na temat przemocy*

Kiedy mówią: nie

Fot. Agnieszka K. Jurek/TVN

eprasa.pl 8bef0554e8



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W przypadku mojej bohaterki łatwo jednoznacznie stwierdzić, co się stało – mówi aktorka. – Atak na Monikę Borecką od początku do końca był zaplanowany i z wyrachowaniem przeprowadzony. Nie widzę tu podstaw do interpretacji faktów, szukania przyczyn.

Borecka – kobieta z życiowymi i zawodowymi doświadczeniami na koncie, obyta i wykształcona, znająca realia show-biznesu, lecz również sprawy codziennego życia, osoba przewidująca i świadoma zagrożeń, zostaje przez sytuację zaskoczona. Na branżowym bankiecie. W eleganckich okolicznościach. W swoim środowisku.

– Dodatkowo okrucieństwa dodaje to, że moja bohaterka została ubezwłasnowolniona przez podanie narkotyku. Czyli na to wszystko, co się wydarzyło w pokoju hotelowym, za zamkniętymi drzwiami, nie mogła mieć najmniejszego wpływu. Nie była w pełni świadoma tego, co się z nią dzieje – podkreśla aktorka.

NIE TYLKO PIGUŁKA

Wprowadzenie wątku gwałtu do popularnej serialowej formuły pozwala o wiele szerszej i bardziej różnorodnej grupie odbiorców pokazać, że problem, o którym często się mówi w kontekście nastolatek czy młodych kobiet, jest znacznie rozleglejszy. I żadna pozycja społeczna, żaden przedział wiekowy czy zawodowy ani żadne doświadczenie życiowe nie chroni przed skrycie podanym specyfikiem oraz skutkami odurzenia nim.

Nie radzi sobie z tą sytuacją nawet kobieta tak silna i tak sprawnie stawiająca (w poprzednich sezonach) czoła przeciwnościom losu jak Monika Borecka.

Scenarzyści „Drugiej szansy" przeprowadzają bohaterkę przez kolejne etapy związane z doświadczaniem przemocy. Pokazują, jak z brylującej zawodowo i towarzysko kobiety po jednej nocy przemienia się w ofiarę. By sytuacja była jednoznaczna, odsuwają wszelkie możliwości przerzucenia odpowiedzialności za zdarzenie na kobietę. Mimo to Monika – jak każda ofiara gwałtu w naszym kraju – by dochodzić sprawiedliwości, musi udowodnić, że rzeczywiście doznała krzywdy. Przedziera się przez procedury, które znakomicie wzmacniają: poczucie winy, bezradności i upokorzenia.

PRZEMOC W KOSTIUMIE

Zupełnie niezależnie od „Drugiej szansy" rozbudowany wątek przemocy seksualnej podjęto w kostiumowej telenoweli „Korona królów" (tu do krytycznego zdarzenia dochodzi podczas nocy świętojańskiej, a ofiarą pada dwórka królowej, która poniekąd sama ściąga na siebie nieszczęście).

Dość nieoczekiwanie wiodący wątek tego sezonu „Drugiej szansy" wpisał się też w światową dyskusję na temat molestowania.

W serialowej odsłonie – i wtedy, gdy dekoracje są współczesne, i gdy są historyczne – temat potraktowano szerzej i pełniej. Dramatyczne doznania związane z aktem seksualnej agresji dotykają w obu produkcjach nie tylko bezpośrednich uczestników zdarzenia. Prowokują pytania o przyczyny (nie tylko samego gwałtu, lecz i przyzwolenia na niego); szukają sposobów na poradzenie sobie z traumą.

GRANICE I ZADANIA

Gdzie zaczyna się przemoc? Małgorzata Kożuchowska od kilku sezonów „Rodzinki.pl" znakomicie też dogadująca się z serialowymi synami przywołuje amerykańską produkcję: – Świetnie zostało to opowiedziane w nagrodzonych Złotymi Globami „Wielkich kłamstewkach", serialu HBO. W puencie historii toczącej się przez kilka wcześniejszych odcinków. To, w jaki sposób dzieci – synowie pary głównych bohaterów – przenoszą chore relacje rodziców w swoje szkolne życie. Uważając je za coś naturalnego, zgodnego z normami, w których funkcjonują. Problemu nie



ma, dopóki ktoś nie zacznie nazywać rzeczy po imieniu. Nie postawi granicy.

Aktorka oczywiście widzi zadanie stojące przed rodzicami: wielkie ojca, nie mniejsze mamy, by przeprowadzić dzieci również przez takie tematy. Wspomina: – Moja mama kiedyś mi powiedziała: „Jeśli poznajesz mężczyznę, zaobserwuj, jak on odnosi się do swojej mamy. Jak do niej mówi. Czy ją szanuje. W taki sposób będzie traktował ciebie".

Zwraca uwagę, że źródłem przemocy jest często brak umiejętności radzenia sobie z władzą. W różnych konfiguracjach i relacjach. Nie tylko szef pracownik, lecz i mąż utrzymujący rodzinę – zależna od niego finansowo żona, dzieci... – Władza to potężne narzędzie i niewielu potrafi się nim z korzyścią dla innych posługiwać – konkluduje.

Ważne jednak, by pod żadnym pozorem nie mylić sytuacji przemocowych z flirtem. Ten czerpiący z odmienności nadaje życiu koloryt, potrafi wprowadzić w dobry nastrój. Trzeba mieć jednak odwagę wskazywać granice: „Śmieję się z tego dowcipu, ale ten był już dla mnie niesmaczny i nie opowiadaj mi więcej takich rzeczy" – sumuje aktorka. – Komunikat musi być jasny

eprasa.pl 8bef0554e8

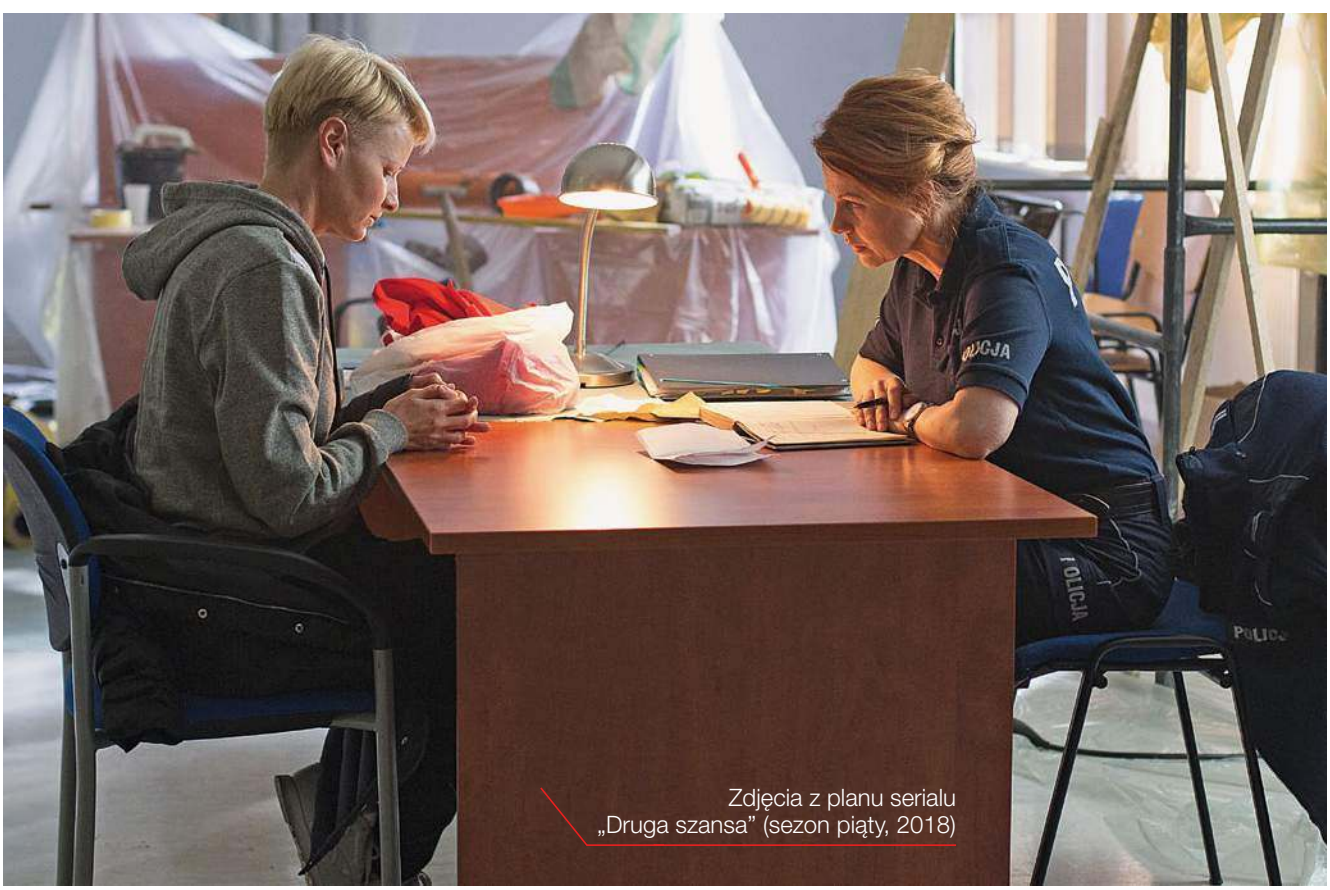


i zdecydowany. Wtedy ma szansę być efektywny.

REALNE WSPARCIE

Gwałt na ekranie przez wiele lat był pokazywany w jednostronny sposób. Jego ciężar przygniatał przede wszystkim ofiary. W obu serialach ta perspektywa została rozszerzona. Skutki seksualnej przemocy odczuwa również otoczenie pokrzywdzonej. Wśród różnych reakcji (także zaskakująco częstego braku zrozumienia ze strony kobiet) pojawia się realne wsparcie.

Monika Borecka gdy mija pierwsza reakcja (uczucie zbrukania, które wymusza potrzebę odizolowania się i zmycia z siebie śladów gwałtu) szuka pomocy. Znajduje ją u przyjaciółki i znanego wcześniej lekarza. Namówiona przez bliskich decyduje się złożyć zawiadomienie o przestępstwie. Musi jednak minąć trochę czasu, by miała siłę opowiedzieć najbliższym o tym, co się stało, co czuje.



Zdjęcia z planu serialu „Druga szansa” (sezon piąty, 2018)

Fot. Agnieszka K. Jurek/TVN (x2)

eprasa.pl 8bef0554e8

Bohaterka TVN-owskiej serii w modelowy (przepracowany przez psychologów) sposób mierzy się z doznaną krzywdą. Jej ekranowe zachowania mogą być podpowiedzią dla tych, którzy w realnym życiu nie radzą sobie z traumą. Jednocześnie to, co się dzieje wokół Moniki, tonuje jednoznaczne podziały na: złych mężczyzn i pokaleczone przez nich kobiety. Wielkie wsparcie bohaterce dają też mężczyźni.

NIEBIESKA LINIA

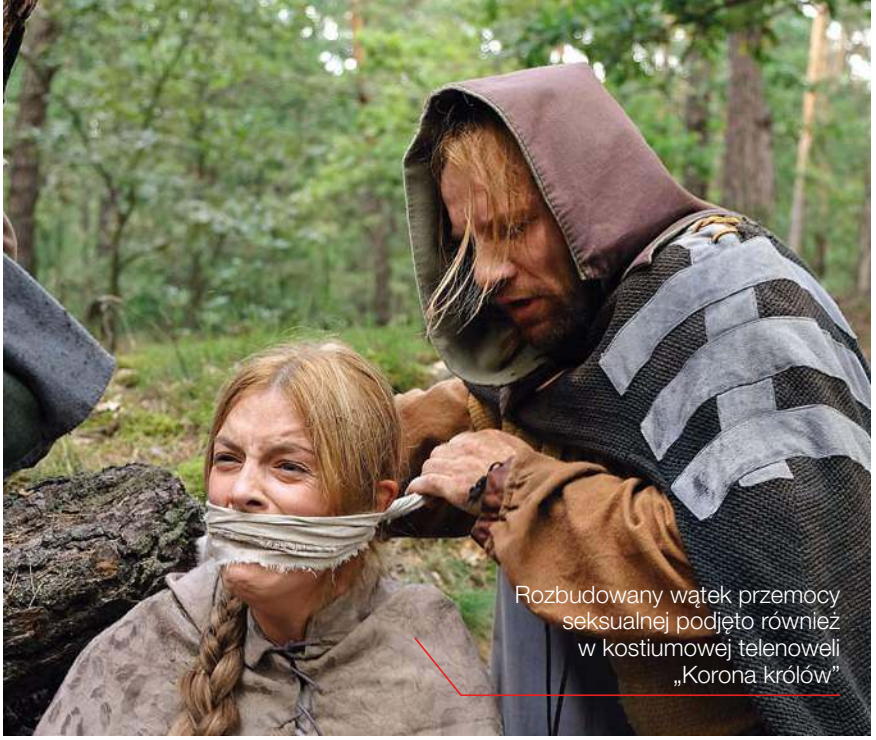
Podobnie jest w ubranej w historyczny kostium „Koronie królów". Tu też, choć na mniejszą skalę, widzimy (głównie ze strony niedoszłego narzeczonego) zachowania, które współcześni psychologowie podpowiadają poszkodowanym oraz ich bliskim. Najważniejsze, lecz i najtrudniejsze, jest bycie obok kogoś, komu stała się krzywda.

A co, jeśli nie mamy na kim się oprzeć? Renata Durda, kierowniczka Ogólnopolskiego Pogotowia dla Ofiar Przemocy w Rodzinie „Niebieska Linia" Instytutu Psychologii Zdrowia, zapewnia, że i w takiej sytuacji nie jesteśmy sami. Gdy zawodzą najbliżsi albo oni sami stają za krzywdą, jakiej doświadcza ofiara, pomocy można szukać w wyspecjalizowanych instytucjach. Te, które łączy określenie Niebieska Linia, skupiają się na rodzinie. Druga sieć to Ośrodki Pomocy Osobom Pokrzywdzonym Przestępstwem. W sytuacji kryzysowej jednak, niezależnie od tego, dokąd zadzwonimy, zostaniemy wysłuchani, ewentualnie przekierowani do właściwej placówki.

PO WŁASNEJ STRONIE

– Jest problem, i to na dużą skalę – podkreśla przedstawicielka Niebieskiej Linii, przywołując ubiegłoroczny raport, w którym (jeszcze przed falą hollywoodzkiej akcji #MeToo) 90 proc. respondentek przyznało, że mają za sobą doświadczenia molestowania seksualnego (w bardzo szerokim rozumieniu: poczynając od niechcianych propozycji czy niestosownych dowcipów, na gwałcie kończąc).

W naszej kulturze nadal jest częste obarczanie winą (czy współwiną) ofiary, a metody śledcze, i potem procesowe, delikatnie mówiąc, są mało przyjazne poszkodowanej. Na dodatek gwałt, nawet u silnych jednostek, bardzo obniża poziom własnej wartości. A z taką samooceną niezwykle trudno „stać po własnej stronie" w czasie badań, przesłuchań, konfrontacji.



Rozbudowany wątek przemocy seksualnej podjęto również w kostiumowej telenoweli „Korona królów"

Fot. Mat. prasowe

Ofierze są więc potrzebne wyjątkowo silnie sygnały akceptacji ze strony najbliższego otoczenia oraz realne wsparcie. Świadomość, że nie jest sama z doświadczeniem, które wciąż przepracowuje w psychice; że ktoś będzie z nią przechodził kolejne etapy, np. procesu.

Bycie blisko, tuż obok, to sytuacja niezwykle trudna dla osoby, która podejmie się udzielić wsparcia. Pomoc jest długofalowa, wymaga stałej gotowości, wyczulenia na pojawiające się potrzeby, lecz i fizycznej obecności. Nie wystarczy być jedynie pod telefonem.

PRZEPRASZAM, ŻE TO ZROBIŁEM

Renata Durda pokazuje, z jak różnych perspektyw trzeba spojrzeć na problem przemocy (także wtedy, gdy skupiamy się na konkretnym przypadku). Zwraca uwagę, że w okresie procesowym (jeśli do takiego rozstrzygnięcia dojdzie), ale też gdy ofiara nie decyduje się na zgłoszenie aktu przemocy, mamy co najmniej dwie strony medalu. Jedną jest to, co się wydarzy formalnie prawnie lub co pozostanie w świadomości otoczenia. Drugą to, co się stanie między sprawcą a ofiarą. Zwłaszcza wtedy, gdy padnie: „Przepraszam za to, co ci zrobiłem".

Powrót do normalnego życia po doświadczeniu gwałtu to sprawa długofalowa. Samego aktu przemocy czasami nie da się uniknąć, ale już jego przyczyn... Gdybyśmy tylko umieli z sobą rozmawiać...

Przedstawicielka Niebieskiej Linii potwierdza to, co zauważyła Małgorzata Kożuchowska: nie potrafimy mówić o własnej seksualności. Nie tylko edukacyjnie: w szkole, w domu, lecz również między sobą – partnerami.

TRUDNA PROJEKCJA

Kiedy w telewizji są emitowane materiały dotyczące przemocy (w każdym jej aspekcie), najbliższe godziny i dni przynoszą strumień zgłoszeń. Rozgrzewają się telefony Niebieskiej Linii. Ludzie doświadczeni złem – skoro bohaterom programu czy filmu się udało – widzą szansę także na zmianę swojej sytuacji.

Tym, którzy uważają, że ich problem gwałtu nie dotyczy (mężczyznom, choć przydałoby się powiedzieć to również kobietom), Renata Durda powtarza: – OK. W swoim życiu nie byłeś sprawcą, nie będziesz nim. Rozumiesz problem, ale jesteś też ojcem (matką): masz córkę, syna. Wyobraź sobie sytuację, w której twoja córka jest ofiarą gwałtu, a twój syn jest gwałcicielem. Jeśli spojrzysz na to z tej perspektywy, zrobisz dla swoich dzieci wszystko, by nic podobnego się nie stało.

eprasa.pl 8bef0554e8

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

O wierze w bajki

Jan Pospieszalski zaprosił do studia „Warto rozmawiać" w telewizyjnej Jedynce Czesława Bieleckiego i Antoniego Macierewicza na okoliczność tematu: „Czy trzeba przepraszać za Marzec '68". Miał naturalnie swoją tezę („nie należy"). A jednak tym razem rozgorzał spór.

Jeśli się zaprasza Czesława Bieleckiego, trudno szybko zamknąć temat. Złotousty architekt zagadał trudnego do zagadania byłego ministra, o prowadzącym nie wspominając. Przy czym spór zasadniczy nie dotyczył nawet wyjściowego pytania. Także Bielecki nie żądał, aby obecna demokratyczna Polska brała na siebie formalnie grzechy państwa Gomułki i Moczara.

Poszło o niuanse, jednak charakterystyczne. Bielecki prosił o jedno: aby polskich mas nie idealizować. Nie sprowadzać wszystkich sytuacji z 1968 r. do dwóch nazwisk: Gomułki i Moczara. W PZPR były setki tysięcy ludzi zasadniczo posłusznych propagandzie. Na to Macierewicz, że w PZPR byli... Sowieci. Potem dodał, że polskiego pochodzenia. Wszystko, co złe w Polsce, reżyserowała Moskwa. Nie tylko żadnej winy nie ma, lecz i złożoności obrazu. On jest czarno-biały. Nasłani Sowieci kontra wspaniali Polacy.

Były szef MON swoje tezy opatrzył przypomnieniem sytuacji wcześniejszej o dwa lata. Oto miliony wyszły na ulice świętować Milenium, tysiąclecie Chrztu Polski, z prymasem Wyszyńskim, a niepolska władza wysyłała na nich milicję. Czy miliony? Raczej setki tysięcy. Ale ważniejsza była anegdota opowiedziana przez Bieleckiego: o jego szkolnej koleżance, będącej członkiem ZMS, ale też chodzącej do kościoła, która w szkole wygłaszała przeciw prymasowi referat. Na to Macierewicz, że jedna niemądra osoba nie zmieni ogólnego obrazu.

Naprawdę jedna? Na tyle pamiętam PRL (rocznik 1963), żeby potwierdzić uwagę Bieleckiego o dwójmyśleniu bardzo wielu Polaków. I to nie tylko przy okazji delikatnej tematyki żydowskiej, gdzie nawet nie zawsze było to dwójmyślenie, bo na propagandę władz nakładały się uprzedzenia, które również pamiętam, wśród mojej rodziny, znajomych, kolegów. Ale przypominam sobie, z jakim osłupieniem odkryłem, jak wielu ludzi akceptuje po 13 grudnia stan wojenny. Uważali się za patriotów, nie komunistów, chodzili do kościoła, często kilka miesięcy wcześniej mówili co innego. Mieli nawet różne motywy. To także prawda o Polakach.

Nie byli hufcem walczących rycerzy, nie jest nim żaden naród. Architekt rozumie to lepiej od historyka i piosenkarza. Skądinąd Macierewicz miał przez moment rację, przywołując strach jako ważną motywację. Tak, był on pozostałością koszmarów wojny i stalinizmu. Ale nie był to strach ludzi, którym przyłożono lufę do potylicy, raczej odłożony w podświadomości, zostawiający miejsce na własną inwencję. Członkowie PZPR to żadni przebrani Sowieci, każdy miał tam jak nie wujka, to znajomego rodziców. To wikłało wielu zwykłych ludzi w brzydkie akty kolaboracji. Z drugiej strony czasem ratowało. Kto nie pamięta przymykającego oczy dyrektora szkoły, ba, milicjanta?



Czy to znaczy, że jako naród mamy przepraszać za komunistyczne niegodziwości? Nie, bo gdyby nie sowieckie czołgi w Polsce, drogi wielu Polaków pobiegłyby inaczej. Odpowiedzialni, zwłaszcza prawnie, są konkretni ludzie, w tym zdegradowany Jaruzelski. Ale warto znać całą prawdę. Warto dla samych siebie. Przy dzisiejszej fali propagandy próbującej Polskę utytłać we wszystko, co najgorsze, opowieść o nas jako rycerzach bez skazy jest nęcącą pokusą. Tyle że ja wyrosłem z wiary w bajki.

Piotr Zaremba

Nuta autentyzmu

Intrygujący świat instrumentów z ery romantyzmu odsłania wystawa w Salach Redutowych Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Są tam m.in. egzemplarze cenionych przez kompozytora marek Erard i Pleyel. Ale jest też kopia fortepianu warszawskiej firmy Buchholtz, na którym artysta 17 marca 1830 r. po raz pierwszy wykonał publicznie swój Koncert f-moll



Koncert: 17 marca, Teatr Wielki – Opera Narodowa (Sala Moniuszki)
Wystawa „Fortepiany Chopina", 18 marca–8 kwietnia 2018 (Sale Redutowe)



ADAM CIESIELSKI

Przyzwyczajeni do Chopinowskich dzieł wykonywanych na fortepianach Steinwaya, Yamahy, Kawai czy Fazioli zapominamy, że najsłynniejszy polski kompozytor tworzył i grał na inaczej zbudowanych i odmiennych akustycznie instrumentach, zwanych fortepiano lub pianoforte. Doświadczenia nurtu wykonawstwa historycznego, który od połowy XX w. przybliża autentyczne brzmienia muzyki średniowiecznej, renesansowej czy barokowej, podpowiedziały potrzebę podobnego spojrzenia na twórczość romantyczną. Także Chopinowską. Już w 1991 r. Janusz Olejniczak w filmie „Błękitna nuta" Andrzeja Żuławskiego w roli Chopina grał na instrumencie z epoki. Z powodzeniem wracał do tego potem na koncertach i płytach. Na świecie za rewelację uznano nagrania obu koncertów Chopina zrealizowane w 1998 i 1999 r. przez Emanuela Axa (z Orkiestrą Wieku Oświecenia) na fortepianie Pleyela z 1851 r.

Powstały w 2001 r. Narodowy Instytut Fryderyka Chopina konsekwentnie powiększał swą kolekcję instrumentów z epoki i inicjował wykonywanie na nich repertuaru patrona placówki. Efektem są imponujące serie nagrań „Real Chopin" i „Koncerty zatrzymane w czasie". Za sprawą wicedyrektora NIFC Stanisława Leszczyńskiego, pomysłodawcy międzynarodowego festiwalu „Chopin i jego Europa", publiczność tej stołecznej imprezy delektuje się nie tylko koncertami na współczesnych instrumentach, lecz i oswaja się z walorami wykonawstwa historycznego. Leszczyński od kilkunastu lat nosił się z pomysłem urządzenia osobnego festiwalu takich wykonań. Ideę wsparł minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński. I oto od 2 do 14 września 2018 r. odbędzie się w Warszawie I Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych. Ma mieć cykl pięcioletni, na przemian z odbywającym się od 1927 r. dotychczasowym Międzynarodowym Konkursem Chopinowskim.

Trwająca teraz, do 8 kwietnia, w Teatrze Wielkim wystawa zabytkowych fortepianów z kolekcji NIFC pozwala zwiedzającym poznać instrumenty, z których będą mogli wybierać uczestnicy wrześniowego konkursu. Są reprezentowane marki, których wyrobów używał Chopin: m.in. francuskie Erardy (egzemplarze z lat 1838, 1849,1858), Pleyele (z 1846 i 1854), angielski Broadwood z 1843 r., kopia wiedeńskiego Grafa. Do nich dołączyła właśnie pierwsza na świecie kopia instrumentu warszawskiej wytwórni Buchholtz, stworzona ostatnio przez Amerykanina Paula McNulty'ego, jednego z najlepszych budowniczych fortepianów historycznych na świecie. Koszty sfinansował PKN Orlen – mecenas NIFC.

Właśnie fortepian Buchholtza kupili Fryderykowi rodzice. Artysta komponował na nim, a także koncertował: 17 marca 1830 r. w Teatrze Narodowym przy pl. Krasińskich, z orkiestrą pod batutą Karola Kurpińskiego, na instrumencie Buchholtza prawykonał swój Koncert f-moll. Po wielkim aplauzie podobny repertuar przedstawił 22 marca 1830 r. Po raz ostatni zaś w Warszawie wystąpił 11 października 1830 r., tuż przed wyjazdem na emigrację.

Fortepian Buchholza odziedziczyła siostra Chopina Izabella Barcińska. 19 września 1863 r. w odwecie za zamach na carskiego namiestnika hr. Berga moskiewscy żołdacy splądrowali pałac Zamoyskich. Z okna znajdującego się w gmachu mieszkania Barcińskich wyrzucili na bruk instrument po genialnym artyście. Wydarzenie to w wierszu „Fortepian Chopina" przywołał Cyprian Kamil Norwid. Szczególnym przeżyciem był więc niedawny wieczór „Warszawski fortepian Chopina", podczas którego na kopii historycznego instrumentu Buchholtza Koncert F-moll wykonał Krzysztof Książek z czeskim zespołem Collegium 1704 pod dyr. Václava Luksa.

17/0218/F

eprasa.pl 8bef0554e8

Fortepian Chopina w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej

17 marca 2018 r. w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej mieliśmy niezwykłą okazję wysłuchać koncertu prezentującego kopię fortepianu Buchholtza. Rekonstrukcji na zlecenie Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina dokonano, biorąc za wzór instrument odnaleziony niedawno w Muzeum Krajoznawczym w Krzemieńcu (dzisiejsza Ukraina). Wykonanie kopii fortepianu było możliwe dzięki sponsorowi przedsięwzięcia – PKN Orlen – Mecenasowi Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina

Koncert nawiązywał do wydarzenia sprzed 188 lat. Dokładnie 17 marca 1830 r. miłośnicy muzyki fortepianowej mieli przyjemność wysłuchać pierwszego wielkiego publicznego występu młodego Chopina w Teatrze Narodowym przy pl. Krasińskich. Wówczas miało miejsce prawykonanie *Koncertu fortepianowego f-moll* oraz *Fantazji A-dur na tematy polskie*. Dyrygentem był Karol Kurpiński. Młody pianista zachwycił słuchaczy, grając na fortepianie wyprodukowanym w zakładzie Fryderyka Buchholtza.

Dyplomowany organomistrz Fryderyk Buchholtz otworzył ok. roku 1815 w Warszawie przy ul. Mazowieckiej zakład produkujący fortepiany. W jego sklepie fabrycznym częstym gościem był Fryderyk Chopin, który namiętnie wypróbowywał eksponowane tam instrumenty. Gdy w 1827 r. rodzina Chopinów przeprowadziła się na Krakowskie Przedmieście 5, w salonie nowego mieszkania swoje miejsce znalazł fortepian wyprodukowany w zakładzie Buchholtza. Przy nim Chopin tworzył swoje młodzieńcze kompozycje i w takim brzmieniu słyszał je po raz pierwszy. Instrument ten możemy podziwiać na szkicu salonu wykonanym przez Antoniego Kolberga w 1832 r.

W listopadzie 1830 r. Chopin wyjechał z Polski już na zawsze. Fortepian po śmierci rodziców kompozytora otrzymała jego siostra, Izabella Barcińska. Kiedy we wrześniu 1863 r. carscy żołnierze w odwecie za nieudany zamach na gen. Fiodora Berga splądrowali pałac Zamoyskich przy Nowym Świecie, w którym mieszkali Barcińscy, zniszczeniu uległo wiele rodzinnych pamiątek, w tym fortepian Fryderyka Chopina.

Do dziś zachowały się jedynie pojedyncze fortepiany wyprodukowane w zakładzie Buchholtza, niestety wszystkie w stanie uniemożliwiającym przywrócenie im pierwotnej świetności. Korzystając z dostępnych pierwowzorów, Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, posiadający w swoich zbiorach kolekcję instrumentów pochodzących z czasów kompozytora, zamówił kopię. Stworzył ją w swojej pracowni w czeskim Divišovie Paul McNulty, jeden z najlepszych współczesnych budowniczych fortepianów historycznych na świecie. Nowy instrument jest kopią fortepianu skrzydłowego Fryderyka Buchholtza z 1825–1826 r., zachowanego w zbiorach Muzeum Krajoznawczego w Krzemieńcu na Ukrainie. Prace zostały sfinansowane przez PKN Orlen.

Niemal dwa wieki po prawykonaniu przez kompozytora *Koncertu fortepianowego f-moll* na instrumencie Buchholtza w Teatrze Narodowym przy pl. Krasińskich utwór ten zabrzmiał ponownie, tym razem na kopii instrumentu warszawskiego budowniczego. Patronem tego wyjątkowego wydarzenia był również PKN Orlen – Mecenas Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina.

W programie można było usłyszeć utwory Karola Kurpińskiego: *Fugę i kodę B-dur* (na temat *Jeszcze Polska nie zginęła*) oraz *Bitwę pod Możajskiem (Wielką symfonię, bitwę wyobrażającą)*, a także *Koncert f-moll* Chopina w wykonaniu Krzysztofa Książka, któremu towarzyszyła czeska orkiestra Collegium 1704 pod batutą jej założyciela, Václava Luksa. Dopełnieniem wieczoru był pokaz filmu dokumentalnego w reżyserii Piotra Stasika, który jest zapisem procesu powstawania kopii fortepianu Fryderyka Buchholtza.

Na podstawie materiałów NIFC opracowała Anna Raciniewska



Cztery. Miliony. Ofiar

Wojciech Stanisławski

Książka Anne Applebaum nie pozostawia wątpliwości: Wielki Głód na Ukrainie w pełni spełnia kryteria zaproponowanej przez Rafała Lemkina definicji ludobójstwa

Zdarzało się, że zachowania tej autorki budziły we mnie niesmak; również do wydawców, którzy opublikowali jej najnowszą pracę, żywię dystans, którego nie łagodzi nawet świadomość ich profesjonalizmu. Temat, po jaki sięgnęła Anne Applebaum, jest jednak zbyt ważny, żeby pozwalać sobie na fochy: „Czerwony głód" traktujący o Hołodomorze to doniosła książka dla każdego, kto ciekaw dziejów Europy Wschodniej doświadczonej komunizmem.

Koszmarowi Wielkiego Głodu nie zaprzecza dziś już nikt prócz kremlowskich negacjonistów: książka Applebaum, powstała w oparciu o wieloletnie projekty gromadzenia relacji przez ukraińskich historyków, zarówno emigracyjnych, jak i „krajowych", jest opracowaniem wyjątkowo rozległym, ukazującym zarówno prolog Hołodomoru, czyli relacje między Kijowem a Moskwą w pierwszej sowieckiej dekadzie, jak i jego dalekosiężne następstwa polityczne i demograficzne, wreszcie – dramatyczne dzieje dochodzenia do prawdy wbrew najpotężniejszej machinie propagandowej świata. W środkowej części szczegółowo przedstawia logistykę ludobójstwa poprzedzającego o dziesięć lat Zagładę, w którego przypadku, podobnie jak w przypadku rzezi Ormian, nie trzeba było technologii IG Farben.

Z punktu widzenia historyka dziejów politycznych ważne jest pokazanie przez Applebaum głęboko zakorzenionej nieufności władz bolszewickiej Rosji wobec Ukrainy i jej „potencjału niezależności", który posiadała zarówno za sprawą swej zamożności, autonomii i spoistości struktur społecznych na wsi, jak i procesu narodowotwórczego, „ukrainizacji". O ironio, zezwolili na nią, a nawet wspierali ją sami bolszewicy, licząc nie tylko na pozyskanie mas nad Dnieprem, lecz i Ukraińców w państwach ościennych, przede wszystkim w II RP. W umyśle Stalina i jego akolitów pamięć lat rewolucji (z ukraińskim dążeniem do niepodległości, a następnie „chłopskimi buntami" lat 20.) rychło jednak wygrywa: Applebaum świetnie pokazuje, jak równoległe z pierwszymi próbami przymusowego tworzenia kołchozów (co na Ukrainie wywoływało wyjątkowo żywy opór) towarzyszy pospieszna rusyfikacja republiki na przełomie dekad: jej symbolami pozostaje proces i śmierć „ojca ukraińskiego odrodzenia narodowego" Mychajła Hruszewskiego i samobójcza śmierć kijowskiego komisarza oświaty, Mykoły Skrypnyka.



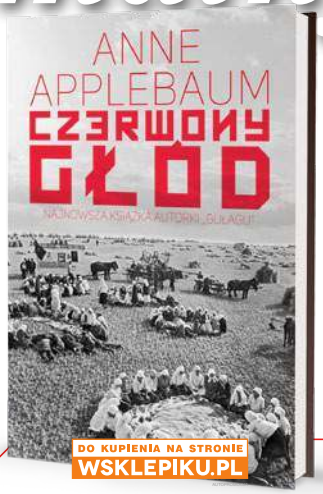
Opisy kilkumiesięcznej nieraz agonii, poprzedzającej śmierć głodową, oraz dokonującego się rozpadu więzi społecznych są najcięższą częścią tej lektury: czytelnicy (szczególnie, choć nie tylko przecież, rodzice), którzy trafią na opisy niemowląt ssących w stuporze palce, przypadków kanibalizmu dzieci czy list dziesięciolatki piszącej do wuja „Zabierz mnie do Charkowa, jestem mała i chcę żyć, a tutaj umrę, bo wszyscy umierają", mają zagwarantowane kilka bezsennych nocy. Kto jednak próbuje wyjść poza zgrozę i bezradność, doceni wysiłek badaczki, która pokazuje techniki władzy: tworzenie kompanii rekwirujących i niszczących żywność, stawianie batalionów zaporowych na granicach miast, zorganizowanie oddziałów, które wywoziły głodujących z miast na puste pola, demaskowanie każdej skargi jako kułackiej demagogii.

Najbardziej niezwykłe są końcowe rozdziały książki, opisujące nieobcy skądinąd fenomen zakłamania Zachodu i żelaznej

ort ekstremalny

konsekwencji służb sowieckich. Politycy i pisarze odwiedzający Kraj Rad nie widzieli nic; dyplomaci (w tym polscy) pisali jedynie tajne raporty. Korespondenci zagraniczni w obawie przed wydaleniem z ZSRS, w nadziei na sławę – milczeli. Do rangi moralitetu urasta historia jedynego sprawiedliwego, walijskiego „wolnego strzelca" Garetha Jonesa, który wiosną 1933 r. zdołał się dostać do podcharkowskich wsi i po powrocie na Zachód opublikować cykl artykułów. Jego starsi koledzy z branży, na czele z osławionym Walterem Durantym, moskiewskim korespondentem „New York Timesa", zaprzeczyli jego doniesieniom i zniesławili go; dwa lata później Jones zginął w niejasnych okolicznościach.

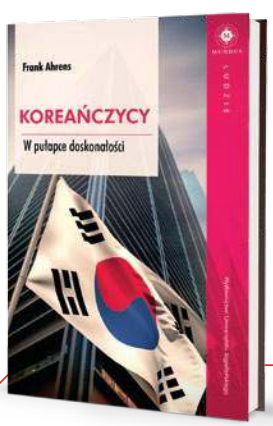
Pamięć Hołodomoru przetrwała w zapiskach chowanych pod podłogą, w opowieściach przekazywanych dzieciom na ucho. Kilka relacji opublikowano w latach okupacji hitlerowskiej; przyczyniło się to tylko do zniesławiania poszukiwaczy prawdy w Sowietach. Bezradne, amatorskie próby kolekcjonowania wspomnień na powojennej emigracji uznawano na Zachodzie za „prawicowe" albo, w najlepszym razie, niszowe i amatorskie. Do połowy lat 80. o Wielkim Głodzie prócz pogłosek nie wiedziano nic; a i wówczas upadający Związek Sowiecki sfinansował wydanie w Kanadzie „książki dementi". „Kojarzenie [tragedii] z »nazizmem« czy »nacjonalizmem« miało na celu oczernienie każdego, kto o niej pisał" – pisze o tamtych, nieudanych na szczęście, próbach Applebaum z godną uwagi przenikliwością.



Anne Applebaum, „Czerwony głód", tłum. Barbara Gadomska i Wanda Gadomska, wyd. Agora, 2018

Jankes chrupie kimchi

Nadal jesteśmy ciekawi świata, ale trochę się go już napatrzyliśmy: powódź obrazków serwowanych nam od dziecka przez media sprawia, że znamy (albo wydaje się nam, iż znamy) obce wybrzeża, owoce, pagody. A może się mylę, może po prostu „literatura podróżnicza" ulega, jak wszystko, specjalizacji – osobna półka dla miłośników trekkingu, osobna dla entuzjastów trepangów?



Frank Ahrens, „Koreańczycy. W pułapce doskonałości", tłum. Aleksandra Czwojdrak, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, seria „Mundus – Ludzie", 2018

Nawet jeśli reporter zwiedza świat nieco dogłębniej niż w formule oferowanej przez biura turystyczne, jego wrażenia często pozostają mieszanką poetyckich impresji i zapisu kilku spotkań. Przybyłem, zapytałem, wypiłem, opublikowałem: tak można podbić rynek wydawniczy, ale niekoniecznie przekroczyć granicę między „nami" a „nimi". Jak sobie z nią poradzić? Dał nam przykład Malinowski (Bronisław): dzielić nie tylko stół (a czasem również łoże), lecz także targ, kolejkę do studni, zatłoczony wagon metra, humory szefa. Innymi słowy: przyjąć na pewien czas perspektywę mieszkańca, zdjąć luksusowy kokon nie tylko „zanurzając się w gwarne i ciasne uliczki" (to zdanie wytrych pada w każdej chyba książce podróżniczej), lecz biorąc na siebie miejscowe obowiązki i ograniczenia.

Nie trzeba być w tym celu etnologiem specjalizującym się w „obserwacji uczestniczącej" ani reporterem-kameleonem w rodzaju Güntera Wallraffa: najzupełniej wystarczy zamieszkać wśród miejscowych na rok czy dwa, dzieląc z nimi troski zawodowe, codzienne, a najlepiej jeszcze rodzinne. Mam nadzieję, że nigdy nie opuści mnie radość z lektury w schyłkowym PRL „Delicji ciotki Dee" Teresy Hołówko z wielką mądrością i filuterią opisującej Stany z perspektywy prowincjonalnej uczelni; przed kilku laty objawieniem stał się „Jakuck" Michała Książka.

Frankowi Ahrensowi, wieloletniemu dziennikarzowi „The Washington Post", brakuje może trochę uważności, którą było obdarzonych oboje wyżej wspomnianych polskich autorów, nadrabia to jednak profesjonalizmem: „W uszach dudnił mi nieznośnie rytmiczny K-pop, a płuca wypełniał dym z cudzych papierosów" – czytamy w pierwszym zdaniu i wpadamy w środek opowieści Amerykanina, który w ślad za żoną trafił do Korei Południowej, by pokierować działem PR koncernu Hyundai.

Doświadczył na tym stanowisku wielu triumfów: Hyundai przebija się do „segmentu marek luksusowych" i z książki dowiedziałem się więcej, niż bym chciał o zawieszeniu ramy, redukcji luzów w układzie kierowniczym i ścieżkach kariery w korporacji. Na szczęście jednak Frank Ahrens – czy może raczej Puh-lan-gu A-li-len-sz, jak można by wymówić jego nazwisko zapisane koreańskimi literami, naruszał (nieświadomie) dziesiątki niepisanych reguł porządkujących życie konfucjańskiej społeczności, która wytycza dziś szlaki postnowoczesności. Nie zdarzyły mu się na szczęście większe faux-pas niż napisanie czyjegoś nazwiska czerwonym markerem: dowiedział się jednak wiele o lęku przed pozostaniem w tyle, rezygnacji, solidarności i samotności Koreańczyków.

eprasa.pl 8bef0554e8





Kino

Samobójstwo świata

Najnowsze dzieło Michaela Hanekego dobitnie dowodzi, że wszystkie filmy dwukrotnego zdobywcy Złotej Palmy składają się w jeden obraz współczesnej cywilizacji. Ponury Austriak mówi, że świat nas przerasta i zgubiliśmy kompas wartości („Ukryty"), nie umiemy poradzić sobie z intruzem niosącym śmierć („Funny Games"), nie pomogła nam moralna tresura („Biała wstążka"), piękno znajdujemy w wyzwoleniu od życia („Miłość"). Teraz Haneke dokonuje wiwisekcji rodziny, która symbolizuje współczesną Europę. Zblazowaną, rozkładającą się, pragnącą samobójstwa, od którego jest powstrzymywana.

„Happy End" ociera się o krytykę burżuazyjnej rodziny, która zepsucie kryje pod wystudiowanymi konwenansami i rytuałami. Prawda wychodzi spod nich raz – podczas wstrząsającej rozmowy 13-letniego dziecka ze zgryźliwym seniorem rodu. Tylko w jesieni życia możliwa jest szczerość? Grany przez Jeana-Louisa Trintignanta staruszek jest kontynuacją postaci z „Miłości". Wtedy dokonał eutanazji żony. Dziś pragnie tego samego dla siebie. Nie może jednak znaleźć kata.

Haneke idzie dalej niż w „Miłości", która wynosiła eutanazję do rangi cnoty. Wydarzyła się ona w małym świecie dwójki kochających się ludzi. Reżyser łączył ją z poświęceniem i oddaniem duszy w imię zakończenia cierpienia ukochanej osoby. Wynikała z wolnej woli obu postaci. Teraz Haneke wymaga dla eutanazji akceptacji całego społeczeństwa. Całej Europy...

Zgadzam się, że Europa prze do samobójstwa. Moim zdaniem robi to jednak nieświadomie. Jest upojona wiecznym karnawałem bez postu. Pogrzebie ją cywilizacja islamska, która ma siły witalne i pragnienie zwycięstwa. Akcja filmu jest osadzona we francuskim Calais, które symbolizuje napływ imigrantów. Haneke mu przyklaskuje. W finale jeden ze zbuntowanych członków zblazowanej rodziny wprowadza imigrantów na familijną imprezę, zarzucając jej podskórny rasizm i hipokryzję. Haneke wyraźnie mówi, że ratunek dla Europy przyjdzie tylko przez zmieszanie kultur. To właśnie ten „nowy wspaniały świat" jest katem starego porządku? Wszystko zamyka się w oczach Trintignanta w przewrotnym i symbolicznym finale. Haneke to wielki intelektualista kina. Warto go chłonąć, nawet jeżeli go odrzucamy.

„HAPPY END", REŻ. MICHAEL HANEKE, DYSTR. GUTEK FILM

Blu-Ray/DVD

Thor w końcu jest przezabawny!

Ależ to jest znakomite! Właśnie tak krzyknąłem po zakończeniu seansu trzeciej części przygód Thora (Chris Hemsworth). Brakowało go w „Kapitan Ameryka. Wojna bohaterów", gdzie Avengersi podzielili się na dwie armie superbohaterów, które stoczą z sobą bój w nadchodzącym „Avengers. Wojna superbohaterów" (premiera 25 kwietnia). Co się działo w tym czasie u boga Asgardu? Ano przebywał sobie w kosmosie, gdzie natknął się na zaginionego w poprzednich filmach Hulka (Mark Ruffalo). Nie wchodząc w szczegóły fabuły, napiszę tylko tyle: ten film spodoba nawet widzom nieznającym całego, porażająco rozbudowanego uniwersum Marvela. Przezabawny, z ogromną dawką autoironii, naszpikowany kapitalnymi epizodami nowych (Cate Blanchett, Jeff Goldblum) i starych postaci ze świata Thora (wraca Anthony Hopkins!) film jest bliższy klimatowi „Strażników galaktyki" niż poprzednim, lekko sztywnym, ekranizacjom losów Thora. Sarkastyczny i brawurowo naszpikowany akcją „Thor. Ragnarok" jest po prostu doskonale wyszlifowanym klockiem budowli uniwersum Avengers!



„THOR. RAGNAROK", REŻ. TAIKA WAITITI, DYSTR. GALAPAGOS

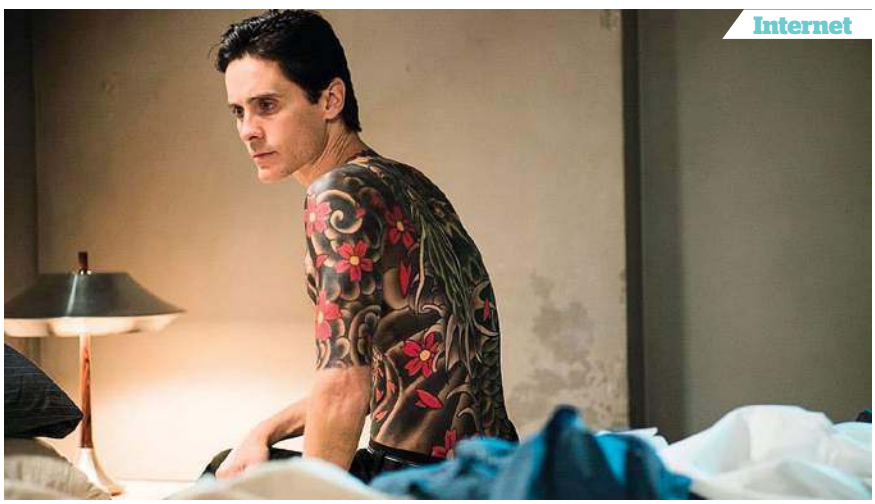
Skala ocen: rewelacja | dobry | pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 8bef0554e8

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Przeterminowane sushi


Internet

Lata 50. XX w. Japonia podnosi się po przegranej wojnie. W więzieniu przebywa tajemniczy Amerykanin Nick Lowell (Jared Leto), który dzięki uratowaniu życia członka jakuzy trafia w objęcia japońskiej mafii. Swoją odwagą, determinacją i niezwykłą brutalnością pnie się po kolejnych jej szczeblach, wchodząc w końcu w sam środek wojny największych klanów.

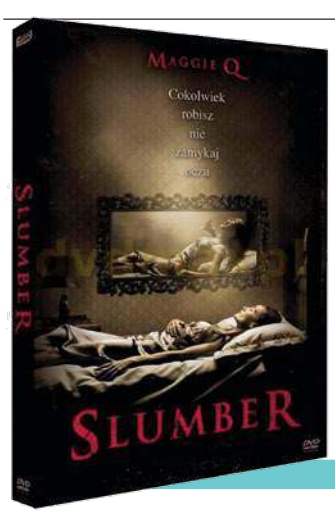
Można by przemilczeć jakoś bzdurny pomysł umieszczania w jakuzie białego Amerykanina kilka lat po zrzuceniu przez USA bomby atomowej na Japonię, gdyby film Martina Zandvlieta sprawdzał się jako kino gatunkowe. Niestety zamiast igrania z legendarnymi obrazami o jakuzie Seijuna Suzukiego, Takeshiego Kitano czy Takashiego Miike duński reżyser serwuje nam pseudoartystyczną papkę. Wyrachowane ujęcia tradycyjnych w jakuzie tatuaży, tańczących japońskich prostytutek i posępnej miny Leto przypominają wręcz kino napuszonego Refna. Duńczycy już tak mają?

Chciałby reżyser być Kurosawą, który dotknął tematu jakuzy w genialnym „Pijanym aniele" (1948). Problem nie leży w tym, że nie ma on talentu japońskiego arcymistrza, ale w scenariuszu jego filmu. „The Outsider" jest pełen dziur logicznych, bez błysku epatuje przemocą, która jest nieodłączna od japońskich filmów o mafii, na dodatek oparty został na nudnym bohaterze. Dlaczego Amerykanin trafił do więzienia? Dlaczego tkwi w nim takie zło i instynkt bezwzględnego mordercy? Co ma w sobie, że wzbudza szacunek szefa klanu? Twórcy nie rozwijają wątku zderzenia kultur białego człowieka i Japończyków. Nie interesuje ich rysowanie tła powojennej, zhańbionej Japonii.

Nie jest Nick „człowiekiem bez imienia" z westernów Sergia Leone, co mogłoby tłumaczyć brak przeszłości tej postaci i minimalistyczną grę Leto. Reżyser nie idzie jednak w stronę żonglerki popkulturowymi schematami rodem z Tarantino. On jest śmiertelnie poważny, co powoduje, że jego film jest po prostu marną kopią japońskich dzieł o jakuzie.

„The Outsider" wygląda jak produkt zrobiony na zamówienie odbiorców Netflixa, którzy zażyczyli sobie historii osadzonej w Japonii. Wzięto więc bezmyślnie klocki z kina Kitano, zatrudniono gorącą gwiazdę Hollywood i podano danie klientowi. Kłopot w tym, że zatrudniono nieodpowiednich kucharzy i wyszedł zakalec. W tym wypadku sushi z przeterminowanej ryby.

„THE OUTSIDER" JEST DOSTĘPNY NA NETFLIX



DVD

Słowiańska zmora straszy Hollywood

Nocnica przychodzi we śnie i lubi dusić dzieci. Znają zmorę podobno wszystkie ludy świata pod różnymi nazwami. Uciska klatkę piersiową. Pozbawia powietrza. Lekarze nazywają to paraliżem sennym albo porażeniem przysennym. No, ale jaki paraliż potrafi przesuwać łóżko i zmuszać lunatyków do zabijania przez sen?

Mógł być „Slumber" filmem balansującym na granicy psychologicznego thrillera i demonicznego hororru w stylu „Dziecka Rosemary" Polańskiego, który do dziś jedni interpretują jako film o psychicznej chorobie, inni jako film o narodzeniu antychrysta. Jonathan Hopkins próbuje wejść w taką stylistykę, ale ostatecznie kręci tylko poprawny horror. Masowy widz polubi ten film. Jednak koneserzy horroru będą znudzeni. Niemniej „Slumber" to niezłe kino klasy B, mające potencjał na ciekawą serię. Co też ciekawe, eksploatuje nieznaną w amerykańskiej popkulturze nocną zmorę pochodzącą ze wschodniej Europy.

„SLUMBER", REŻ. JONATHAN HOPKINS, DYSTR. BEST FILM

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 8bef0554e8

Pytanie do moich poprzedników: jak można opowiedzieć historię Auschwitz bez rtm. Witolda Pileckiego i o. Maksymiliana Kolbego? Dlaczego zmarginalizowano postacie tak ważne dla Polaków i tak zrozumiałe dla całego świata? Nie potrafię powiedzieć, dlaczego tak się stało, ale tak być nie powinno



Ten przekaz trzeba naprawić

Z ***dr. Karolem Nawrockim****, dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, rozmawia Andrzej Potocki*

Muzeum II Wojny Światowej to najdroższa tego typu placówka w Polsce. Kosztowało prawie 0,5 mld zł. Są w nim sale konferencyjne, w pełni wyposażone mieszkania dla gości. Tu właśnie należałoby urządzać ważne debaty, spotkania, np. zespołów negocjacyjnych Polski i Izraela. Premier Morawiecki mógłby się pochwalić przed atakującą nas za granicą wystawą, która pokazałaby prawdę o losach Polaków w II wojnie światowej. Tymczasem o takich pomysłach nie słychać. Dlaczego?

Karol Nawrocki: Kiedy wybuchł izraelsko-polski konflikt o politykę historyczną, po raz kolejny zdałem sobie sprawę, że jestem dyrektorem muzeum, które nie jest gotowe służyć polskiej racji stanu. Powinno być miejscem spotkań premiera i zespołów badających historię z całego świata. W odniesieniu do badań statystycznych polskiej świadomości o II wojnie światowej, które wykazały bardzo duże, bo ponad 80-procentowe aktualne zainteresowanie tą tematyką, urządzono taką wystawę chyba tylko po to, żeby ten trend odwrócić. Bohaterowie, którzy dla Polaków są najważniejsi, jak rtm. Witold Pilecki, Irena Sendlerowa, zostali w przestrzeni ekspozycji najgłębiej schowani. Poczucie dumy naszego narodu zostało zastąpione braniem na siebie win za najgorsze rzeczy, a przedstawienie stosunków polsko-żydowskich w muzeum, które zastałem i które zmieniam, miało definiować Jedwabne (kilkuset zabitych) wciśnięte miedzy pogromy w Jassach i we Lwowie (kilka tysięcy zamordowanych w każdym z tych miejsc). O rodzinie Ulmów nie było w ekspozycji słowa ani o Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Przypomnijmy. Przed panem dyrektorem placówki był prof. Paweł Machcewicz. Historyk, ale też doradca polityczny premiera Donalda Tuska. Uważa się za głównego twórcę wystawy. Jak pana poprzednik potraktował więc w swoim dziele sprawę Polaków ratujących Żydów?

O kwestii ratowania Żydów przez Polaków mówi w ekspozycji wyłącznie Irena Sendlerowa. Poświęcony jej fragment opowieści został schowany za hydrantem w ciemnym zaułku muzeum. Przez to pomijali ją zarówno przewodnicy, jak i zwiedzający. W podpisie dopiero szóste zdanie napisane drobnym maczkiem wyjaśnia, że było aż 6 tys. Polaków odznaczonych medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Opis ten jest tak skonstruowany, że przedstawia głównie złe zachowania Polaków. Cytuję: „Rabowali, szykanowali, wydawali", a dopiero w ostatnim zdaniu dowiadujemy się, że byli „inni" – sprawiedliwi, którzy zaopatrywali Żydów w żywność, dokumenty lub ich ukrywali. To wszystko według koncepcji muzeum Pawła Machcewicza.

Ale przekaz o stosunkach polsko-żydowskich w wystawie Machcewicza dotyczy nie tylko czasów Holokaustu. On sięga jeszcze czasów przedwojennych. Jednym z fragmentów ekspozycji jest zrekonstruowana przedwojenna ulica z wystawami, sklepami. Mniej więcej 30 proc. tej inscenizacji traktuje o problemie polskiego antysemityzmu przed 1 września 1939 r. Żydowskie sklepy są zamknięte niczym po kryształowej nocy w Berlinie. Totalne zachwianie proporcji graniczące z szaleństwem. Jaki mógł być cel takiego przekazu?

To systematyczne pielęgnowanie myśli o polskim antysemityzmie, który miał się narodzić w II Rzeczypospolitej i był z konsekwencją realizowany w czasie II wojny światowej. Te wszystkie elementy, począwszy od wspomnianej przedwojennej ulicy, poprzez zbitkę perspektywiczną wagonu, którym transportowano Żydów do Auschwitz-Birkenau, dalej fragment ekspozycji o Jedwabnem, fotografia bramy obozu w Brzezince, mają przemówić do 2 tys. ludzi codziennie odwiedzających muzeum.

Ilu z nich pochodzi z zagranicy?

Jak do tej pory wykazały badania w okresie letnim – prawie połowa. Dlatego tak ważne jest tempo tych zmian, które wprowadzamy.

Pana zastępcą jest prof. Grzegorz Berendt, specjalista od stosunków polsko-żydowskich, dziś członek pięcioosobowego zespołu powołanego przez premiera Morawickiego do rozmów ze stroną izraelską. To dla pana duże wsparcie w kwestii modyfikacji wystawy?

Mam przyjemność współpracować z prof. Grzegorzem Berendtem. Odnośnie do wspomnianej przedwojennej uliczki wypowiedział on znamienne słowa. Część tych sklepów z polskiej uliczki wręcz miała żydowskich właścicieli, którzy normalnie prosperowali w czasach II RP. Prowadzili swoje interesy, zaopatrywali polską armię w znakomite mundury, szyli świetne oficerskie buty, a sklepów nikt im nie zamykał. Nie można wykluczyć, że jakiś pojedynczy sklep mógłby być nawet zamknięty, ale skala pokazana w „uliczce" jest odwrócona do góry nogami. To takie celowe budowanie napięcia – nastroje w II RP i zaraz ich erupcja w Jedwabnem – zaburzające systematykę opowieści.

Machcewicz w ekspozycji przyjął narrację „manipulacji pogromowej".

Można użyć takiego określenia. Natomiast najbardziej niepokojące jest pominięcie tych wszystkich Polaków, którzy ratowali Żydów. I ten przekaz trzeba naprawić.

Tym bardziej że sprawa Jedwabnego czeka jeszcze ze strony historyków na pełne wyjaśnienie.

Historia wykazuje wiele kontrowersji wokół tej sprawy. Dla mnie jest ważne,

Fot. Paweł Kwiatkowski

eprasa.pl 8bef0554e8

jak Jedwabne pokazywać w muzeum. Rodzi się pytanie, dlaczego ten problem jest tak eksponowany przy prawie całkowitym braku zainteresowania twórców wystawy ratowaniem Żydów przez Polaków. To niepokojące.

W sumie wiele losów polskich i żydowskich znalazło swój tragiczny finał w takich miejscach jak Auschwitz-Birkenau. Kto na świecie wie o rtm. Pileckim uznanym za jednego z najodważniejszych ludzi II wojny światowej, a już tym bardziej o o. Maksymilianie Kolbem, który dostąpił wyżyn świętości? Nie ma o nich ani słowa.

Pytanie do moich poprzedników: jak można opowiedzieć historię Auschwitz bez rtm. Pileckiego i o. Kolbego? Tu nasuwają się różne myśli. Dlaczego zmarginalizowano postacie tak ważne dla Polaków i tak zrozumiałe dla całego świata? Nie potrafię powiedzieć, dlaczego tak się stało, ale tak być nie powinno.

Widać polityka bicia się we własne piersi była myślą przewodnią twórców ekspozycji.

Machcewicz wybudował muzeum, na jakie żaden inny kraj na świecie się nie poważył. Z pełną odpowiedzialnością mogę powiedzieć, po zwiedzeniu muzeów nie tylko w Europie, jak Imperial War Museum, lecz i Muzeum II Wojny Światowej w Nowym Orleanie czy w Pearl Harbour, że każdy naród przyciąga tysiące turystów, żeby opowiedzieć swoją historię. Tymczasem my zaczęliśmy opowiadać za sprawą Machcewicza historię tak zuniwersalizowaną i tak kładącą akcenty na rzekome przywary oraz słabości Polaków, że stało się to niezrozumiałe. Odnoszę wrażenie, że świat w cichości swojej duszy śmieje się z tego, co zrobiliśmy tutaj. Francuzi z Anglikami potrafili zrobić z klęski w Dunkierce kontrę, z której wyszedł po kilku latach ostateczny cios zadany Niemcom w Normandii.

Co wam się udało zmienić w muzeum przez te osiem miesięcy, odkąd tu pracujecie?

Pierwszą rzeczą, którą zrobiliśmy, była rewolucja w systemie przewodników. Te wszystkie rzeczy, które zostały schowane, jak fragment ekspozycji dotyczący Ireny Sendlerowej, musiały zostać zauważone. W ten sposób dobraliśmy oprowadzających, by wyciągnęli z tej wystawy to, co jest istotne, a co zostało pominięte. Według badań z pomocy przewodników korzysta większość zwiedzających.

> Paweł Machcewicz wybudował muzeum, na jakie żaden inny kraj na świecie się nie poważył. Odnoszę wrażenie, że świat w cichości swojej duszy śmieje się z tego, co zrobiliśmy tutaj

Później powstał dział „Polacy w Wolnym Mieście Gdańsku". Do tej pory muzeum traktowało tylko o cierpieniach ludności pochodzenia żydowskiego w tym mieście. Jesteśmy w przededniu wprowadzenia tzw. gamy 12 zmian. Rodzina Ulmów, rtm. Pilecki – szeroka ekspozycja, podobnie Sendlerowa. Wystawa poświęcona św. o. Kolbemu, cichociemnym, których też jako symbolu oporu zabrakło. Ekspozycja Westerplatte w siedmiu odsłonach jako rozpoczęcie II wojny światowej. Wojsko Polskie II RP w obiektywie znanego ówczesnego fotografa Henryka Poddębskiego.

A przedwojenna uliczka i Jedwabne, które przysłania praktycznie wszystko?

To już się dzieje. Zmieniamy tok narracji. Nie usuwamy tego, co było, pokazujemy właściwe postawy Polaków podczas wojny. Robimy to w trzech etapach. W tym roku będziemy zmieniać kolejne segmenty ekspozycji. Decyzją ministra kultury Piotra Glińskiego powołano Radę Naukową, której pierwsze posiedzenie odbędzie się w marcu. W jej skład wchodzą: prof. Marek Chodakiewicz, prof. Bogdan Musiał, prof. Jan Żaryn, dr Piotr Niwiński czy red. Piotr Semka. Specjaliści od muzealnictwa, jak Piotr Majewski, żołnierz AK prof. Jerzy Grzywacz, znawca martyrologii duchowieństwa podczas II wojny światowej ks. dr Jarosław Wąsowicz i dr Jacek Friedrich. To autorytety w kategorii historii II wojny światowej oraz muzealnictwa.

Jednak Paweł Machcewicz, mimo że zafundował nam taki historyczny przekaz, robi wiele, by spowolnić zmiany. Czuje się głównym autorem tej wystawy. Czy jego działalność wpływa na tempo przemian w muzeum?

Jego adwokaci właśnie złożyli pozew do sądu liczący setki stron w obronie praw autorskich, które jego zdaniem są mu należne. W ten sposób usiłuje powstrzymać zmiany. W rzeczywistości realizował misję powierzoną mu przez państwo polskie, pobierając za to wynagrodzenie. Ale patrząc na to jeszcze szerzej – stawia przed sądem Sendlerową, rtm. Pileckiego i o. Kolbego, których postaci w ramach zmian w wystawie chcemy dużo mocniej wyeksponować. Machcewicza interesuje tylko stan pierwotny wystawy. W pewnym stopniu blokuje prace nad zmianami. Wysyła do firm, które bezpośrednio prowadzą prace w muzeum, listy grożące pozwami sądowymi. Musimy się spotykać z prawnikami i tłumaczyć, że to my bierzemy na siebie pełną odpowiedzialność za modyfikacje. Z jego inspiracji prezydent miasta Gdańska Paweł Adamowicz podpisał aneks rozwiązujący umowę współpracy miasta z Muzeum II Wojny Światowej, utrudniając nam życie.

Paweł Machcewicz zaprzecza. Twierdzi, że to była inicjatywa Pawła Adamowicza.

Tak? To dlaczego pod aneksem widnieje podpis Machcewicza?

eprasa.pl 8bef0554e8

Ani kroku wstecz

Pamiętają państwo incydent sprzed kilkunastu lat, gdy uczniowie jednej z toruńskich szkół włożyli nauczycielowi na głowę kosz na śmieci? Obawiam się, że z podobną sytuacją mamy dziś do czynienia w polityce międzynarodowej. Pan od historii, dobroduszny dziadek w niemodnej marynarce, to Polska. Klasowi zwyrodnialcy to Izrael, USA i kilka państw europejskich, które gardzą wiedzą historyczną. Przez wiele semestrów nauczyciel próbował zaszczepić w uczniach miłość do historii, ale – przyznajmy – robił to niezbyt zajmująco. Zamiast posiłkować się multimediami, mruczał coś pod wąsem, przekonany, że gówniarze znają podstawowe fakty i daty. Nikt go nie słuchał. Każdy tuman podczas lekcji siedział z nosem w ajfonie. A kiedy dziadek zapowiedział sprawdzian, cała klasa się zbuntowała i zaczęła się znęcać nad Bogu ducha winnym pedagogiem.

Polska to nie koncern, który może sobie pozwolić na rezygnację z kontrowersyjnej reklamy

Pytanie: jak powinien zareagować dziadek? A. Zrezygnować z przeprowadzenia sprawdzianu i zabrać swoich prześladowców do McDonalda („No i fajnie!"). B. Pertraktować z matołami w sprawie przesunięcia terminu. C. Zacząć wywoływać uczniów do tablicy, nękać ich kolejnymi sprawdzianami i konsekwentnie wlepiać pały.

Zwolennicy bezstresowego wychowania z pewnością odpowiedzą, że nauczyciel musi przejść na wcześniejszą emeryturę, bo „nie radzi sobie" z młodzieżą. Ja uważam, że ma obowiązek podjąć walkę o godność, nie tylko własną. Jest przecież oczywiste, że jeśli da się zastraszyć chuliganom, runie autorytet szkoły. Każdy głupi będzie mógł się popisywać błędami kardynalnymi, np. o „polskich obozach koncentracyjnych", mając świadomość, że ujdzie mu to na sucho.

Im bardziej rozbrykana jest młodzież (USA ur. 1776, Izrael ur. 1948), tym więcej publicystów radzi staremu belfrowi (ur. 966), żeby odpuścił. O tym, że Polska powinna się wycofać z nowelizacji ustawy o IPN, mówią już nie tylko wrogowie rządu, lecz i porządni ludzie. „Dzisiaj potrzebujemy przede wszystkim spokoju" – twierdzi prof. Andrzej Nowak. „Wyborcy PiS są dużo bardziej racjonalni, niż im się to wmawia. Doceniają, że rząd podjął próbę zablokowania ogromnych kłamstw. I są w stanie przyjąć do wiadomości to, że wskutek splotu wielu czynników trzeba się z tego wycofać. Ze względu na nabuzowanie niechęcią wobec Polaków w Izraelu. Ze względu na nierozumienie pojęcia penalizacji za słowo przez Amerykanów" – precyzuje Michał Karnowski.

A ja, jak przystało na poetę, teatralnie chwytam się za głowę i pytam głośno: czego się boicie, panowie? Czy naprawdę wierzycie, że strategiczne relacje między państwami buduje się na afektach: wzajemnych sympatiach, zgodnej interpretacji przeszłości, dążeniu do jedności w sferze symbolicznej? Czy wydaje wam się, że wojska amerykańskie stacjonują w Polsce dlatego, że jesteśmy „najbardziej proamerykańskim narodem na świecie"? Moim zdaniem nasze przyjazne gesty wobec USA nie mają tu żadnego znaczenia. Jedynym powodem, dla którego mocarstwo zza oceanu zainteresowało się bezpieczeństwem Europy Środkowej, jest jego własny interes. Jeśli ten interes okaże się priorytetem Białego Domu, amerykańscy chłopcy nadal będą wspierać naszych żołnierzy w zabezpieczaniu wschodniej flanki NATO. A jeśli z powodu nowelizacji ustawy o IPN zostaną odwołani, będzie to znaczyło, że amerykańska polityka w Europie Środkowej od początku była fikcją. I cóż nam po takim sojuszniku?

Polska to jest wielka rzecz. To nie koncern, który w obawie przed utratą klientów może sobie pozwolić na rezygnację z kontrowersyjnej reklamy. Właśnie ogłosiliśmy światu, że jesteśmy dumni z naszej świętej historii. A ci, którzy zechcą pisać ją na nowo, muszą się liczyć z przykrymi konsekwencjami. Nowa ustawa o IPN ma fundamentalne znaczenie dla naszej tożsamości, a bitwa z jej krytykami to początek obliczonej na pokolenia wojny o prawdę historyczną. Dlatego zwracam się do polskiego rządu: ani kroku wstecz. Jeśli teraz wywiesimy białą flagę, żadne filmy ani wysiłki naukowców nie zrównoważą poniesionych strat. Świat uzna, że wprowadzając ustawę, z której szybko się wycofaliśmy, chcieliśmy go oszukać. I będzie pozamiatane.

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel



eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. Andrzej Skwarczyński

LOT powinien być biało-czerwony

Polskie marki muszą pracować na markę Polski na świecie



MARCIN MASTALEREK

Zbliżają się obchody 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Powinny być to obchody godne i znaczące nie tylko w sferze symboliki, lecz również takie, które pozostawią trwałe osiągnięcia. Obchody powinny się stać impulsem do budowy dumy z Rzeczypospolitej, jej osiągnięć i dokonań w wielu sferach. Najwyższy czas, by budować patriotyzm gospodarczy, realizować ambitne projekty gospodarcze. Takie projekty, które osiągną sukces i dzięki temu będą zachętą dla innych, ale także będą promować Polskę na świecie. Takie, z których jako Polacy będziemy po prostu dumni. Duma ze swojego kraju w XXI w. oznacza przede wszystkim dumę z jego osiągnięć gospodarczych.

Dziś obowiązkiem polityków powinno być przeżycie tych obchodów tak, by trwały dłużej niż kilka listopadowych dni. By zbudowały trwały kapitał społeczny – kapitał założycielski patriotyzmu gospodarczego. Wzorem dla Polski powinien być patriotyzm amerykański. Tym bardziej że musimy jako społeczeństwo być gotowi do stawienia czoła geopolitycznym wyzwaniom.

Kilka tygodni temu estoński wywiad ogłosił, że Rosjanie szykują ataki informacyjne na kraje bałtyckie. Ich celem ma być dyskredytacja obchodzonych w tych krajach świąt niepodległości. Aktywność Rosjan wymierzona w państwowość krajów z dawnej strefy wpływów narasta. Oznacza to, że jeśli sami nie zagospodarujemy przestrzeni komunikacyjnej, sami nie stworzymy pozytywnej narracji o Polsce, to w każdej chwili może to zrobić za nas ktoś inny, ale nie będzie to promocja, tylko powielanie najgorszych stereotypów o Polsce i Polakach. Odkłamanie negatywnej narracji nie będzie ani łatwe, ani szybkie. Lepiej aktywnie zająć się promocją Polski na świecie, niż reaktywnie reagować na kłamstwa o nas.

Dbanie o wizerunek Polski, o promocję naszego kraju na świecie to jedna z najważniejszych obietnic, jakie złożyliśmy w kampanii wyborczej. Obiecaliśmy, że skończymy z pedagogiką wstydu, że nadrobimy wieloletnie zaniedbania i zaległości w tych kwestiach, że będziemy promować polską historię, nasze sukcesy, naszych bohaterów, osiągnięcia naszych firm. Padały obietnice o profesjonalnych kampaniach skierowanych do zagranicznych odbiorców czy nawet o hollywoodzkich produkcjach.

Obiecaliśmy, że polskie firmy pod polską banderą będą zdobywać nowe rynki. Staną się ambasadorami naszych osiągnięć i realizatorami ambicji. Polskie marki muszą pracować na markę Polski na świecie. W tych obietnicach nie odkryliśmy niczego nowego. Przecież tak robią wszystkie rozwinięte i ambitne państwa. Wspierają ważne przedsięwzięcia swoich firm, bo wiedzą, że ich sukces będzie także sukcesem państwa, z którego pochodzą.

To jedna z wciąż niezrealizowanych obietnic. W tej materii nie „wstaliśmy z kolan". Czasem mam wrażenie, że menedżerowie spółek skarbu państwa nie mają śmiałości, wyobraźni ani determinacji. Boją się.

Właśnie ten imposybilizm menedżerów i mentalność „księgowych" jest

eprasa.pl 8bef0554e8

największym obciążeniem. Wciąż słyszymy: „Nie da się" wpisywane w różne tabelki.

Nie widzę dziś ciekawego przedsięwzięcia z zakresu promocji Polski realizowanego przez spółkę skarbu państwa ani jakąkolwiek znaczącą spółkę. Bo mentalność „księgowych" nie wykracza poza horyzont najbliższego sprawozdania finansowego. W kampanii chodziło nam o pomysły, które wpisują się w poczucie dumy z przynależności do polskiej wspólnoty.

Najlepiej to, czego nam brakuje, opisać na konkretnym przykładzie, w tym przypadku na konkretnej firmie. Polskie Linie Lotnicze LOT. Nasza narodowa linia lotnicza. Jeszcze kilka lat temu przeżywająca głęboki kryzys, mająca coraz gorsze wyniki gospodarcze, po macoszemu traktowana przez poprzednie rządy. Bo jak inaczej nazwać zachowanie byłego premiera Tuska, który zakładał, że LOT może przestać istnieć.

A tymczasem LOT to firma, która w roku 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości obchodzi jubileusz 90-lecia istnienia. Marka, z której codziennie korzysta nie tylko tysiące Polaków, lecz także tysiące obywateli różnych państw. Wreszcie marka, której samoloty codziennie docierają do kilkudziesięciu miast na całym świecie.

To marka, którą rozpoznaje każdy Polak. Co więcej – marka ceniona. W zeszłorocznym badaniu wizerunku pracodawców – Randstad Employer Brand Research, w którym udział wzięło ponad 6,5 tys. polskich studentów, pracowników i osób niezatrudnionych w wieku od 18 do 65 lat – LOT zajął trzecie miejsce. Uczestnicy polskiej edycji badania pracę dla naszego narodowego przewoźnika ocenili „jako rozwijającą", docenili zastosowanie nowoczesnych technologii oraz wskazywali na dobrą reputację przedsiębiorstwa.

LOT ma wszelkie dane ku temu, żeby być marką pracującą na dobry wizerunek Polski: 90 lat tradycji, kluczową pozycję na polskim rynku lotniczym, coraz nowocześniejszą flotę, wielu przywiązanych klientów oraz coraz większą liczbę miast, do których realizuje loty. Zakup nowych samolotów, w tym dreamlinerów, nie powinien być jedynym posunięciem w unowocześnianiu przedsiębiorstwa.

W jubileuszowym roku 2018 jest idealny moment, żeby powiedzieć: Polskie Linie Lotnicze LOT będą miały barwy biało-czerwone. Powie ktoś, że w 1978 r. ustalono jednolite, niebieskie malowanie samolotów, więc nie ma co zmieniać; że te barwy się przyjęły; że są od 40 lat. Na ten argument odpowiem tak: dziwię się, że wtedy nie pomyślano, aby Polskim Liniom Lotniczym nadać nasze narodowe barwy i że nie zrobiono tego do tej pory.

Ktoś, kto nie potrafi sobie wyobrazić samolotów LOT w nowych barwach, niech zobaczy, jak pięknie i godnie wyglądają tzw. rządowe samoloty, notabene obecnie czarterowane właśnie od LOT. Podobnie mogą na stałe wyglądać wszystkie lotowskie maszyny. Wzorem niech będzie rebranding American Airlines, które malują samoloty w kolory amerykańskiej flagi, podkreślając swoje pochodzenie. Podobnie jak dumne bleu blanc rouge samolotów Air France czy krzyż linii Swiss albo łopoczący na maszynach British Airways Union Jack.

> Wszystkie ambitne państwa wspierają ważne przedsięwzięcia swoich firm, bo wiedzą, że ich sukces będzie także sukcesem tego państwa

Oczywiście rebranding, który rozpoczęłby się w 2018 r., byłby procesem rozciągniętym na wiele miesięcy, a może nawet na dwa–trzy lata, ze względu na dużą liczbę samolotów, którą dysponuje LOT, tak żeby w żaden sposób nie zakłócać funkcjonowania firmy, nie destabilizować harmonogramu połączeń. W tak dużych firmach jak LOT logistyczne przeprowadzenie takiej operacji musi być rozciągnięte w czasie, ale takie projekty nie są czymś, co przerasta możliwości dużej firmy funkcjonującej od 90 lat. To również doskonała okazja do odświeżenia samej marki, połączenia tego procesu z działaniami reklamowymi. Sam proces zmiany barw byłby wpisany w kompleksową kampanię reklamową naszego narodowego przewoźnika, która służyłaby pokazaniu historii firmy, jej osiągnięć, obecnego potencjału i planów rozwojowych na przyszłość. To nie jest zadanie, które przerasta możliwości LOT.

Tymczasem usłyszałem już nawet, że się nie da, że to będzie kosztować, że przecież nie da się uziemić wszystkich samolotów, że to musi potrwać, bo samolotu nie maluje się w godzinę. Oczywiście łatwiej go okleić reklamą słodyczy, zasłaniając przy tym żurawia, którego tradycja sięga dwudziestolecia międzywojennego. Bo właśnie taką kampanię na swoich samolotach prowadzi LOT.

Oczywiście wprowadzanie biało-czerwonych barw to byłby proces rozciągnięty w czasie, musi być tak rozpisany, by nie zaburzał siatki połączeń. Dlatego można to robić stopniowo, acz konsekwentnie, wykorzystywać czas, kiedy samoloty są serwisowane, wreszcie nowe maszyny zamawiać już w polskich barwach.

Śp. Grażyna Gęsicka mówiła mi: „Nie rozmawiaj z ludźmi, którzy mówią, że się nie da". Skoro mogli Amerykanie, to mogą i Polacy.

Możemy przeprowadzić wielką kampanię – w Polsce i za granicą. Możemy zrobić projekt na lata do przodu. Nie mielibyśmy na to szansy, gdybyśmy w 2015 r. słuchali ludzi, którzy mówili, że się nie da.

To tylko jeden przykład na konkretnej firmie, jak w 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości można skutecznie połączyć promowanie polskiej firmy na świecie, ale dzięki temu przypominać światu, że Polska od 90 lat ma narodowe linie lotnicze, których barwy są tożsame z naszymi barwami narodowymi, że linie te są nowoczesne, komfortowe, że mają ambitne plany na przyszłość. Jeśli wystarczy odwagi.

Autor jest byłym rzecznikiem Prawa i Sprawiedliwości, specjalistą w zakresie PR i komunikacji

eprasa.pl 8bef0554e8

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Kto łamie konstytucję

Opór wobec państwa, jaki wznieca dziś część środowiska sędziowskiego, jest w naszej powojennej historii wydarzeniem bezprecedensowym. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, aby sędziowie wystąpili przeciwko konstytucyjnemu porządkowi w państwie. Robiły to do tej pory prawie wszystkie grupy i warstwy społeczne. Klasa sędziowska stała ponad tym. Wszystkich swoich niepokornych wcześniej zneutralizowała. Stworzyła się „nadzwyczajna kasta". Swe postulaty załatwiała w zaciszu ministerialnych gabinetów i nigdy nie odważyła się publicznie kontestować praworządności czy – jak to się dzieje dziś – roli Trybunału Konstytucyjnego. No ale nie byliśmy w UE.



Jest oburzające, kiedy sędziowie w swobodnych wypowiedziach dla mediów głoszą ex cathedra, że jakaś ustawa jest niezgodna z konstytucją

Na przywódcę tej sędziowskiej rewolty wysunął się sędzia Waldemar Żurek. Sądu, w którym wykryto milionowe przekręty, a w areszcie znaleźli się pracownicy sądu, w tym jego prezes.

Jestem przekonany, że Waldemar Żurek przestanie być sędzią i przejdzie do polityki, czyli zasili obecną opozycję, która wspierała go w jego walce z „reżimem". Nie wyobrażam sobie, aby przyszły Rzecznik Dyscyplinarny Sądu Najwyższego pozostał obojętny na fakt politycznego zaangażowania sędziego Żurka, czego prawo zabrania, i na jego wypowiedzi zawierające groźby usunięcia z zawodu czy pozbawienia emerytury, adresowane do tych sędziów, którzy zamierzali objąć członkostwo w KRS.

Przypomnę, że sędziowie Sądu Okręgowego w Łodzi apelowali do wszystkich sędziów w Polsce o niekandydowanie do KRS i niepodpisywanie list poparcia. Uchwałę poparło aż 66 sędziów na 68 głosujących. Bojkot ten nie odniósł jednak skutku.

Jest nowa KRS i z pewnością się zbierze, niezależnie od tego, jak zachowa się kontynuująca bunt sędziego Żurka I prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzata Gesdorf, na której ciąży obowiązek zwołania pierwszego posiedzenia KRS. Być może władza ustawodawcza zostanie zmuszona do kolejnej nowelizacji ustawy o sądownictwie, w której odbierze z rąk I prezesa Sądu Najwyższego obowiązek zwoływania pierwszej sesji nowo wybranej KRS, powierzając tę funkcję prezydentowi RP albo prezesowi TK, albo najstarszemu z sędziów zasiadających w KRS. I byłoby to bardzo dobre posunięcie, gdyż po raz kolejny przypomniałoby sędziom o roli suwerena, czyli parlamentu. Władza ustawodawcza ma bowiem zagwarantowane w konstytucji (art. 187) prawo określania ustroju, zakresu działania, trybu pracy i wyboru członków KRS. Konstytucji, ale i ustawom, podlega także sędziowska niezawisłość. I jest to zgodne z trójpodziałem władzy, gdyż sądy i trybunały nadal są władzą odrębną i niezależną od innych władz (art. 173). Ustawy nie odbierają bowiem sędziom sędziowskiej niezawisłości, która polega na rozstrzyganiu zgodnie z sumieniem i obowiązującym prawem. Także parlament reguluje zgodnie z konstytucją kwestie złożenia sędziego z urzędu, jego zawieszenia, przeniesienia na inne stanowisko czy w stan spoczynku. Warto też przypomnieć, że to parlament określa granicę wieku, od której sędziowie przechodzą w stan spoczynku. UE nic tu nie pomoże, dlatego że w Polsce obowiązuje polska konstytucja.

Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę pisał o tak trywialnych kwestiach. Dlatego jest niezwykle oburzające, kiedy sędziowie w swobodnych wypowiedziach dla mediów głoszą ex cathedra, że jakaś ustawa jest niezgodna z konstytucją. No, ale kiedy podważało się legalność Trybunału Konstytucyjnego, twierdząc, że siedzą tam jacyś „dublerzy", to teraz trudno go nie kwestionować i grzecznie czekać na jego werdykt. A przecież tylko Trybunał Konstytucyjny, w zgodzie z konstytucją, jest uprawniony do tego, aby siłą swojego konstytucyjnego urzędu przesądzić o tym, czy ustawa jest, czy nie jest konstytucyjna.

Każdy z nas może sobie twierdzić, czy coś jest konstytucyjne, czy nie, z wyjątkiem sędziów, którzy dobrze wiedzą, że jedyna faktyczna ocena konstytucyjności, czyli zgodności ustawy z konstytucją, spoczywa na Trybunale Konstytucyjnym.

Osobiście uważam, że zarówno sędzia Waldemar Żurek, jak i pani I prezes Sądu Najwyższego postępują niezgodnie z konstytucją i sprzeniewierzyli się swojemu sędziowskiemu powołaniu. Ale to jest tylko moje prywatne zdanie.

Jak powszechnie wiadomo, sędzia nie może należeć do partii politycznej (art. 178), ani „prowadzić działalności publicznej niedającej się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów". Tylko tak, dla porządku, przypomniałem ten właśnie przepis konstytucji, mając wciąż przed oczyma sędzię Małgorzatę Gersdorf ze świeczką na manifestacji KOD, i sędziego Waldemara Żurka wychodzącego wraz ze swoimi kolegami z KRS po wspólnym, „roboczym" spotkaniu w siedzibie Platformy Obywatelskiej.

eprasa.pl 8bef0554e8

Anoda i katody

DARIUSZ KARŁOWICZ

Za sobą mamy siódmy już finał organizowanych przez Muzeum Powstania Warszawskiego Nagród im. Jana Rodowicza „Anody". Powtarza się często, że celem konkursu jest wyróżnienie „powstańców czasu pokoju". Jak to rozumieć? Patriotyzm to postawa integralna – w czasie wojny czy okupacji wyraża się gotowością do działania w konspiracji, walki zbrojnej, a nawet poświęcenia życia. Oto nasza miara, nasz *metre Sèvre*. Ale przecież i w czasie pokoju patriotyzm ma sens. Jeśli stanowi formę solidarności z członkami własnej wspólnoty, jeśli jest postawą odpowiedzialności za wspólne dobro, to możliwy jest również bez karabinu. To jasne. Bohaterstwo i zdrada, heroizm i łajdactwo nie kończą się wraz z ustaniem walk. Formę właściwą dla swoich czasów odnajdzie powstaniec i konfident. Choć na szczęście cena jest dużo niższa – bo za przyzwoitość nie trzeba umierać – to przecież słowo „poświęcenie" nie staje się pustym dźwiękiem również w czasie pokoju.

Konspiracyjny pseudonim Rodowicza precyzyjnie wyjaśnia, o co chodzi w nagrodzie. Żeby popłynął prąd, żeby pojawiła się energia, trzeba anody i katody. Komuniści wiedzieli, dlaczego muszą zamordować Rodowicza. To racjonalne. Większość z nas to katody. Bez ludzi takich jak Rodowicz energia wspólnoty zamiera, silnik gaśnie. Wspólnota staje się stadem, w najlepszym razie archipelagiem samotnych wysp. Na szczęście projekt całkowitej likwidacji elit politycznych, kulturalnych, religijnych nie powiódł się ani Niemcom, ani komunie. Niemieckie eksterminacje choćby *Intelligenzaktion*, miały cel precyzyjnie określony. „Tylko naród, którego warstwy kierownicze zostaną zniszczone, da się zepchnąć do roli niewolników" – wyjaśniał Hitler.

Jeśli płynie prąd, silnik pracuje, a my nie jesteśmy niewolnikami, to dlatego, że plan nie powiódł się w 100 proc. Oczywiście wiele udało się osiągnąć. Obraz dzisiejszych elit jest dowodem skuteczności eksterminacji jako metody politycznej zmiany. A przecież – choć współczesnych powstańców darmo szukać na Pudelku – dziedzice „Anody" istnieją. Wzięli na plecy ciężar, który nieśli tamci. Nie robią tego dla nagród, ale to nie znaczy, że nie należy im się podziw. Dobrze wiedzieć, kim są, choćby po to, by nie stracić rozeznania, gdzie góra, gdzie dół.

W tym roku kapituła nagrody postanowiła szczególnie nisko pokłonić się trzem spośród zgłoszonych kandydatów. W kategorii „wyjątkowy czyn" wyróżniono studenta z Opola Grzegorza Haliczyna. Stanął w obronie ukraińskich studentów. Oberwał nożem, ale obezwładnił napastnika. Odbierając nagrodę, bagatelizował sprawę, chyląc głowę przed „prawdziwymi bohaterami". W kategorii „całokształt dokonań oraz godna naśladowania postawa życiowa" nagrodę przekazano Kazimierzowi Speczykowi, twórcy pierwszego w Zabrzu Klubu Abstynenta, inicjatorowi stworzenia domu dla bezdomnych, twórcy oryginalnej metody wychodzenia z bezdomności. W kategorii „aktywność społeczna" wyróżniliśmy Mirosława Kaźmierczaka, trenera i nauczyciela WF z małej wsi na Podkarpaciu.



Zahutyń, 1,2 tys. mieszkańców, wieś między Sanokiem a Zagórzem. Czy w Zahutyniu można zostać mistrzem świata? Wahacie się, więc doprecyzuję pytanie: bez pieniędzy, bez kosztownego sprzętu, bez klubu z tradycjami, bez szkoleniowców, bez sponsorów, no i zespołowo, nie indywidualnie? Niemożliwe? Trzeba jakichś pieniędzy? Zgoda. Mirosław Kaźmierczak zbiera surowce wtórne. Ale nie czeka, aż mu je przyniosą. Od wielu lat codziennie o 5.00 rano, niezależnie od pogody, wsiada na rower z przyczepką. Jeździ od śmietnika do śmietnika. Trzeba być bardzo odpornym na drwinę. „Całą godność musiałem zostawić w domu" – opowiada. W ten sposób uzbierał na zakup sprzętu sportowego. Za te pieniądze utrzymuje klub.

Zajęcia prowadzi codziennie. Nieodpłatnie. Wielu spośród młodych zawodników nie byłoby zresztą stać na żadne składki. Trener doskonale to rozumie – sam w dzieciństwie dobrze poznał biedę. Życie go nie rozpieszczało. Na studia zdał przed czterdziestką, a własną karierę sportową zaczął bardzo późno (mistrzem kulturystyki został po pięćdziesiątce).

Klub nazywa się UKS „Spartanie" Zahutyń. W sali urządzonej za zebrane przez trenera pieniądze dzieci uprawiają gimnastykę i akrobatykę sportową. Kiedy ćwiczą, można odnieść wrażenie, że natura wyposażyła je w dodatkowe mięśnie i stawy, i że prawa grawitacji tu nie obowiązują. Skąd na Podkarpaciu „Spartanie"? Żeby ciało mogło osiągnąć podobną sprawność, dusza musi mieć muskulaturę Leonidasa (a co najmniej Schwarzeneggera). Spartańska surowość to ważna inspiracja tego niezwykle ciepłego i szalenie skromnego człowieka. Odbierając nagrodę, powiedział: „Czuję, że za mało czasu im poświęcam. Przepraszam".

W zeszłym roku młodzi „Spartanie" z Zahutynia zajęli pierwsze miejsce w mistrzostwach świata w fitnessie gimnastycznym. Zawody potwierdziły tylko to, co stało się wcześniej. Dzieci z Zahutynia są mistrzami świata. Miały szczęście – spotkały „Anodę". Gdyby żyły w latach 40., ich trener byłby pewnie jednym z pierwszych na niemieckiej liście proskrypcyjnej. Gdyby jakimś cudem przeżył, ubecja wzięłaby go w 1948. W 2018 r. mogą oglądać, jak odbiera nagrodę.

Jak na polskie warunki, to nie są wcale małe przyjemności.



Martwy dziennikarz okazał się tysiąc razy bardziej niebezpieczny niż żywy. Pośmiertnym zwycięstwem zastrzelonego kilkanaście dni temu Jána Kuciaka jest upadek gabinetu i odejście polityków, którym zarzucał związki z mafią

Trupy w słowackiej szafie



MAJA NARBUTT

Ale to może być dopiero początek lawiny trudnych do przewidzenia konsekwencji. Wizerunek Słowacji został zniszczony, a na światło dzienne mogą wyjść kolejne kompromitujące fakty.

Przez dwa tygodnie kryzysu wywołanego zamordowaniem przez nieznanych sprawców dziennikarza śledczego premier Robert Fico desperacko walczył, by utrzymać się u władzy. Robił to w stylu, który zaszokował Słowaków. W ich pamięci utrwalił się dziwny, wręcz filmowy obraz.

Premier Fico stoi nad stołem, na którym piętrzą się grube pliki banknotów. Teatralnie dozując napięcie, oznajmia: „Panie i panowie, to milion euro dla osoby, która przekaże informacje o zabójcach dziennikarza Jána Kuciaka i jego narzeczonej".

– Nie wierzyłem własnym oczom, pomyślałem, że zupełnie zwariował. Mamy ścigać mafię, a premier sam zachowuje się jak szef mafii, który wierzy, że pieniądze rozwiązują każdy problem. Nie wiadomo nawet, skąd wziął ten milion – opowiada Matúš Kostolný, jeden z najbardziej znanych słowackich dziennikarzy.

Właściwie powinien się przyzwyczaić, że pieniądze przenoszone w walizkach, wykładane na stół lub przekazywane pod stołem są częścią stylu słowackich elit politycznych. „Na Słowacji panuje era gotówki" – powiedział mu minister spraw wewnętrznych Robert Kaliňák, gdy ukazał się artykuł o korupcyjnych uwikłaniach ministra i jego znajomych. – Obowiązują przepisy unijne, transakcje powyżej pewnej kwoty mają się odbywać poprzez rachunki bankowe. Ale minister powiedział, że u nas jest inaczej, i wyśmiał krytykę prasową – mówi Kostolný.

Tak było za każdym razem: niezależnie od tego, co ujawniali dziennikarze śledczy i jakie afery wyciągali na światło dzienne, nic do tej pory nie mogło zaszkodzić gabinetowi Roberta

eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. EAST NEWS/AFP PHOTO/JOE KLAMAR

Ficy. Politycy bagatelizowali zarzuty, reakcja społeczna była znikoma. – Ludzie przyjmowali pewne rzeczy do wiadomości i mówili: „Ale co właściwie możemy zrobić". A to, co działo się u nas, nie wyciekało na zewnątrz i nie docierało na salony Brukseli – przyznaje Kostolný.

To jeden z najbardziej intrygujących aspektów historii o zamordowanym dziennikarzu, która wywróciła do góry nogami postrzeganie Słowacji. W jaki sposób udało się tak długo zachować doskonały image tego pięciomilionowego kraju, skoro tak wiele faktów świadczyło o głębokiej demoralizacji elit władzy? Pytam o to wszystkich słowackich dziennikarzy, z którymi rozmawiam, i za każdym razem otrzymuję identyczną odpowiedź: nikt nie chciał poznać niewygodnych faktów. – Próbowałem zainteresować dziennikarzy „Financial Timesa" i innych zachodnich mediów najbardziej bulwersującymi aferami, jakie udało się nam odkryć. Ale odzew był znikomy – mówi Kostolný.

Narracja była ustalona, role rozdane. Słowacja miała być prymusem wśród nowych państw członkowskich UE, niesprawiającym kłopotów, z kwitnącą gospodarką i przestrzegającymi zasad demokracji politykami. Opowieści o premierze, który zrobił polityczną karierę, bo grupa pięciu oligarchów zawiązała pakt, że go poprze, a on się im odwdzięczy, nie pasowały do tej konwencji. Socjaldemokratyczny premier Fico jeździł do Brukseli, wywierał doskonałe wrażenie, a potem wracał do Bratysławy i opowiadał, że Słowacja jest „w jądrze Unii Europejskiej". – Zawsze jesteśmy lojalni, bo jesteśmy mali. Słowacja była lojalna w czasach monarchii austro-węgierskiej, w czasie II wojny światowej utworzyła kolaboracyjny rząd księdza Tisy. Byliśmy też lojalną częścią Czechosłowacji, a teraz jesteśmy lojalnym członkiem UE – mówi Jaroslav Daniška, konserwatywny dziennikarz.

Spotkałam go na wielkiej demonstracji w centrum Bratysławy. Takiej demonstracji nie było tu od 1989 r., 60 tys. mieszkańców półmilionowego miasta wyległo na największy plac, żądając rozliczenia winnych śmierci dziennikarza. Demonstracja była też niezwykła z innego powodu – władze straszyły, że dojdzie do gwałtownych rozruchów inspirowanych przez George'a Sorosa, urodzonego na Węgrzech amerykańskiego miliardera żydowskiego pochodzenia, który wspiera organizacje pozarządowe i uważany jest za zakulisowego kreatora wielu wydarzeń. Ale do żadnych incydentów nie doszło.

Przyszły młode rodziny, matki z dziećmi w wózkach, studenci z przypinkami z hasztagiem # all for Jan. Morderstwo dziennikarza i jego narzeczonej było dla nich szokiem, który wyrwał ich z letargu. Łapczywie pochłaniają jego artykuły, choć kiedy żył, niektórzy nawet nie mieli pojęcia o jego istnieniu.

GRANICA ŚMIERCI

Miejsce pracy Jána Kuciaka wygląda tak, jakby dziennikarz dopiero wstał od biurka i miał za chwilę wrócić. Sięgnąć po odstawiony kubek, zajrzeć do leżącej na blacie książki o włoskiej mafii, . Nietrudno zgadnąć, czym się ostatnio zajmował: wydrukowana kartka pokazuje schemat powiązań ludzi z otoczenia premiera Ficy z 'Ndranghetą, kalabryjską mafią. I tylko pęk białych margerytek, który koledzy postawili w wazonie przed wyłączonym komputerem, sugeruje, że jednak nie jest to zupełnie zwykłe miejsce pracy.

– Nie można się pogodzić z tak brutalnym morderstwem. Kiedy redaktor naczelny zebrał nas w sali i powiedział, że Ján i jego narzeczona zginęli, płakałem. Od chwili gdy zostali zastrzeleni, wszystko się zmieniło – mówi Michal Badin, szef wydawców portalu Aktuality.sk.

Newsroom portalu przypomina wszystkie miejsca tego typu: w obszernym pomieszczeniu wpatrzeni w ekrany komputerów dziennikarze stukają w klawiatury. Wydaje się, że najgorsze, co może się przytrafić, to przekroczenie deadline'u, „granicy śmierci", czyli terminu, w którym tekst powinien zostać skończony. Prawdziwa śmierć jako konsekwencja dziennikarskiej pracy jest czymś trudnym do zrozumienia, wręcz niepojętym. Egzekucja w mafijnym stylu, zabicie dziennikarza strzałem w klatkę piersiową, jego narzeczonej strzałem w głowę i położenie obok ciał nowych kul, jako przestrogi dla innych, kompletnie zmienia myślenie o rzeczywistości.

Teraz wydaje się możliwy każdy najgorszy scenariusz. Dlatego przed biurowcem, w którym mieści się redakcja, stoi zawsze radiowóz, a barczyści policjanci dyżurują przy wejściu, w miejscu, gdzie Kuciak jeszcze niedawno wychodził zapalić papierosa.

– Oczywiście, że się boimy. Nadal jesteśmy w szoku. Rozmawiamy o tym ciągle: co jeszcze może się zdarzyć, kto może się czuć zagrożony i kto byłby następny. Ale lęk nas nie paraliżuje, nie zamyka nam ust – mówi Michal Badin.

Jak wspominają koledzy zabitego dziennikarza, miał swój specyficzny

eprasa.pl 8bef0554e8

styl pracy. Przekopywał się przez setki dokumentów, bezbłędnie wyłapując rzeczy, które mogły wskazywać na przestępczą działalność. Nie miał informatorów, ludzi w służbach, którzy często wykorzystują dziennikarza, by poprzez niego rozgrywać swoje gry. Zadawał pytania, korzystając z prawa do informacji publicznej, kojarzył fakty, które może i inni znali, ale nie potrafili ich zobaczyć we właściwym świetle.

Tak było też w jego ostatnim dziennikarskim śledztwie: zajął się Márią Troškovą, byłą modelką, która kilka lat temu nieoczekiwanie została asystentką premiera Ficy. Jej kwalifikacje wydawały się wątpliwe, zasłynęła głównie sesjami topless, a jednak premier zabierał ją nawet na spotkania z kanclerz Angelą Merkel. Kuciak powiązał fakt, że domniemana kochanka premiera była do niedawna kochanką Antonina Vadali, włoskiego biznesmena związanego z kalabryjską mafią. Jest też nadal jego partnerką w interesach. To była ta nić Ariadny, którą znalazł i trzymał się jej, by przebrnąć przez labirynt dziwnych biznesowych powiązań słowackich polityków z rządzącej partii Smer z mafią kalabryjską.

Został zamordowany w najbardziej niebezpiecznym dla dziennikarza śledczego czasie – gdy było wiadomo, że kończy pracę nad zawierającym szokujące informacje tekstem i niedługo go opublikuje.

„Prawdy się nie zabije. Będziemy iść dalej" – głosi napis na wielkim billboardzie ustawionym przed redakcją. Wątki, które badał, podjęli teraz inni. Tworzą nowe artykuły, pod którymi podpisują wśród autorów także zabitego dziennikarza.

MIŁOŚĆ I ZŁA WŁADZA

„Miłość jest silniejsza niż zła władza" – napisano sprejem na bramie ogrodzenia niewielkiego parterowego domku w Veľkej Mačy, wsi położonej 60 km od Bratysławy. Na tej samej bramie widać jeszcze resztki taśmy policyjnej, jaką ogradza się miejsce zbrodni.

Na pewno w sensie moralnym miłość, jak głosi napis, zwycięża. Ale brutalne wydarzenia, które się tu rozegrały, świadczą, że w tym wypadku zatriumfowało zło.

– Najpierw chyba zginęła narzeczona Kuciaka. Zabójca zakradł się do domu, by czekać na powrót dziennikarza, zobaczył kobietę i zastrzelił ją, żeby nie było świadków. Tak sobie to tłumaczymy. Wielu rzeczy można się tylko domyślać, żaden z sąsiadów nic nie słyszał ani nie zauważył – mówi wójt Štefan Lancz.

Policja zabezpieczyła nagrania z kamer przemysłowych, których jest w Veľkej Mačy całkiem sporo, ponad 30 należących do gminy, a także kilkanaście prywatnych. Podobno na żadnym nagraniu nie zaobserwowano nic podejrzanego. Słowo „podobno" jest kluczowe. Informacje, jakie płyną od policji, są skąpe. Mogłoby to świadczyć o kontrolowaniu przecieków i profesjonalizmie Jednak dochodzenie trudno uznać za profesjonalne – choć minęło kilkanaście dni, nadal obowiązuje wersja, że dziennikarz i jego narzeczona zginęli między 21 a 25 lutego.

Tak nieprecyzyjne wskazanie daty śmierci jest szokujące. Podobnie jak to, że na miejsce zbrodni nie wezwano lekarza sądowego i wiele poszlak po prostu przepadło. Datę śmierci ustalono więc umownie – narzeczona dziennikarza nie odebrała telefonu od matki w środę 21 lutego i nigdy nie oddzwoniła. A w niedzielę policjanci, którzy na prośbę matki podjechali do domu, znaleźli dwa ciała.

Dwa tygodnie po morderstwie mała uliczka Brezova jest spokojna jak przedtem. W skromnych domkach o podniszczonych fasadach mieszkają przeważnie starsi ludzie. Do czasu tragedii nie wiedzieli nawet, że młody mężczyzna, który wprowadził się tu latem ubiegłego roku, jest dziennikarzem. Widzieli za to, że przygotowuje dom do remontu, zwierzał się, że chce dobudować pokój z myślą o przyszłych dzieciach. Teraz po tych planach została sterta betonowych pustaków ułożona na podwórku.

– Narzeczona Kuciaka Martina Kušnírová nie mieszkała w tym domu, pojawiała się tu tylko w weekendy. Była archeologiem, a ponieważ zimą jest mało pracy, dostała tydzień wolnego. To dlatego była w domu, gdy przyszedł zabójca – mówi ze smutkiem Štefan Lancz. Nie znał osobiście zamordowanej pary, podpisywał im tylko meldunek w Veľkej Mačy – stały dla dziennikarza, czasowy dla jego narzeczonej. Okrucieństwo zbrodni wstrząsnęło nim do głębi. – Nie może być tak, że można zabić dwoje ludzi i nic się nie stanie. Zabójca czy zabójcy powinni ponieść karę – mówi. Unika jednak odpowiedzi, czy wierzy, że policja znajdzie winnych. Może dlatego, że jako osoba urzędowa nie chce powiedzieć, że jest to wątpliwe.

Podobnych oporów nie ma mężczyzna w dresie, który wychodzi z pubu tuż za rogiem ulicy, gdzie mieszkał Ján Kuciak. – Zabójca jest teraz bardzo daleko w egzotycznym miejscu albo gryzie już ziemię. Nie doprowadzi do zleceniodawców, z pewnością się o to zatroszczyli. Nie wierzę też, że policja będzie się starać rozwiązać tę sprawę. Będzie rozwiązana, tylko jeśli Europa się do tego włączy – mówi mężczyzna.

Codziennie wpada do pubu, jednak nigdy nie spotkał tam Kuciaka. Tak jak większość mieszkańców niewielkiej miejscowości zamieszkanej głównie przez mniejszość węgierską, nie miał pojęcia, że przeprowadził się tu dziennikarz. Najwyraźniej Kuciak, który prawie codziennie dojeżdżał autostradą do redakcji, wolał też w Bratysławie spędzać wolny czas. Czasem tylko pojawiał się w niedzielę w miejscowym kościele, w którym niedawno odprawiono za niego mszę.

Po morderstwie mieszkańcy Veľkej Mačy najpierw się dowiedzieli, że zginęło dwoje ludzi w wieku 27 lat. To była pierwsza informacja, którą podała prywatna telewizja. Stopniowo dowiadywali się coraz więcej – czym zajmował się Kuciak i jakie mogły być motywy zabójstwa. Słyszą teraz, że trop prowadzi do kalabryjskiej 'Ndranghety, ale są sceptyczni. Bo, jak uważa mężczyzna w dresie, „nie potrzeba było włoskiej mafii, wystarczyła nasza, słowacka".

WYBUCHOWE TEMATY

Mało jest osób, które tyle wiedzą o mafii, co Roberto Saviano, włoski dziennikarz i pisarz. Czasem nawet żałuje tej wiedzy, która przyniosła mu wprawdzie międzynarodową sławę po wydaniu książki „Gomorra. Podróż po imperium

eprasa.pl 8bef0554e8

kamorry", ale też bezsenne noce. Zabrał głos po zabiciu Kuciaka. Stwierdził, że algorytm działania 'Ndranghety jest zawsze taki sam: daje kapitał, przedsiębiorcy go inwestują, a politycy biorą łapówki i ułatwiają inwestycje.

Pewna rzecz go jednak mocno zastanawia: do tej pory 'Ndrangheta nigdy nie zabiła dziennikarza. A jeśli już w ogóle decydowała się kogoś zabić, robiła to w zupełnie innym stylu. Tak, żeby wszyscy widzieli egzekucję i byli przerażeni – strzały padają na ulicy, wśród ludzi, w miejscu publicznym.

Związki ludzi z otoczenia premiera Ficy z włoską mafią nie były jedynym niebezpiecznym tematem, jakim zajmował się Ján Kuciak. Pisał o Panama Papers, czyli poufnych dokumentach z rajów podatkowych, w których zawarte są informacje o wytransferowanych przez elity polityczne pieniądzach. To temat dosłownie wybuchowy – zajmowała się nim maltańska dziennikarka Daphne Caruana Galizia, która parę miesięcy temu zginęła w zamachu bombowym.

Słowacki dziennikarz pisał też o praniu brudnych pieniędzy i wielomilionowych oszustwach podatkowych biznesmenów związanych z ministrem spraw wewnętrznych Robertem Kaliňákiem.

Negatywnym bohaterem tekstów był również szef policji Tibor Gašpar – który teraz nadzoruje dochodzenie w sprawie jego śmierci. – Struktury władzy działają na Słowacji jak przestępcza rodzina. Politycy chronią oligarchów, którzy robią brudne interesy i defraudują unijne fundusze. Współpracują z nimi policja, prokuratura, a nawet sądy. A kiedy premier Fico, który sprawował władzę od ponad 12 lat, był już zmęczony i dawno chciał ustąpić, jego protektorzy nie pozwolili mu. Bo były jeszcze biznesy do załatwienia – opowiada Matúš Kostolný, redaktor naczelny internetowej gazety Dennik N.

Republika bananowa, państwo mafijne. Kiedy miejscowi dziennikarze mówią o Słowacji, opowiadają historie jak z politycznych thrillerów i nie przebierają w słowach. Ale diagnoza, którą stawiają, jest tak dziwna, że za każdym razem upewniam się, czy dobrze się rozumiemy. Twierdzą stanowczo, że ich kraj ma niezaprzeczalną moralną wyższość nad Polską i Węgrami. Jest bowiem państwem demokratycznym, Polska i Węgry zaś to państwa autorytarne.

I oczywiście, nikt nie łamie na Słowacji konstytucji ani wolności słowa, podkreślają dziennikarze, których premier zwykł określać z racji ich dociekliwości mianem prostytutek, hien, węży, dżihadystów.

Obrońców teorii, że na Słowacji panuje wolność słowa i demokracja może jednak czekać nieprzyjemna niespodzianka. Zamordowanie Jána Kuciaka uruchamia lawinę zdarzeń, nad którymi nikt już nie może zapanować. Polityczne trupy zaczynają wypadać z szafy, a może się okazać, że były też trupy całkiem prawdziwe.

– Dwaj dziennikarze, Pavol Rýpai i Miroslav Pejko, zniknęli w ostatnich latach bez śladu. Teraz ich rodziny zaczęły głośno mówić, że nikt się tym nie przejął ani nie zajął. Nie ukrywają goryczy – przyznaje Kostolný.

Kwatera Ł. Wolność jest kuloodporna.

Rozmowa z Jarosławem Wróblewskim, autorem książki „Kwatera Ł. Wolność jest kuloodporna".

Czym jest dla pana Kwatera Ł?

Łączka na Powązkach Wojskowych w Warszawie to szczególne miejsce – zarówno w kontekście najnowszej historii Polski, jak i dla mnie, osobiście. To tutaj dzięki determinacji prof. Krzysztofa Szwagrzyka, jego ekipie poszukiwawczej z IPN i wolontariuszom, na przestrzeni kilku ostatnich lat udało się ekshumować wszystkie szczątki złożonych tam potajemnie ofiar, zabitych w mokotowskiej katowni na Rakowieckiej. Do tej pory udało się zidentyfikować 58 żołnierzy niepodległościowego podziemia. To na Łączce miał miejsce zwycięski bój o ich pamięć.

Książka zawiera 15 rozmów...

Bardzo osobistych, w większości przeprowadzonych na Łączce. Przy szumie koparki i zapachu ziemi, w przerwach prac czy po ich zakończeniu pytałem o to, dlaczego ktoś tu przychodzi, co się w nim zmieniło, czym jest spędzony tutaj czas? Rozmawiałem też z córką rotmistrza Witolda Pileckiego, prof. Krzysztofem Szwagrzykiem czy żołnierzem wyklętym płk. Tadeuszem Bieńkowiczem „Rączym", który odwiedził to miejsce. Bardzo ważna była też rozmowa z panią Ireną Ganicz, więźniarką Mokotowa, która o wielu swoich przeżyciach opowiada po raz pierwszy dopiero w tej książce.



Ta publikacja to jednak nie tylko wywiady?

To też wiele przejmujących zdjęć dokumentujących prace poszukiwawcze. Są w niej również fotografie szczątków i żołnierzy antykomunistycznego podziemia odnalezionych na Łączce. One pokazują ludzki wysiłek, ale też i to, co pozostawił po sobie komunizm – zbrodnię na największych bohaterach, którzy chcieli, aby Polska była wolna. My doczekaliśmy tej wolności, oni niestety nie. Jednak dziś wracają do nas i „Kwatera Ł. Wolność jest kuloodporna" jest również wielkim hołdem dla nich i postawy, którą przyjęli.

29/0318/F

eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. Shutterstock

Wunderwaffe, czyli pakt Sorosa

Na ostatniej prostej przed wyborami lewicowo-liberalna opozycja sięgnęła po swą cudowną broń



GRZEGORZ GÓRNY

Ta wiadomość była dla Fideszu jak grom z jasnego nieba. 25 lutego w Hódmezővásárhely, mieście będącym bastionem prawicy, odbyły się wybory na burmistrza w miejsce zmarłego niedawno poprzednika. Murowanym faworytem wydawał się kandydat partii rządzącej, dotychczasowy wiceburmistrz Zoltán Hegedüs. A jednak niespodziewanie przegrał on z lokalnym działaczem Péterem Márki-Zayem, którego poparła niemal cała zjednoczona opozycja. Zwycięstwo było wyraźne: 57,49 do 41,63 proc.

Drugi grom uderzył tydzień później. Jeden z najbardziej poczytnych węgierskich portali Origo.hu doniósł, że rozbita lewicowo-liberalna opozycja zawarła pod patronatem George'a Sorosa zakulisowy układ w sprawie wyborów parlamentarnych, które odbędą się 8 kwietnia. Ma ona współdziałać w okręgach jednomandatowych. Istotą porozumienia jest wycofanie się w ostatniej chwili w danym okręgu wszystkich kandydatów opozycji za wyjątkiem jednego – tego, który ma największe szanse pokonania reprezentanta Fideszu. Co prawda na kartach wyborczych będą figurowały nadal nazwiska wszystkich zgłoszonych kandydatów, ale ordynacja pozwala, by tuż przed rozpoczęciem głosowania wykreślić czarnym flamastrem tych, którzy zrezygnowali. Sojusznicy wierzą, że w takiej sytuacji jedyny przedstawiciel opozycji uzyska skumulowane głosy tych, którzy wcześniej chcieli głosować na innych polityków.

Sygnatariusze tego nieformalnego układu mogą liczyć na finansowe i medialne wsparcie George'a Sorosa, który traktuje Viktora Orbána – i vice versa – jak swojego osobistego wroga. Międzynarodowy spekulant widzi w premierze Węgier głównego przeciwnika w sprawie unijnej polityki imigracyjnej. Z udziałem lidera Fideszu jest bowiem montowana w Europie koalicja państw, które zamierzają się przeciwstawić przymusowemu mechanizmowi kwotowej relokacji uchodźców. Dlatego warunkiem przystąpienia do wyborczego paktu jest – jak informuje portal Origo.hu – zobowiązanie kandydatów do popierania imigracyjnych projektów Sorosa.

eprasa.pl 8bef0554e8

Miliarder dąży do zmiany rządu, mając nadzieję, że 30 czerwca, gdy dojdzie na forum unijnym do głosowania w tej sprawie, nowe władze w Budapeszcie poprą plany Berlina i Brukseli.

BITWA O JOW-Y

W obozie Fideszu wspomniane wiadomości wywołały poważne zaniepokojenie, a opozycji dodały wiatru w żagle. Do tej pory rządzący byli przekonani, że wybory będą jedynie formalnością, która przypieczętuje ich polityczną hegemonię na kolejną kadencję. Wszystkie sondaże od kilku lat pokazują bowiem miażdżącą przewagę partii Viktora Orbána nad konkurentami. W tej sytuacji nic dziwnego, że kampania Fideszu była nudna, bezbarwna i do bólu przewidywalna. Aż tu nagle 40 dni przed wyborami na głowy działaczy i zwolenników tej partii wylany został kubeł zimnej wody.

Péter Márki-Zay zwyciężył w Hódmezővásárhely, ponieważ był jedynym kandydatem opozycji w tym mieście. Fidesz nie stracił tam poparcia, gdyż głosowało na niego tyle samo osób, ile w poprzednich wyborach, ale tym razem to nie wystarczyło. Przy dość wysokiej frekwencji (61,35 proc.) decydująca okazała się mobilizacja elektoratu i zjednoczenie opozycji. Ten sukces dał socjalistom i liberałom ponownie wolę walki. Do tej pory snuli się na scenie politycznej niczym skazańcy czekający na wybory jak na egzekucję. Teraz nabrali pewności siebie, podnieśli głowy i zaczęli powtarzać, że zatrzymanie rozpędzonego Orbána jest możliwe.

Kampania wymierzona w Fidesz odznacza się agresywnością, skupiając na wydumanych lub prawdziwych wpadkach i błędach obozu rządowego. Koncentruje się głównie w internecie, gdzie pojawiło się wiele nowych portali, które działają w sposób zorkiestrowany, powielając te same informacje i fake newsy.

Opozycja upatruje swej szansy w mieszanym systemie głosowania. Przewaga Fideszu jest tak olbrzymia, że niemożliwe byłoby zniwelowanie jej w wielomandatowej ordynacji proporcjonalnej, jaka obowiązuje np. w Polsce. Na Węgrzech jednak 106 posłów wybieranych jest w okręgach jednomandatowych, a 93 wchodzi do parlamentu z list krajowych. Zwolennicy zjednoczonej opozycji mają nadzieję pokonać Fidesz w JOW-ach. Z ich obliczeń wynika, że jeśli zwycięży w 66 okręgach, Orbán nie zostanie premierem.

CO ZROBI JOBBIK?

„Pakt Sorosa" ma też swoje słabe punkty. Po pierwsze, nie ma pewności, czy jego sygnatariusze dotrzymają zobowiązań i w ostatniej chwili rzeczywiście się wycofają. Być może górę wezmą u nich osobiste ambicje. Po drugie, oprócz Fideszu oraz socjalistów i liberałów na scenie politycznej istnieje jeszcze nacjonalistyczny Jobbik, który jest dziś największą partią opozycyjną, uzyskującą regularnie w sondażach kilkanaście procent poparcia. Wejście przez radykalnych narodowców do współczesnej odmiany Frontu Ludowego po to, by obalić prawicowy rząd, byłoby dla większości wyborców tej formacji niezrozumiałe. Oznaczałoby porzucenie tożsamości ideowej własnego ugrupowania. Po trzecie wreszcie, nie ma pewności, czy wyborcy w ostatniej chwili przerzucą swe głosy na jedynego kandydata opozycji.

Już po ujawnieniu informacji o „pakcie Sorosa" liberalny instytut Závecz Intézet przeprowadził badanie, jak zachowaliby się Węgrzy postawieni przed taką alternatywą. Okazuje się, że tylko 26 proc. sympatyków ugrupowań socjalistycznych i liberalnych głosowałoby na polityka Jobbiku, gdyby tylko on miał szansę pokonać przedstawiciela Fideszu. Z drugiej strony zaledwie 19 proc. zwolenników Jobbiku byłoby w stanie przerzucić swe głosy na kandydata lewicowo-liberalnego. To może sprawić, że wiele osób nie pójdzie do urn, jeśli się okaże, że mają wybór tylko między dwoma politykami, których nie akceptują. Zamiast spodziewanej przez ludzi Sorosa mobilizacji wyborczej może więc w elektoracie niechętnym Fideszowi dojść do demobilizacji.

Badania opinii publicznej przeprowadzone już po klęsce w Hódmezővásárhely nadal wskazują na zdecydowaną przewagę partii Viktora Orbána nad rywalami. Według sondażu Nézőpont Intézet Fidesz może liczyć na poparcie aż 52 proc. Węgrów. Następne są: Jobbik – 17, socjaliści – 10, zieloni – 9 i Koalicja Demokratyczna Ferenca Gyurcsányego – 6 proc. Według innych badań, wykonanych przez Iránytű Intézet, Fidesz miał zanotować z kolei spadek do 44 proc.

PRZESTROGA 2002 r.

W obozie rządowym, mimo utrzymującej się wciąż przewagi, ogłoszono alarm. Orbán doskonale pamięta wydarzenia z roku 2002, gdy sondaże dawały mu bezapelacyjne zwycięstwo nad socjalistami. Kolejna kadencja była wówczas na wyciągnięcie ręki. W ostatniej chwili na skutek udanej kampanii lewicy udało się jednak odwrócić nieco nastroje społeczne. Fidesz co prawda wygrał, ale zabrakło mu zaledwie pięciu mandatów, by objąć samodzielnie rządy. W efekcie powstała koalicja socjalistów i liberałów.

Dziś Orbán nie chce, aby tamten scenariusz się powtórzył. Zarządzono więc mobilizację i ospała nieco kampania Fideszu ruszyła z kopyta. Jej głównym motywem pozostaje kwestia imigrantów. Rządzący powtarzają, że ich porażka będzie oznaczać otwarcie węgierskich granic dla fali przybyszów z krajów muzułmańskich. Przytaczane są słowa belgijskiego premiera Charlesa Michela, który zapowiedział, że jeśli zostanie złamany opór Grupy Wyszehradzkiej, wówczas Węgry będą musiały przyjmować minimum 10 tys. imigrantów rocznie. Biorąc pod uwagę przysługujące im prawo do łączenia rodzin, liczba przybyszów będzie rosnąć w geometrycznym postępie.

Komentatorzy podkreślają, że jedynym realnym przeciwnikiem Orbána nie jest dziś ani Gyurcsány, ani Molnár, ani Vona, ani Bajnai, ani żaden z innych przywódców partyjnych, lecz George Soros, który może doprowadzić do połączenia sił podzielonej opozycji lewicowo-liberalnej. Wynik wyborów rozstrzygnie się w 106 okręgach jednomandatowych. W 2014 r. Fidesz zdobył tam aż 96 mandatów. 8 kwietnia okaże się, czy prawica zdoła po raz trzeci z rzędu powtórzyć swój sukces i samodzielnie objąć rządy.

eprasa.pl 8bef0554e8

Zdziecinnieć do końca

Tzw. demokracja liberalna stopniowo zamienia się w oblężoną twierdzę. Do całkiem niedawna była doktryną oczywistą i nie do obalenia, ponieważ – jak podkreślają jej obrońcy – jest bezstronna. W Polsce natomiast doszła do głosu „demokracja nieliberalna", której reprezentanci śmieją twierdzić, że suwerenem w państwie jest naród. Coś podobnego? Na dodatek ten suweren wybiera swoją władzę przy urnach wyborczych. Ale przecież nie jest on bezstronny, jest zaledwie większością, ani nie jest to władza bezstronna, bezstronna jest władza konstytucyjna, czyli wymiar sprawiedliwości.



Dla uzupełnienia tej bezstronności w systemie demokracji liberalnej powstają jak grzyby po deszczu NGO, organizacje pozarządowe kontrolujące rządzących i dbające o prawa człowieka, czyli mniejszości kreowanych na większość. I oto w ten sposób dotarliśmy do sedna demokracji liberalnej, czyli do politycznej poprawności, która jest tego systemu demokratycznego naczelną ideologią. Jest jednak problem z określeniem systemu demokratycznego, który lewactwo liberalne siłą rzeczy musi akceptować, bo przecież używa i nadużywa słowa „demokracja". Ten zdziecinniały establishment w końcu udał się po rozum do głowy, bo przecież wszystkie państwa Unii Europejskiej są państwami demokratycznymi, inaczej nie zostałyby przyjęte do wspólnoty. Elity europejskie wymyśliły nazwę dla systemu panującego w Polsce – otóż nad Wisłą panuje owa „demokracja nieliberalna". Taka, w której władza wybierana jest w wyborach powszechnych, czyli przez suwerena, który suwerenem nie jest.

To się już kończy, to panowanie zachodniego establishmentu w Europie, co objawia się rosnącym zdenerwowaniem tzw. autorytetów

No dobrze, niech im będzie. To znaczy, nie będzie, bo z suwerenem, czyli z narodem, idzie lewactwu jak po grudzie. Świadczy o tym reportaż wyemitowany przez BBC autorstwa specjalnego wysłannika Mike'a Thompsona, który zapuścił się do jakiegoś miasteczka, gdzie rozmawiał ze zwolennikami Prawa i Sprawiedliwości, w tym z robotnikami miejscowej fabryki. I oto, co mu powiedzieli: Unia Europejska zbytnio wtrąca się w wewnętrzne sprawy Polski. I swoje wrażenia spuentował dziennikarz następująco: „PiS dobrze wykorzystuje niezadowolenie z zachodnich liberalnych wartości i podkreśla tradycyjny ideał wartości, obiecuje przywrócenie w ludziach ich dumy, kultury i wiary w siebie". Co o tym myśli PiS? Niestety, nikt z rządu nie był tego wieczora dostępny – poskarżył się Thompson widzom BBC. A gdyby był dostępny, to potwierdziłby to, co zauważył autor reportażu: że PiS wychodzi naprzeciw oczekiwaniom polskiego suwerena. To Brytyjczycy nie są już dumni ze swego kraju, nie hołdują tradycyjnej wartości, jaką jest królestwo, już nie wierzą w swoją kulturę ani wyższość herbaty angielskiej nad bawarką? I wolą Koran od Biblii?

To się już kończy, to panowanie zachodniego establishmentu w Europie, co objawia się rosnącym zdenerwowaniem tzw. autorytetów. Oto na Twitterze obficie się wypowiedział demokrata liberalny, profesor z Middlesex University of London Laurent Pech. Zaatakował oczywiście polski rząd i jego Białą Księgę poświęconą reformie wymiaru sprawiedliwości. Od czytania tego materiału pan Pech nabawił się bólu głowy. Ale musiał to przeczytać. Naprawdę musiał? No więc ten profesor ubolewa, że polski rząd wybiera pasujące do siebie dowody i systematycznie ignoruje przeciwne dowody. I zauważa: „Polski rząd wydaje się działać w oparciu o założenie, że jesteśmy idiotami". No chyba tak, bo trzeba być idiotą, żeby w obronie swojej tezy posługiwać się argumentami przeciwników.

Nie wiem, dlaczego dla Onetu ten Pech jest autorytetem. Ale widocznie nikogo innego nie udało się znaleźć. Ja znalazłam w sieci znakomity artykuł autorstwa Krzysztofa Swata z Łodzi, doktora nauk ekonomicznych, ergonomisty i socjologa. Według niego demokracja liberalna jest środkiem do atomizacji społeczeństwa, wynika z absurdalnego rozszerzania praw niewielkich grup interesu pod hasłem obrony praw mniejszości. Oczywisty chaos będący skutkiem umiejętnego podsycania naturalnych czy też wyimaginowanych sprzeczności jest narzędziem zarządzania społeczeństwami. „Następuje stopniowa erozja idei demokratycznych i ich wypaczenie w kierunku atrapy formalnej poprawności politycznej lansowanej przez uzależnione finansowo media". Te wzorce zachowań – według dr. Swata – spętały faktyczny wpływ obywateli na kierunki rozwoju społecznego poszczególnych państw. Na szczęście narody uwalniają się z pęt demokracji liberalnej, co przyprawia o ból głowy prof. Pecha i cały establishment.

11/0318/F

eprasa.pl 8bef0554e8

Byli szybcy, teraz są wściekli...

Zbliżająca się wiosna to idealny czas na wprowadzenie zmian do swojego życia. Postanawiamy żyć zdrowo, częściej odwiedzać kina i teatry, mieć więcej czasu dla najbliższych. Często zmian chcemy dokonywać również w sferach bardziej przyziemnych, planujemy np. remont mieszkania, zagraniczny urlop czy zakup nowego auta. O ile na bilet do kina stać większość z nas, o tyle w kwestii remontu mieszkania czy zmiany auta o pomoc musimy zwrócić się do instytucji finansowych. I tu zaczynają pojawiać się dylematy. Nikt z nas nie lubi zaciągać zobowiązań finansowych, ale jeżeli już się na to zdecydujemy, dobrze zrobić to mądrze i z głową.

Po pierwsze

Pierwszym krokiem powinno być dokładne zbadanie rynku i zapoznanie się ze wszystkimi dostępnymi ofertami. Oczywiste jest zarazem to, że analiza oferty powinna iść w parze z analizą samej instytucji oferującej pożyczkę. Sprawdzajmy historię danego podmiotu: ile lat znajduje się na naszym rynku, skąd pochodzi jego kapitał, jakie produkty proponował wcześniej oraz, co najważniejsze, jaka jest opinia o nim wśród konsumentów...

Klient prawdę ci powie

Internet pęka w szwach od historii ludzi, którzy zetknęli się z nieuczciwymi instytucjami. Omamieni niskim procentem oraz ratą zaciągnęli zobowiązania, które przerosły ich możliwości. Dług rósł z miesiąca na miesiąc, ponaglenia do zapłaty piętrzyły się w skrzynkach pocztowych, u największych pechowców pojawił się komornik... W efekcie wiele osób odebrało już sobie możliwość otrzymania pożyczki w przyszłości, kiedy będą w potrzebie i będzie to jedyne rozwiązanie, gdyż zła historia kredytowa bardzo obniża naszą wiarygodność w oczach banków. Pamiętajmy, że każde opóźnienie w spłacie rat jest odnotowywane przez bank w Biurze Informacji Kredytowej.

Pośpiech jest złym doradcą

Dlaczego zatem, pomimo przestróg tylu poszkodowanych osób, ludzie nadal wpadają w pułapkę zadłużenia finansowego? Otóż bardzo często podejmują oni decyzję pod wpływem chwili i wtedy jedynym kryterium, które stosują, jest czas: szybciej, bez zbędnych formalności i najlepiej z jakąś superpromocją. Bardzo często klienci dają się nabrać na pierwsze „darmowe pożyczki", czyli nieoprocentowaną formę zobowiązania, którą musimy spłacić w bardzo krótkim czasie. Jeżeli nie uda nam się wywiązać z umowy, firmy za przedłużenie czasu spłaty doliczają duży procent do zaciągniętej kwoty. Pamiętajmy, że nic w świecie finansów nie dzieje się bez kosztów, szczególnie w relacji człowiek-firma pożyczkowa. Jeżeli ktoś oferuje nam nieoprocentowane pieniądze i bardzo krótki okres spłaty, niech nam natychmiast zapali się czerwona lampka! Czy jeżeli stać nas na spłatę zaciągniętego długu w miesiąc, to czy jest on nam w ogóle potrzebny? Albo inaczej: skoro już decydujemy się na to zobowiązanie, to czy realne jest spłacenie go w tak krótkim czasie?



A jakie jest RRSO?

Niewiedza szkodzi i zawsze działa na naszą niekorzyść. Zaskakujący jest zatem fakt, jak mało osób starających się o pożyczki wie, czym jest RRSO. Informacja o tym dostępna jest na wyciągnięcie ręki: od października 2017 roku instytucje finansowe mają obowiązek eksponowania jej w przekazach reklamowych. Z pomocą przychodzi nam również Internet, w którym znajdziemy bardzo dużo artykułów na ten temat. Czym zatem jest tajemnicze RRSO? Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania, czyli oprocentowanie, które uwzględnia wszystkie koszty kredytu, w tym: wnioskowaną kwotę, oprocentowanie kredytu, koszt odsetek, prowizję za udzielenie kredytu, ubezpieczenie, opłaty za dodatkowe usługi instytucji finansowej, jak np. opłata konsultanta, który odwiedza nas w domu, opłatę za rozpatrzenie wniosku oraz wartość pieniądza w czasie i okres spłaty i inne opłaty. Widzimy zatem, że wiedza o tym, czym jest RRSO, jest dla kredytobiorców niezbędna.

Szukajmy więc takich instytucji finansowych, które w swojej ofercie mają produkty charakteryzujące się niskim RRSO.

Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej

Wreszcie udaje nam się przełamywać imposybilizm


Fot. Andrzej Wiktor

Z prezesem Tauron Polska Energia Filipem Grzegorczykiem rozmawiają Michał Karnowski („Sieci") i Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")

Panie prezesie, Grupa Tauron jest wciąż największym dystrybutorem energii w Polsce i jednym z największych podmiotów gospodarczych w kraju. W ubiegłym tygodniu ogłosiliście bardzo dobre wyniki po podsumowaniu całego roku. Zysk netto za 2017 r. to 1 388 mln zł, przy przychodach ze sprzedaży wynoszących 17 416 mln zł. To wzorem ubiegłego roku – jak właściwie we wszystkich spółkach energetycznych – dobra zmiana...

Filip Grzegorczyk: Te wyniki nas cieszą. Możemy dziś ogłosić, że ekipa dobrej zmiany uratowała od upadku kolejną po LOT i po Lotosie spółkę skarbu państwa. Nie mielibyśmy jednak tego sukcesu, gdyby nie warunki, które zostały stworzone wokół spółki. Naszym zadaniem było je wykorzystać. Trzeba jednak powiedzieć, że bylibyśmy dużo dalej, gdyby nie to, że wciąż wyskakują nam trupy z szafy i zaniedbania. Jak nie wiatraki, to wieloletnie obcinanie nakładów inwestycyjnych w górnictwie lub wieloletni, niewytłumaczalny, brak samych inwestycji. Więc poza satysfakcją z tego, że każdego dnia udaje nam się przełamywać pewien imposybilizm, mam też poczucie goryczy, bo moglibyśmy być dużo dalej. Z pełną odpowiedzialnością mówię, że gdyby nie to niedbalstwo sprzed 2016 r., to polska energetyka mogłaby dziś osiągać jeszcze lepsze wyniki.

Budowa nowego bloku energetycznego w Elektrowni Jaworzno III, którego uruchomienie przewidziane jest na listopad 2019 r., też jest w tej grupie zadań „odziedziczonych"?

Budowa nowego bloku w Jaworznie została uzdrowiona – inwestycja wymagała inwestora finansowego, który został wyłoniony, wchodząc w projekt na zasadach rynkowych. Polski Fundusz Rozwoju domknął finansowanie inwestycji. Mamy jednak w pamięci też projekt budowy nowego bloku gazowo-parowego w Stalowej Woli, który najlepiej pokazuje, jak nie należy procedować przygotowania inwestycji, bo uzdrawianie jej trwało cały rok.

Pewnie tak jak i mnie, tak i prezesowi Woźniakowi śni się to już po nocach... Rok trwała inwentaryzacja tego, co zastaliśmy. Dziś budowa nowego bloku gazowo-parowego w Stalowej Woli jest zaawansowana w 86 proc., a bloku węglowego w Jaworznie – w ponad 50 proc. Obie inwestycje zostały uzdrowione, mają zapewnione źródła finansowania i zapewnią Polsce bezpieczeństwo energetyczne.

To burzy trochę promowany w niektórych mediach pogląd, że ta ekipa zapomina o inwestycjach...

Nasza ekipa stawia na inwestycje, ale trzeba pamiętać, że nie jest sztuką rozpocząć inwestycję... Każdy potrafi zlecić przygotowanie dokumentacji. Ale podnieść inwestycję, wbić łopatę,

eprasa.pl 8bef0554e8

zapewnić finansowanie – to wszystko wymaga wielkiej pracy. Wielu inwestycji nie widać, choćby w dystrybucję. A właśnie ze względu na miliardowe inwestycje w ten obszar w Tauronie, skutki ubiegłorocznych huraganów udało się usunąć niezwykle szybko. Co więcej – pomogliśmy Enei w najbardziej kryzysowym momencie. Bo na koniec dnia wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za bezpieczeństwo energetyczne kraju i za ludzi, za naszych odbiorców. Nie działamy przecież sami dla siebie...

Skoro jesteśmy przy inwestycjach i ich finansowaniu, musi się też pojawić pytanie o rynek mocy. Zdaniem agencji Fitch, jeśli cztery kontrolowane przez państwo koncerny energetyczne – PGE, Tauron Polska Energia, Enea i Energa – wygrają w aukcjach zorganizowanych jeszcze w tym roku, wypłaty zapewnią dodatkowe możliwości kredytowe, poczynając od 2021 r.

Cieszę się, że minister Tchórzewski miał tę odwagę i determinację, by podjąć temat rynku mocy w Polsce i przeprowadzić go przez Komisję Europejską. To się wydawało niemal niemożliwe. Jestem pełen podziwu za przygotowanie całej infrastruktury regulacyjnej. Jeśli wygramy aukcje, to rynek mocy będzie korzystny dla spółki i dla całego systemu energetycznego. Otwarte pozostaje pytanie, czy w rynku będą się mieściły bloki stare czy tylko nowoczesne. Nowe zachęcałyby do inwestycji. Musimy też zadać sobie pytanie, czy w miksie energetycznym potrzebujemy elektrowni atomowej. Dziś dla mnie odpowiedź jest twierdząca – dzięki elektrowni jądrowej spadnie znacząco średnia emisyjność w całej gospodarce i pomoże nam to uporać się z zarzutem o emisyjność węgla. Z perspektywy Tauronu rynek mocy będzie miał oczywiście wpływ na realne uzdrowienie finansów firmy i wszystkich grup energetycznych. Wytwarzanie energii i utrzymywanie gotowości jej dostarczenia musi być przecież rentowne. Dziś płacimy za wytworzoną i dostarczoną energię – wreszcie będziemy mogli powalczyć o kontrakty za gotowość jej wytworzenia, co dla bezpieczeństwa energetycznego jest kluczowe. Na całym świecie jest tak, że jeśli firma świadczy usługi publiczne, państwo płaci za świadczenie tych usług.

Doświadczenie w wygrywaniu przetargów publicznych macie... W 2017 r. podmioty publiczne i administracja państwowa, w tym samorządy, ogłosiły ponad 1,7 tys. przetargów na dostawę energii elektrycznej. Najwięcej przetargów wygrał Tauron. W ciągu dwóch lat spółka dostarczy do obiektów należących m.in. do ministerstw oraz centralnych urzędów 226,8 GWh energii elektrycznej. Są wśród nich budynki Komendy Głównej Policji, Archiwum Państwowego oraz Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

To zasługa sprawnego zespołu sprzedażowego, któremu należą się gratulacje.

Konkurowali w sumie z innymi spółkami należącymi do skarbu państwa. Trochę bratobójcza konkurencja.

Budując w 2006 r. cztery grupy energetyczne w Polsce – a wtedy pracowałem w zespole powołanym w tym celu pod kierunkiem ministra Jasińskiego – tworzyliśmy grupy właśnie ze względu na pożądaną konkurencję. Dziś mamy z jednej strony silny organ regulacyjny chroniący konsumentów, a z drugiej – chęć konkurowania na rynkach europejskich. Konkurencja globalna coraz częściej wyklucza konkurencję na rynku lokalnym, krajowym. Z kim EDF konkuruje we Francji? Na bazie pewnego monopolu krajowego buduje się przedsiębiorstwa zdolne do konkurencji globalnej.

Czyli nasze cztery grupy energetyczne nie poradzą sobie z konkurencją w Europie?

Grupy energetyczne muszą przede wszystkim zacząć dobrze prosperować w kraju. Rynek mocy jest bazą do uzdrowienia finansów.

A potem fuzje i konsolidacje?

Konsolidacja w sektorze to funkcja celu i możliwości. Trzeba najpierw wiedzieć, jaki efekt ma zostać osiągnięty. Jeżeli mamy tworzyć europejskie czempiony zdolne do konkurowania na rynku ponadnarodowym – jak Orlen, PZU, PKO BP – to jestem za.

Jeżeli mamy otrzymać pewną wartość dodaną, np. istotną zmianę miksu energetycznego czy rozwiązanie ważnego problemu, to też jestem za. Natomiast jeżeli jedynym efektem ma być tylko trochę większa firma o identycznej strukturze problemów, to powstaje pytanie o celowość. Wystarczy spojrzeć na ostatnie zmiany w Niemczech – EON i RWE.

Może skorzystają akcjonariusze?

No właśnie. O tym nie można zapominać. Na ewentualnych fuzjach muszą ostatecznie skorzystać także akcjonariusze. Jeśli nie będzie korzyści, to na konsolidacje się nie zgodzą. Państwo jest akcjonariuszem wiodącym, ale nie wolno zawieść zaufania prywatnych akcjonariuszy. Akcjonariusze muszą ufać, że państwo będzie dbało o spółkę istotną dla bezpieczeństwa kraju.

No dobrze, ale o konsolidacjach się wspomina. Coraz głośniej. Mówimy o planach powołania Polskiej Grupy Ciepła, choć nie ogłoszono jeszcze żadnych decyzji kierunkowych – czytamy, że pod skrzydłami PGE Energia Ciepła oprócz Tauronu Ciepło mogłyby się znaleźć aktywa PGNiG Termika. To mogłaby być przygrywka do dużej fuzji na rynku elektroenergetycznym.

Żadnych decyzji właścicielskich nie podjęto ani nie obwieszczono. A parafrazując – żeby zagrać wspomnianą przez panów przygrywkę, trzeba mieć nuty. Rynek ciepła jest rynkiem regulowanym i te aktywa są dla naszej Grupy niezwykle ważne. Dzisiaj Tauron w związku z wysokim zadłużeniem odziedziczonym po poprzedniej ekipie rządzącej musi blisko współpracować z instytucjami finansowymi. Dla instytucji finansowych baza aktywów regulowanych jest niezwykle cenna i – mówiąc wprost – ich pozbywanie się z Grupy nie spotka się

eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. Andrzej Wiktor

z akceptacją. Mamy pewne obwarowania, oprocentowanie itd. Dla banku węgiel jest niepewny. Wytwarzanie energii elektrycznej jest niepewne. Sprzedaż zaś to czysta gra rynkowa. A tymczasem regulowane dystrybucja i ciepło to obszary pewne. W kontekście rozmów o Polskiej Grupie Ciepła, nawet z aktywami Tauronu, muszę zatem zapytać: co w zamian? Nie jestem przeciwny ortodoksyjnie, szukam tylko korzystnych efektów takiej transakcji.

Tauron Ciepło jest tymczasem częścią grupy, która może się pochwalić ciekawym, innowacyjnym wdrożeniem. W aglomeracji śląsko-dąbrowskiej uruchomiliście system zdalnego odczytu liczników ciepła oraz system monitorowania węzłów cieplnych i wymienników ciepła. Rozumiemy, że dział B+R w Tauronie pracuje na pełnych obrotach...

Zespół badań i rozwoju tak naprawdę zaczął pracować, i to na innych zasadach. Do tej pory było tak, że innowatorzy, eksperci, szanowani profesorowie coś wymyślili i przychodzili do przedsiębiorstwa. W ramach społecznej odpowiedzialności biznesu firma zamawiała raport. Naukowiec pisał raport, który trafiał na półkę. Dział badań i rozwoju miał dzięki temu co robić, a naukowiec był zadowolony. Tymczasem B+R musi być biznesem. Tworząc w Tauronie Strategiczną Agendę Badawczą odwróciliśmy kierunek i priorytety. Teraz to my mówimy: drogi świecie nauki, potrzebujemy takiego narzędzia lub takiego rozwiązania. Kto nam to zrobi – temu zapłacimy. To jest zadanie działu B+R – wiedzieć, co się dzieje w energetyce na świecie, szukać potrzeb, partnerów i oceniać sens inwestycji.

Skoro komunikujemy potrzeby, to my powiemy: potrzebujemy czystego powietrza i mniej smogu. Zgoda? W Tauronie stawiacie jednak na edukację – akcja „Oddychaj powietrzem" jest raczej kampanią informacyjną...

Tak, jest. Jeśli nie przekonamy ludzi do tego, że sami się trują, to nie będą mieć żadnej motywacji do działań proekologicznych i zmiany sposobu, w jaki się ogrzewają. Ale zaraz za kampanią mamy ofertę antysmogową i Pakiet Grzewczy. Tauron oferuje nocną taryfę grzewczą, która zgodnie z wytycznymi Ministerstwa Energii przeznaczona jest dla klientów decydujących się na wykorzystanie energii elektrycznej dla potrzeb ogrzewania. Ale przygotowujemy rozwiązania kompleksowe – nawiązujemy dialog z klientem. Jeśli palisz plastikiem, my damy ci ekogroszek, doradzimy, jaki piec kupić, który jest w naszej ofercie, zapewnimy finansowanie tej inwestycji i jeszcze damy dedykowaną taryfę. To jest cały proces – najpierw świadomość potrzeby zmiany, potem doradztwo, a nawet finansowanie kosztów zakupu i montaż. Staramy się bardziej... Nie chodzi o jednorazową „wrzutkę" – ogrzej się taniej.

Temat smogu zastąpił nieco inny priorytet rozmów w energetyce – bezpieczeństwo energetyczne. Ale temat optymalizacji współpracy spółek w grupach wciąż jest modny i istotny...

Mam pewien komfort, mówiąc o centralizacji procesów w Tauronie. Pieniądze są ulokowane tam, gdzie powinny, pod rozsądną kontrolą centrali. Koszty są pilnowane i udało się je już ograniczyć czy zoptymalizować, bo rozrzutność była niewiarygodna. Podam przykład – w jednej ze spółek było zatrudnionych 20 prawników na pełnych etatach, choć pracowali po trzy dni w tygodniu. Wystarczyło poprosić o pracę pięć dni tygodniowo i już. Tyle że wtedy nie potrzebowaliśmy już 20 radców prawnych... Dalej. Standardem było to, że spółka zależna zamawiała zewnętrzną opinię prawną, aby udowodnić, iż centrala nie ma racji. Dwie różne kancelarie pisały opinie dla spółek w tej samej grupie, a w ich interesie leżało przedłużanie sporu. Dziś potrzebna jest zgoda centrali na skorzystanie z opinii zewnętrznej kancelarii prawnej.

No dobrze, ale poszczególne spółki mają swoje specjalizacje – wytwarzanie, dystrybucja...

Staramy się budować kulturę jednego Tauronu i wprowadzamy zarządzanie procesowe. W wielu miejscach wciąż działał model silosowy. My i wy. Nasza i wasza spółka. A chcę, by ludzie identyfikowali się z Grupą Tauron.

To pozwoli na odzyskanie i odbudowanie utraconych w wielu dziedzinach kompetencji. Bo przez lata łatwiej było zamówić projekty, outsorsować kompetencje – często za granicę.

Rzeczywiście, wiele kompetencji kluczowych dla energetyki było w rozsypce. Odbudowujemy je. Stawiając Jaworzno, uczymy się ponownie, jak budować elektrownię. To była celowa kultura outsorsowania wielu działalności. To się opłacało, bo ktoś z pewnością zarobił – i potem się okazywało, że usługę wykonuje firma, w której pracują ludzie zatrudnieni u zamawiającego, bo ktoś zapomniał wpisać zakaz konkurencji w umowach. Dziś pracownicy Tauronu mogą się czuć bezpiecznie, mają jak się rozwijać, a grupa jest wskazywana jako miejsce, w którym prowadzi się realny dialog społeczny. Przez wiele lat outsorsing był jakimś planem obniżania kosztów. Dziś odbudowujemy własne kompetencje, bo bez nich – a mówię np. o nadzorze inwestycyjnym, projektowaniu, znajomości rynku – nie uda nam się przeprowadzić żadnych inwestycji. A tych dziś jest na szczęście dużo i będzie jeszcze więcej.

eprasa.pl 8bef0554e8

Aktywnie i zdrowo z PZU

Do biegu, gotowi, start! Zbliżająca się wiosna to najlepszy czas na rozpoczęcie intensywnych treningów. Nawet najlepiej przygotowanym zdarzają się czasem kontuzje



Fot. Shutterstock | 37/0118/F

Dlatego dobrze zawczasu pomyśleć o odpowiednim ubezpieczeniu, które pokryje m.in. koszty leczenia i rehabilitacji po doznanym urazie. Osoba aktywna sportowo może elastycznie dostosować ubezpieczenie do swoich potrzeb i możliwości finansowych – zarówno jeśli chodzi o czas i zakres ochrony, jak i wysokość sumy ubezpieczenia oraz świadczeń dodatkowych.

PZU posiada w swojej ofercie ubezpieczenie dla osób aktywnie spędzających czas (NNW Ogólne), a także dla sportowców uprawiających sport wyczynowo (PZU Sport). Ubezpieczenia skierowane są do osób w każdym wieku, bez względu na dyscyplinę sportu, jaką uprawiają, a także na ich sprawność fizyczną.

Przedmiotem ubezpieczeń są następstwa nieszczęśliwych wypadków, polegające na uszkodzeniu ciała lub rozstroju zdrowia, powodujące trwały uszczerbek na zdrowiu albo śmierć ubezpieczonego.

W razie nieszczęśliwego wypadku ubezpieczony otrzyma:

- świadczenie finansowe,
- zwrot kosztów zakupu przedmiotów ortopedycznych (np. stabilizatora, protez),
- świadczenie za uciążliwe leczenie, jeśli z powodu wypadku poszkodowany miał operację lub przebywał w szpitalu co najmniej pięć dni.

Ubezpieczenia zawierają również wiele atrakcyjnych usług assistance, które obejmują m.in. pomoc medyczną (wizytę lekarską, wizytę pielęgniarki, transport po wypadku do placówki medycznej albo między placówkami), pomoc psychologa dla poszkodowanego, opiekę nad jego niepełnoletnimi dziećmi, a także organizację i pokrycie kosztów rehabilitacji po wypadku.

Poza podstawowym zakresem ubezpieczenia zawierają również dodatkowe świadczenia, które można włączyć do ochrony w zależności od indywidualnych potrzeb. To m.in.:

- zwrot kosztów poniesionych na leczenie i rehabilitację,
- dieta szpitalna (świadczenie za każdy dzień pobytu w szpitalu w wysokości określonej w umowie),
- pobyt na oddziałach intensywnej opieki medycznej lub intensywnej terapii (OIOM/OIT).

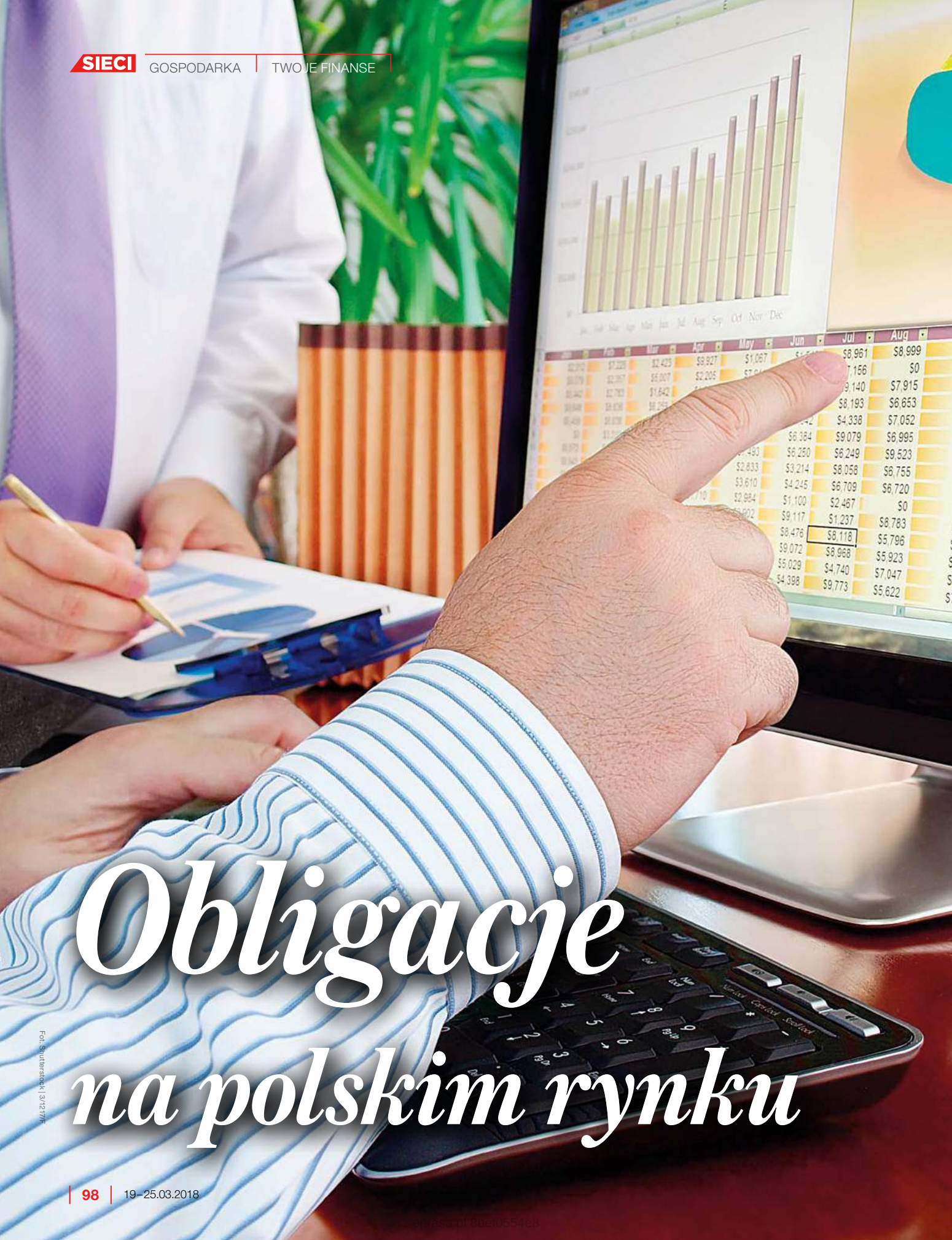
Ponadto specjalnie dla osób uprawiających sport wyczynowo, w ramach ubezpieczenia PZU Sport, ochronę można rozszerzyć o:

- ubezpieczenie kontraktu sportowego (ubezpieczonemu przysługuje świadczenie za każdy dzień niezdolności do uprawiania sportu począwszy od 31. do 330. dnia po wypadku),
- świadczenie przejściowe (ubezpieczonemu przysługuje świadczenie w wysokości 25 proc. sumy ubezpieczenia za niezdolność do uprawiania sportu przez trzy miesiące od zajścia wypadku; jeżeli niezdolność utrzymuje się przez następne trzy miesięczne okresy, ubezpieczony otrzyma kolejne świadczenia – maksymalnie cztery),
- odpowiedzialność za choroby układu mięśniowo-szkieletowego, np. stan przeciążeniowy, złamanie przewlekłe (marszowe).

Ubezpieczenia mogą być zawierane tylko na czas aktywności fizycznej albo na czas pełny, czyli obejmujący poza zajęciami sportowymi również wszystkie inne zdarzenia życia codziennego.

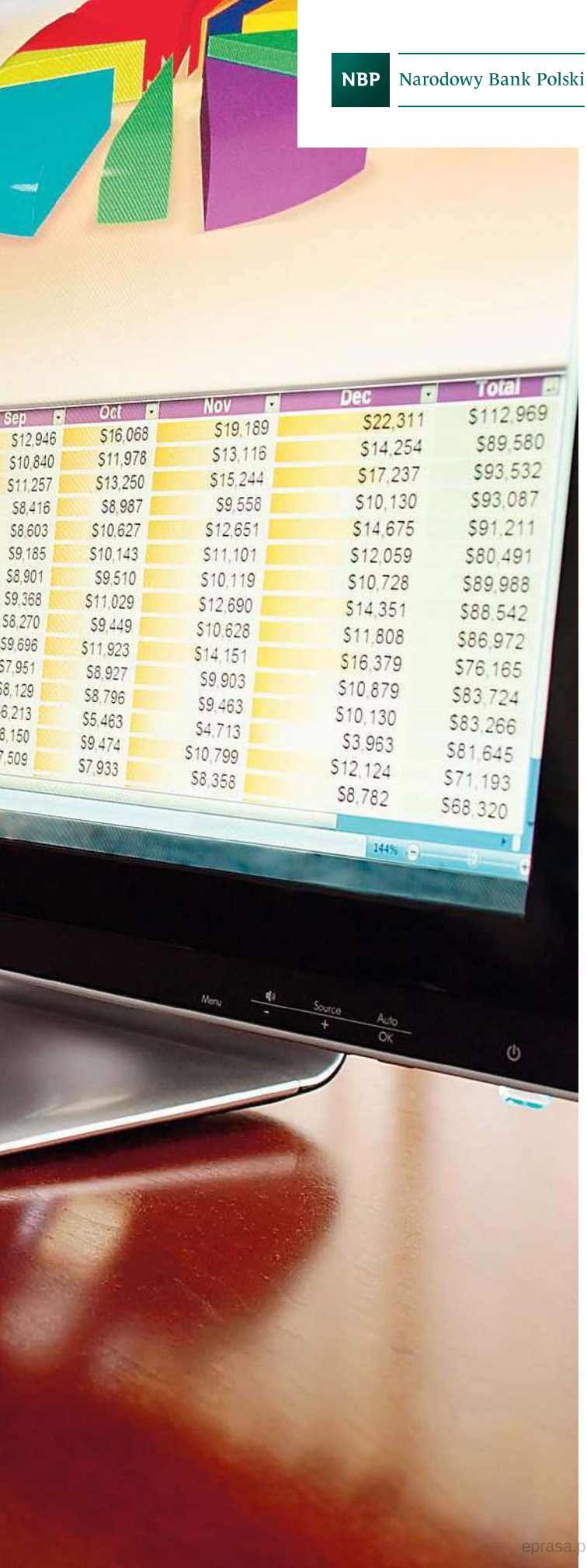
Ubezpieczenie PZU Sport jest dla sportowców gwarancją wsparcia finansowego w razie nieszczęśliwego wypadku. Pomaga opanować skutki wypadku, począwszy od organizacji pomocy w powrocie do zdrowia, aż do zabezpieczenia finansowego w czasie przerwy w karierze sportowej lub jej trwałego przerwania. Natomiast NNW Ogólne dedykowane jest dla wszystkich, którzy chcą zabezpieczyć swoje życie i zdrowie w razie zaistnienia nieszczęśliwego wypadku lub choroby objętej ochroną ubezpieczeniową.

eprasa.pl 8bef0554e8



Obligacje na polskim rynku

Fot. Shutterstock/ 131217/F



Detaliczne obligacje skarbowe cieszą się coraz większą popularnością. W ubiegłym roku Ministerstwo Finansów sprzedało obligacje oszczędnościowe za prawie 7 mld zł, a w 2018 r. ten wynik może zostać poprawiony. Dla wielu drobnych inwestorów zakup obligacji stał się ciekawą alternatywą wobec trzymania oszczędności na lokatach bankowych

Obligacje to ważny segment rynku kapitałowego. Dzięki emisjom obligacji potrzeby pożyczkowe zaspokajają: państwo, a także – choć w mniejszej skali – firmy, samorządy i banki. Obligacje skarbowe emituje Skarb Państwa, reprezentowany przez Ministerstwo Finansów. Ich nabywcami są przede wszystkim inwestorzy instytucjonalni, ale również klienci detaliczni.

Obligacje detaliczne może kupić każdy, kto dysponuje odpowiednimi środkami finansowymi. Cena tych instrumentów finansowych wynosi tylko 100 zł, a reguły, jakie rządzą tymi instrumentami finansowymi, są jasne i z góry ustalone. Obligacje skarbowe to papier wartościowy uważany za najbezpieczniejszy na rynku, gdyż jego emitentem jest Skarb Państwa. Rząd musiałby zaprzestać obsługi swoich zobowiązań, aby obligacje skarbowe nagle straciły na wartości.

NAJCHĘTNIEJ W KRÓTKIM TERMINIE

Polacy wyraźnie więcej inwestują w obligacje detaliczne od 2016 r. W marcu 2015 r. Rada Polityki Pieniężnej obniżyła stopy procentowe do najniższego poziomu w historii (od tej pory stopa podstawowa NBP to 1,5 proc.), a w ślad za tym spadło oprocentowanie lokat bankowych. W 2014 r. łączna wartość sprzedaży obligacji detalicznych wyniosła 2,7 mld zł, w 2015 – skoczyła do 3,2 mld zł, w 2016 – do 4,6 mld zł, a w zeszłym roku – do 6,9 mld zł. Dobrze wypadł grudzień 2017 r. – ze sprzedażą obligacji o wartości 693,8 mln zł, a jeszcze lepiej styczeń 2018 r. – 976,4 mln zł. Największym zainteresowaniem cieszyły się na początku tego roku dwuletnie obligacje oszczędnościowe – kupiono je za 297 mln zł (30-procentowy udział w strukturze sprzedaży), na drugim miejscu znalazły się papiery trzymiesięczne (28 proc.), a na trzecim – czteroletnie (28 proc.). Na dalszych pozycjach uplasowały się obligacje 10-letnie (12 proc.) oraz trzyletnie (1,5 proc.).

W styczniu trwała również sprzedaż tzw. obligacji rodzinnych (sześcio- i 12-letnich), przeznaczonych dla beneficjentów programu Rodzina 500+, ale ich udział jest w sprzedaży niewielki: dla sześciolatek wyniósł 0,1 proc., a 12-latek – 0,2 proc. Beneficjenci programu mogą kupować ten rodzaj papierów do wysokości przyznanego świadczenia.

Chociaż dwulatki dominują, to ich pozycja nie jest tak mocna jak kilka lat temu: w 2017 r. stanowiły one 43,1 proc. sprzedaży, w 2016 było to 76,5 proc., a w 2015 r. – 50,9 proc. Ciekawie zapowiada się ten rok, skoro w styczniu różnica między papierami dwuletnimi a trzymiesięcznymi spadła do zaledwie kilku procent.

eprasa.pl 8bef0554e8

Wprowadzenie od października 2017 r. trzymiesięcznych papierów wyraźnie zmieniło strukturę sprzedaży obligacji detalicznych. Jednak zarówno one, jak i dwu- oraz trzyletnie obligacje – jak twierdzi „Gazeta Bankowa" – nie gwarantują po odliczeniu podatku zysku przekraczającego poziom inflacji, który ostatnio oscyluje wokół 2 proc. Inaczej jest z obligacjami czteroletnimi i 10-letnimi. Zdaniem cytowanego przez „Gazetę Bankową" Bartosza Turka, analityka Open Finance, w przypadku obligacji czteroletniej inflacja musiałaby podskoczyć do prawie 6,6 proc., aby – po potrąceniu podatku – odsetki nie pokryły spadku wartości pieniądza w czasie.

Inwestorzy coraz częściej biorą tę zależność pod uwagę. O ile jeszcze w 2015 r. udział papierów czteroletnich w sprzedaży wszystkich obligacji wynosił 9 proc., o tyle w zeszłym roku wzrósł do 35,8 proc.

JAKĄ OBLIGACJĘ WYBRAĆ?

Ministerstwo Finansów oferuje obecnie kilka rodzajów obligacji detalicznych (oszczędnościowych) Skarbu Państwa.

Generalnie konstrukcja wszystkich obligacji skarbowych jest podobna: sprzedając papiery wartościowe, Ministerstwo Finansów pożycza od nabywcy określoną sumę pieniędzy i zobowiązuje się ją zwrócić wraz z należnymi odsetkami (wykupić obligacje) w określonym czasie. W roli dłużnika występuje Skarb Państwa, który jest jednocześnie gwarantem wykupu obligacji i wypłacenia odsetek.

Standardowa oferta adresowana do nabywców indywidualnych składa się z czterech typów obligacji skarbowych: papierów trzymiesięcznych, dwu-, trzy-, cztero- oraz 10-letnich. Dla beneficjentów programu Rodzina 500+ przeznaczone są obligacje rodzinne sześcioletnie i 12-letnie. Obligacje oszczędnościowe są praktycznie w ciągłej sprzedaży. Cena zakupu jest stała i każdego dnia sprzedaży wynosi 100 zł.

Każda obligacja ma swój symbol, określający rodzaj obligacji, miesiąc i rok wykupu. Na przykład dwuletnie oszczędnościowe obligacje skarbowe o oprocentowaniu stałym mają symbol DOS. Sprzedawane w lutym 2018 r. to: DOS0220, gdzie DOS jest symbolem papieru, czyli skrótem jego nazwy, 02 – to miesiąc wykupu (luty), 20 – to rok wykupu (2020).

- Obligacje Trzymiesięczne (OTS – Oszczędnościowe Trzymiesięczne Stałoprocentowe) mają oprocentowanie stałe, naliczane po terminie zapadalności obligacji – obecnie wynosi ono 1,5 proc. w skali roku. Ich nabywcy znają dokładnie swój zysk już w dniu nabycia papierów.
- Obligacje dwuletnie (DOS – Dwuletnie Oszczędnościowe Stałoprocentowe) podobnie jak trzymiesięczne mają stałe oprocentowanie, wynoszące obecnie 2,1 proc. rocznie. W pierwszym roku oprocentowanie jest naliczane od wartości nominalnej (100 zł), a w drugim – od wartości powiększonej o odsetki za pierwszy rok (tzw. kapitalizacja odsetek). Odsetki są wypłacane po terminie zapadalności. Środki uzyskane z wykupywanych obligacji lub ich część można przeznaczyć na zakup obligacji dostępnych w nowej ofercie. Cena zakupu w tzw. zamianie jest niższa i wynosi 99,90 zł (za obligację o wartości nominalnej 100 zł). Wszystkie rodzaje obligacji mają taką samą cenę zamiany. Papier dwuletni jest korzystną opcją dla osób, którym zależy na określonym z góry zysku.
- Obligacje trzyletnie (TOZ – Trzyletnie Oszczędnościowe Zmiennoprocentowe) mają obecnie w pierwszych sześciu miesiącach oprocentowanie 2,2 proc. w skali roku. W kolejnych okresach równe jest stawce WIBOR 6M, czyli oprocentowaniu pieniądza na rynku międzybankowym. Odsetki od tej obligacji są płacone co sześć miesięcy.
- Czteroletnie obligacje (COI – Czteroletnie Oszczędnościowe Indeksowane): ich oprocentowanie jest oparte o wskaźnik inflacji (w skali rocznej, ogłaszany przez GUS w miesiącu poprzedzającym pierwszy miesiąc danego okresu odsetkowego). Oprocentowanie w pierwszym roku oszczędzania wynosi obecnie 2,4 proc., a w kolejnych jest równe inflacji i stałej marży wynoszącej 1,25 proc. (czyli gwarantuje zysk powyżej inflacji). Odsetki są wypłacane po każdym roku oszczędzania. Papiery czteroletnie dobrze chronią oszczędności przed inflacją.
- Obligacje 10-letnie (EDO – Emerytalne Dziesięcioletnie Oszczędnościowe) podobnie jak czteroletnie oparte są o wskaźnik inflacji. Oprocentowanie w pierwszym roku oszczędzania wynosi obecnie 2,7 proc., w kolejnych jest równe wskaźnikowi inflacji i stałej marży wynoszącej 1,5 proc. Odsetki są wypłacane po zakończeniu oszczędzania.

Dla osób korzystających z programu Rodzina 500+ przeznaczone są Rodzinne Obligacje Skarbowe. Mają one korzystniejsze oprocentowanie w porównaniu z papierami standardowymi:

- Rodzinne sześcioletnie obligacje skarbowe (ROS) oparte są o inflację. Oprocentowanie w pierwszym roku oszczędzania wynosi obecnie 2,8 proc., w kolejnych jest równe wskaźnikowi inflacji i stałej marży wynoszącej 1,75 proc. W pierwszym roku oprocentowanie jest naliczane od 100 zł, a w kolejnych latach powiększa się o odsetki naliczone za poprzedni rok. Odsetki są wypłacane po zakończeniu okresu oszczędzania.
- Rodzinne 12-letnie obligacje skarbowe (ROD): oprocentowanie w pierwszym roku to obecnie 3,2 proc., a w kolejnych latach jest równe inflacji i stałej marży wynoszącej 2 proc. Tak jak w przypadku papierów sześcioletnich, w pierwszym roku oprocentowanie jest naliczane od 100 zł, a w kolejnych latach powiększa się o odsetki naliczone za poprzedni rok. Odsetki wypłaca się po zakończeniu okresu oszczędzania.

Obligacji nie trzeba trzymać do terminu zapadalności (np. trzy czy 10 lat), jednak wcześniejszy wykup wiąże się z opłatami: wartość odsetek zostanie pomniejszona o opłatę, której wysokość określona jest w liście emisyjnym danej obligacji. Od kwietnia 2015 r. wynosi ona 70 gr za każdą obligację dwuletnią, trzyletnią i czteroletnią oraz 2 zł za 10-letnią. Opłata nie jest naliczana w przypadku skorzystania z przedterminowego wykupu obligacji trzymiesięcznych, ale w tym przypadku nie zostaną nam wypłacone odsetki.

O ile wcześniejszy wykup obligacji nie jest finansowo korzystny, o tyle operacja zamiany wygasającej serii obligacji

eprasa.pl 8bef0554e8

na nową serię umożliwia uzyskanie dodatkowych profitów. Przede wszystkim na każdej nabytej obligacji zarabia się dodatkowo 0,10 zł, nie ma żadnych opłat ani prowizji. Zamienić na nowe można albo wszystkie zapadające obligacje, albo ich część. Odbywa się to poprzez złożenie odpowiedniej dyspozycji zamiany obligacji. Można to zrobić w oddziałach PKO Banku Polskiego w całym kraju, w Punktach Obsługi Klientów Domu Maklerskiego PKO BP, za pośrednictwem internetu pod adresem: www.zakup.obligacjeskarbowe.pl, przez konto Inteligo pod adresem: www.inteligo.pl, a także telefonicznie.

Informacje na temat kanałów sprzedaży obligacji skarbowych można znaleźć na stronie: obligacjeskarbowe.pl.

Skarb Państwa poza papierami detalicznymi sprzedaje na przetargach hurtowe obligacje skarbowe inwestorom instytucjonalnym – instytucjom finansowym. Nabyte papiery Skarbu Państwa sprzedają one na rynku wtórnym – w ramach bezpośrednich transakcji kupna-sprzedaży (tzw. rynek OTC – over the counter), w tym na platformie elektronicznej TreasuryBondSpot Poland oraz w systemie obrotu instrumentami dłużnymi Catalyst na rynku giełdowym GPW (inwestorzy detaliczni), a także na hurtowym rynku regulowanym pozagiełdowym (organizowanym przez BondSpot). Bezpośredni dostęp do przetargów jest zarezerwowany dla banków posiadających status tzw. Dealera Skarbowych Papierów Wartościowych (DSPW). Na liście DSPW znajduje się obecnie 14 banków. Nabywcy zainteresowani zakupem papierów hurtowych (np. fundusze inwestycyjne) mogą odkupić je od jednego z DSPW.

> Obligacje skarbowe to papier wartościowy uważany za najbezpieczniejszy na rynku, gdyż jego emitentem jest Skarb Państwa

KORPORACYJNE, A MOŻE KOMUNALNE…

Poza obligacjami skarbowymi istnieje jeszcze segment nieskarbowych instrumentów dłużnych: należą do niego papiery firm, samorządów, a także banków.

To ciekawa część rynku, charakteryzująca się z reguły wyższymi zyskami niż w przypadku obligacji Skarbu Państwa, ale zarazem o wyższym ryzyku inwestycyjnym. Kupując obligacje korporacji, nie ma się gwarancji, że firma będzie w stanie wykupić wyemitowany papier wartościowy, a zysk zapisany w prospekcie emisyjnym zostanie wypłacony. Inwestorzy wchodzący na ten rynek muszą mieć świadomość, że inwestycje wiążą się tutaj z ryzykiem, a zysk – choć czasami dużo wyższy niż w przypadku papierów skarbowych – nie jest zawsze stuprocentowo pewny (podobnie jak zwrot zainwestowanych środków).

Inny poziom ryzyka związany jest z inwestycją w obligacje emitenta notowanego od wielu lat na giełdzie i pragnącego pozyskać kapitał, a także posiadającego ocenę ratingową, inny zaś w przypadku niewielkiej spółki, mało znanej i dopiero szukającej kapitału. W pierwszym przypadku oprocentowanie obligacji będzie zapewne niższe, w drugim – oferowana stopa zwrotu może być imponująca, jednak ryzyko dużo większe. Za stosunkowo bezpieczne uważane są obligacje komunalne, zwłaszcza dużych miast o stabilnych i wysokich dochodach. Bankructwo gminy – choć możliwe – wiązałoby się z dużymi problemami społecznymi, zawsze więc jest ostatecznością.

Na pewno należy wziąć pod uwagę także to, że kupno obligacji korporacyjnych (emitowanych przez przedsiębiorstwa lub banki) nie jest tym samym, co założenie depozytu w banku. Inwestycje w obligacje nie są gwarantowane przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny. Oznacza to, że w razie bankructwa banku lub przedsiębiorstwa na zwrot wszystkich zainwestowanych w obligacje środków nie ma co liczyć. Należy również pamiętać, że obligacje korporacyjne i komunalne charakteryzują się niewielką płynnością, dlatego mogą być problemy z ich szybką sprzedażą. Nie są też tak łatwo dostępne jak papiery skarbowe – liczba zleceń sprzedaży jest zazwyczaj niewielka.

RÓŻNORODNOŚĆ NA CATALYST

Zarówno papiery korporacyjne, jak i komunalne można kupować oraz sprzedawać na Catalyst, oczywiście po założeniu rachunku w domu lub biurze maklerskim. Rynek obligacji Catalyst rozpoczął działalność w 2009 r., w jego skład wchodzi zarówno platforma dla inwestorów detalicznych (prowadzona przez Giełdę Papierów Wartościowych w Warszawie), jak i dla hurtowych na rynku pozagiełdowym (BondSpot). Obie platformy dzielą się na rynek regulowany i na ASO (Alternatywny System Obrotu). Na pierwszym notowane są obligacje emitentów spełniających rygorystyczne kryteria, na drugim – emitentów o niższych wymogach. Muszą oni spełniać określone obowiązki informacyjne, polegające m.in. na publikacji raportów bieżących i okresowych. Na Catalyst handluje się też listami zastawnymi wystawianymi przez banki hipoteczne, jednak obrót w tym segmencie jest wciąż niewielki.

Na Catalyst trafiają w ostatnich latach przede wszystkim obligacje korporacyjne, i to zarówno dużych firm, jak i małych. W 2016 r. na 19 debiutów na tym rynku aż 18 należało do korporacji, a w 2017 – 19 (na 21 przeprowadzonych emisji). W tej liczbie zawierają się także obligacje emitowane przez banki.

W obligacje można inwestować też pośrednio, wykorzystując do tego celu fundusze: obligacji korporacyjnych (gdy fundusz kupuje instrumenty dłużne emitowane przez firmy) lub skarbowych (gdy kupuje dłużne papiery wartościowe Skarbu Państwa). Pierwsze są oczywiście bardziej ryzykowne, drugie mniej. Decydując się na zainwestowanie środków za pomocą funduszy inwestycyjnych trzeba pamiętać o dodatkowych opłatach za zarządzanie.

Łukasz Chłociński

eprasa.pl 8bef0554e8

Odpowiedzialny hazard

Wprowadzimy rozwiązania, które jeszcze nigdy nie zabezpieczały na polskim rynku potencjalnych klientów salonów gier na takim poziomie. Uczestnik będzie musiał np. wykazać, że ma skończone 18 lat poprzez okazanie dokumentu tożsamości, gracze będą także mieli obowiązek wprowadzenia limitów swojej aktywności oraz środków finansowych przeznaczanych na grę

z Olgierdem Cieślikiem, prezesem Zarządu Totalizatora Sportowego, rozmawia Kajetan Kutnowski

Skończył się rok, w którym przez 11 miesięcy (od 1 kwietnia 2017 r.) obowiązywała znowelizowana ustawa o grach hazardowych, zdecydowanie wzmacniająca monopol państwa w tym segmencie rynku. Jak ocenia pan jej skutki? Czy nowe prawo się sprawdziło? Czy z punktu widzenia Zarządu Totalizatora Sportowego ustawa powinna zostać poddana dalszym pracom legislacyjnym?

Olgierd Cieślik: Nowelizacja ustawy o grach hazardowych wprowadzona w ubiegłym roku już po kilku miesiącach funkcjonowania przyniosła pierwsze pozytywne zmiany. Przede wszystkim od 1 kwietnia 2017 r. państwo polskie mogło rozpocząć realną walkę z szarą strefą w tym obszarze. Blokowanie domen służących do oferowania gier niezgodnie z ustawą, ale również praktycznie codziennie napływające za pośrednictwem mediów informacje o zatrzymaniu przez Krajową Administrację Skarbową kolejnych nielegalnych maszyn oraz bardziej skuteczne kary są tego namacalnym efektem. Znowelizowana ustawa wprowadza również jeden istotny element, który de facto cywilizuje nasz rynek – odpowiedzialną grę. Ustawa nakłada na organizatorów gier realną odpowiedzialność za osoby grające, a w przypadku dotychczasowego funkcjonowania, np. punktów z automatami poza kasynami gry czy stron internetowych, które oferowały różne produkty hazardowe, nie było to już takie oczywiste, o ile w ogóle część tego typu przybytków przejmowała się osobami grającymi i ich świadomością gry. W tym momencie w obszary związane z salonami gier oraz kasynem internetowym wkracza Totalizator Sportowy, który ma wieloletnie doświadczenie dotyczące ochrony graczy. Nasze doświadczenia oraz praktyki w tym zakresie zintensyfikujemy właśnie w tych segmentach. Potencjalni klienci w nowych obszarach biznesowych spółki, tak jak dotychczasowi gracze gier liczbowych i loterii pieniężnych, muszą być pełnoletni, mieć pełną świadomość, z jakim produktem mają do czynienia, musi istnieć także pewna forma kontroli ich zaangażowania w grę. To model, który nie tylko zabezpieczy grającego, lecz także pozwoli państwu polskiemu osiągnąć przychody do budżetu w sposób niebudzący żadnych etycznych wątpliwości. Walka z szarą strefą jest zawsze procesem dynamicznym, a podmioty działające zarówno w tym obszarze, jak i w czarnej strefie zawsze będą szukać drogi do osiągnięcia zysków, niezależnie od tego, jak skonstruowane są przepisy. Rynek trzeba obserwować cały czas. My skupiamy się na tym, by wdrożyć jak najskuteczniej wszystko, co umożliwia nam znowelizowane prawo – jego zmiana była ogromnym krokiem naprzód w porównaniu z sytuacją sprzed nowelizacji.

Spółki skarbu państwa notują historyczne zyski. Nie inaczej jest z podmiotem, którym pan kieruje. Złośliwi mogliby powiedzieć, że mała w tym zasługa odpowiedniego zarządzania, a większa wspomnianej nowelizacji ustawy. Analizując aktywność Totalizatora w poszerzaniu swojej oferty rynkowej, nie byłoby to jednak uczciwe stwierdzenie. Gdzie, pana zdaniem, należy upatrywać przyczyn rekordowych zysków TS w ostatnim czasie?

W 2017 r. odnotowaliśmy rekordową sprzedaż naszych produktów. Szczególnie dynamicznie rosła sprzedaż gier i loterii o wyższej wypłacalności oraz natychmiastowym wyniku. Mówimy tu o Keno oraz Zdrapkach, czyli produktach, które od lat są w portfelu Totalizatora Sportowego. W porównaniu z rokiem 2016 wzrosty kształtują się na poziomie kilkudziesięciu procent. Tylko w 2017 r. spółka wprowadziła na rynek 43 debiutujące Zdrapki. Numerem jeden cały czas jest Lotto, mimo że wprowadzona w rekordowym czasie gra Eurojackpot została bardzo dobrze przyjęta przez naszych graczy – na 18 krajów, w których jest dostępna, plasujemy się na czwartym miejscu pod względem wysokości jej sprzedaży. Nie zapominamy więc o rozwoju portfela naszych produktów i systematycznie dostosowujemy

eprasa.pl 8bef0554e8



Fot. Michał Nowicki

go do potrzeb naszych obecnych oraz przyszłych klientów. Oczywiście nowelizacja ustawy o grach hazardowych rozszerza nam możliwości zwiększenia przychodów w związku z nałożeniem na nas obowiązku monopolu w obszarze kasyna internetowego, automatów poza kasynami gry czy sprzedaży produktów przez internet i kanały mobilne. Jednak pierwsze przychody z tych obszarów będziemy odnotowywać dopiero w 2018 r.

W ponad tysiącu kolekturach można już płacić kartą, a ich liczba stale rośnie. Oferta TS nie omija także internetu. Jakich dalszych zmian i innowacji technologicznych możemy się spodziewać w najbliższym czasie?

Od 1 lutego płatność bezgotówkowa dostępna jest w ponad 870 punktach LOTTO należących bezpośrednio do Totalizatora Sportowego oraz w ok. 450 punktach naszych partnerów sieciowych. Ta liczba będzie stale wzrastać. Dalsze innowacje technologiczne związane są z projektami, za których realizację odpowiadamy po zmianach w ustawie o grach hazardowych. Wspomniane wcześniej salony gier z automatami to – wbrew temu, co może się wydawać – nie tylko lokale i maszyny w nich stojące, to budowa całych systemów rejestrujących, infrastruktury informatycznej, standardów zabezpieczeń technicznych i osób grających. Proces wdrażania tego typu projektów opiera się na budowaniu wielu kompetencji o cechach innowacyjnych, które opierają się w znacznej części na pracach badawczo-rozwojowych, ale także na najnowocześniejszych technologiach. Podobnie jest z kasynem internetowym oraz ze sprzedażą tradycyjnych produktów przez internet i kanały mobilne. W tych obszarach mamy do czynienia z kwestią wejścia spółki w segment e-commerce, naturalny dla firmy, która jako organizator gier liczbowych i loterii pieniężnych realizuje nawet dziesiątki tysięcy transakcji dziennie. Mówimy więc o działaniach, które przyczyniają się do budowy wzrostu gospodarczego, opartego chociażby o pozyskiwanie wiedzy, co jest spójne z szeroko stosowaną przez rząd premiera Mateusza Morawieckiego Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Pod koniec lutego zakończyliśmy przetarg na wdrożenie kasyna internetowego. Proces był dość czasochłonny i wymagający, jednak pozwolił na wyłonienie jednego z najbardziej cenionych dostawców na rynku. Planujemy uruchomienie platformy do gier w internecie na przełomie trzeciego i czwartego kwartału bieżącego roku. Nie zapominamy również o rozwoju tradycyjnych gier liczbowych i loterii pieniężnych. Wprowadzenie ich sprzedaży przez internet i kanały mobilne planujemy na czwarty kwartał tego roku. Usługi te muszą spełniać najwyższe standardy, do których Totalizator Sportowy przyzwyczaił swoich klientów – oczywiście także te związane z odpowiedzialną grą.

Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, której autorem jest premier Morawiecki, zakłada wypracowanie efektywnego modelu

eprasa.pl 8bef0554e8

współpracy pomiędzy spółkami skarbu państwa. W przypadku Totalizatora Sportowego konkretna współpraca miała się rozwinąć z Wojskowymi Zakładami Łączności nr 1 SA, które mają być dostarczycielem automatów do nowej sieci salonów gier. Wstępnie planowano, że pierwsze salony TS otworzy jeszcze w 2017 r., jednak tak się nie stało. Media informowały już, że wina za opóźnienie nie leży po stronie TS, ale WZŁ nr 1, które nie zdążyły na czas opracować modelu automatu. Czy aktualnie wiadomo, kiedy można się spodziewać uruchomienia sieci salonów?

Kiedy spółka weszła w biznes salonów gier na automatach – a warto podkreślić, że mamy do czynienia z projektem w polskiej branży hazardowej, który po raz pierwszy zakłada otwarcie w tak krótkim czasie całej sieci – rozpoczęła badanie możliwości rozwoju tego segmentu w oparciu o polski przemysł i współpracę ze spółkami skarbu państwa. Nasi partnerzy z Wojskowych Zakładów Łączności nr 1, Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych oraz Exatela zajęli się częścią projektu związaną z przygotowaniem i dostarczeniem odpowiednich, w pełni funkcjonalnych maszyn oraz systemów. Po naszej stronie rozpoczęło się natomiast wiele działań związanych chociażby z pozyskiwaniem i weryfikacją lokalizacji czy też przygotowaniem standardów zabezpieczeń technicznych oraz tych związanych z odpowiedzialną grą. Mówimy więc o ogromnym projekcie, w którym na każdy z elementów składa się wiele skomplikowanych procesów związanych czy to z pracami badawczo-rozwojowymi i informatycznymi, czy też z działaniami, które nigdy do tej pory nie były w polskiej branży podejmowane. W każdym razie uruchomienie pierwszych salonów gier w ramach programu pilotażowego nastąpi w drugim kwartale, program potrwa do końca roku i w tym czasie uruchomimy ok. 50 lokalizacji z co najmniej 1,2 tys. maszynami. Na bieżąco będziemy się przyglądać, jak ten biznes funkcjonuje, tak by wybrać optymalną ścieżkę jego dalszego rozwoju. Zainteresowanie oczywiście jest, wpłynęła do nas ogromna liczba propozycji związanych z udostępnieniem lokali na salony gier. Wszystkie są weryfikowane pod kątem zgodności z zapisami ustawy, a te, które przeszły pierwszy etap, są następnie sprawdzane także poprzez wizję lokalną. Mamy listę pewnych lokalizacji. Warto również podkreślić, że wprowadzone zostaną rozwiązania, które jeszcze nigdy nie zabezpieczały na polskim rynku potencjalnych klientów na takim poziomie. Uczestnik będzie musiał wykazać, że ma skończone 18 lat poprzez okazanie dokumentu tożsamości, podając swoje imię i nazwisko czy np. PESEL. Gracze będą także mieli obowiązek wprowadzenia limitów swojej aktywności oraz środków finansowych przeznaczanych na grę. Limity oczywiście będzie można zwiększać, ale tutaj wymusimy na potencjalnym kliencie refleksję. Możliwa będzie nawet opcja czasowego samowykluczenia się z gry – nie krócej niż na trzy miesiące, i to bez możliwości odwołania się od tej decyzji. Istotnym elementem będzie również unikalny system zarządzania terminalami, który pozwoli zarówno urzędnikom Krajowej Administracji Skarbowej, jak i Ministerstwa Finansów na dostęp w czasie rzeczywistym do informacji o pracy każdego z automatów.

> Eurojackpot został bardzo dobrze przyjęty przez naszych graczy. Na 18 krajów, w których dostępna jest gra, plasujemy się na czwartym miejscu pod względem wysokości jej sprzedaży

O ile Kamil Stoch i spółka dają nam nadzieję na znaczące sukcesy na arenie międzynarodowej, o tyle trudno się ich wciąż spodziewać po polskich klubach piłkarskich, które w ostatnim sezonie szybko odpadły w eliminacjach Ligi Europy i Ligi Mistrzów. Mimo to LOTTO wciąż jest partnerem tytularnym tej naszej, dość słabej Ekstraklasy. Czy dalsze wsparcie TS dla tych rozgrywek uzależnia pan od lepszych wyników polskich klubów w Europie?

Mówimy o lidze, która związana jest z najpopularniejszą dyscypliną sportu w Polsce. Meczami LOTTO Ekstraklasy interesują się miliony polskich kibiców i nie jest to dla nas bez znaczenia, także z powodów biznesowych. Jesteśmy przecież również normalnie funkcjonującym przedsiębiorstwem, które swoje produkty sprzedaje w Polsce, dlatego grupa docelowa jest dla nas bardzo ważna. Współpraca przynosi obopólne korzyści zarówno spółce, jak i Ekstraklasie. Natomiast tak jak po zakończeniu sezonu 2016/2017, tak i tym razem będziemy bardzo szczegółowo analizować naszą obecność w rozgrywkach w tym sezonie. Wtedy też podejmiemy stosowne decyzje, co dalej. Ekstraklasa jest zresztą jednym z wielu projektów realizowanych przez Totalizator Sportowy. Od wielu lat współpracujemy z Polskim Komitetem Olimpijskim, sponsorując polską reprezentację olimpijską. Ostatnio zostaliśmy także partnerem generalnym Polskiego Komitetu Paraolimpijskiego. Jesteśmy ze sportem właściwie od zawsze, jest on wpisany w nasze DNA i nie ma praktycznie wydarzeń lub dyscyplin, w których spółka by nie uczestniczyła – czy to w sposób bezpośredni, czy pośredni. Proszę pamiętać, że jesteśmy także jedynym podmiotem na rynku zobligowanym do przekazywania pieniędzy na fundusz celowy zarządzany przez Ministerstwo Sportu i Turystyki, a mówię tutaj o kwotach, które od kilku lat przekraczają 700 mln zł rocznie.

71/0118/F

eprasa.pl 8bef0554e8



iPKO DEALER
KANTOR DLA FIRM

WYMIENIAJ WALUTY PRZEZ INTERNET

- Transakcje natychmiastowe już od 1 EUR
- Atrakcyjne kursy walutowe
- Walutowe powiadomienia SMS

Bank Polski
dzień dobry

Kontakt do dealera walutowego: +48 22 521 58 02 opłata zgodna z taryfą operatora

Szczegółowe informacje o produkcie oraz Taryfa prowizji i opłat bankowych znajdują się na www.pkobp.pl.

eprasa.pl 8bef0554e8

JERZY SCHEJBAL AKTOR

Na ryby i na grzyby

Od kilku sezonów moje zawodowe życie jest związane m.in. z serialowym rozlewiskiem. Praca na planie kojarzy mi się smakowo z momentem, kiedy dojeżdżam na Mazury.

Nie znałem wcześniej tego regionu. Miejscowością, która zwróciła moją uwagę w drodze na pierwsze zdjęcia, było Frąknowo, tuż pod Olsztynkiem. Była tam smażalnia, w której pierwszy raz w życiu zjadłem tak pyszne ryby. Sieja i młody sum smakowały bosko.

Potem, za każdym razem, gdy jechałem na plan, tam się właśnie zatrzymywałem. Kiedy budowano dwupasmówkę, pojawiła się obawa, że smażalnia nie przetrwa, ale wciąż jest.

Ryby to bez wątpienia kulinarny atut Mazur. Latem 2009 r., gdy zaczynaliśmy zdjęcia do „Domu nad rozlewiskiem", zjadłem tam bodaj najlepszą w życiu zupę rybną. Początkowo nie byłem do niej przekonany, ale miała świetnie wyważone składniki. Była gęsta. Po prostu rewelacyjna.

To było moje drugie smakowe odkrycie tamtego czasu. Potem kulinaria po trosze wkroczyły na plan. W pierwszym sezonie dużo składników dostarczał bohaterkom ogród. A ponieważ Małgosia [Braunek – przyp. red.] była wegetarianką to, nawet gdy gotowała do kamery, przemycała wegetariańskie smaki. Z czasem w serialowym pensjonacie pojawiły się wypieki i przetwory. Siłą rzeczy kosztowaliśmy ich w czasie ujęć, a także poza nimi.

Serialowe pobyty na Mazurach zetknęły mnie z wyjątkowo obfitym runem leśnym: jagody, borówki... wystarczyło przejść kilka kroków. No i jeszcze grzyby. Jednego sezonu był ich tak nieprawdopodobny wysyp, że pod koniec nie dawaliśmy rady. Koszami znosiliśmy te grzyby do barobusu, kucharze je przetwarzali i pod różnymi postaciami trafiały na stół. Duszone, smażone, w zupie... Sporo zostało też przez członków ekipy zamarynowanych.

Z regionalnych rzeczy, właśnie na Mazurach, po raz pierwszy jadłem cepeliny. W Małopolsce, skąd pochodzę, są inne tradycje kulinarne. Rejon Nowego Sącza, Bochni to kuchnia galicyjska z elementami austriackiej i ukraińskiej.

Za sprawą mojego bohatera leśniczego Tomasza dowiedziałem się, że nalewki można nastawiać na niemal każdym owocu. Jeżeli ktoś się na tym zna [uśmiech]. Żurawinówka, tarninówka, agrestówka... to oczywiście alkohole do smakowania. Delektować się można również samym rozlewiskiem czy – szerzej – Mazurami. Tu życie inaczej smakuje. Toczy się wolniej, pełniej i chyba piękniej.

Notowała
Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. Shutterstock, Krzemiński Jordan/AKPA

Pasta Tomasza

Potrawa, której przepis podaję, nie pochodzi z Mazur, choć na użytek tego materiału dałem jej imię swojego bohatera. Jest prosta, ale bardzo smakuje, zwłaszcza mojej córce i zięciowi.

Na oliwie lub oleju przesmażam pokrojony w plasterki czosnek. Dodaję rozmrożone wcześniej małe koktajlowe krewetki, zasmażam razem i odstawiam. Na drugiej patelni topię drobno pokrojony boczek i też stawiam na bok. Kiedy makaron (najlepiej szerokie wstążki) zagotuje się, leciuteńko podgrzewam, i boczek, i krewetki. Do tych ostatnich, po przełożeniu ich do miseczki, dokładam dwie kopiate łyżki majonezu (to ilość na dwie osoby). Powstaje gęsty sos. Odcedzam makaron, wrzucam do niego boczek i mieszam, żeby przeszedł smakiem, po czym wykładam na talerz i dopiero wtedy dokładam sos z krewetkami. Pyszne.



eprasa.pl 8bef0554e8



SŁODKO-SŁONY

Czarny korzeń

ANNA MONICKA

Nie ma co ukrywać, to coś wygląda nieciekawie i nazywa się okropnie. Wężymord. Kto normalny chciałby jeść warzywo, które przypomina glistę, a nazwę zawdzięcza swym cudownym właściwościom, polegającym na łagodzeniu ukąszeń rozmaitych jadowitych stworzeń.

A jednak – nasi przodkowie zajadali wężymorda, aż im się uszy trzęsły. Zwany także skorzonerą lub zimowym szparagiem korzeń (to już brzmi bardziej znajomo) to jedno ze starych, zapomnianych warzyw, odkrywanych dziś w nadziei, że dzięki temu wieloletniemu zapomnieniu nikt mu nie grzebał w genach, żeby poprawić plenność, długość czy Bóg tam wie co jeszcze, jest więc zdrowy i nieskażony współczesnymi osiągnięciami genetycznymi. Jeśli dodamy do tego bogactwo witamin (jest ponoć nieodzowny w diecie naukowców i wszystkich osób pracujących umysłowo), budującego kości wapnia i działającej przeciwcukrzycowo inuliny – mamy prawdziwe superjedzenie.

Jeszcze niedawno kupowali go na nielicznych straganach tylko ortodoksyjni fani zdrowego jedzenia. Teraz pęczki czarnych korzonków znajdziemy nawet na ryneczkach wielkich sieci handlowych. Leżą i obsychają, bo nikt nie wie, jak to jeść, a i czarna skóra nie zachęca do bliższego kontaktu.

Warto jednak się przełamać. Mógł wężymorda wcinać Ludwik XVI, mogli zajadać się nim ziemianie przed wojną, to nie możemy i my spróbować? Zwłaszcza że nie wymaga specjalnych ceregieli w kuchni, wystarczy go po prostu ugotować w osolonej wodzie (można ją lekko podkwasić cytryną lub octem jabłkowym) i dopiero potem obrać ze skórki, inaczej wszystkie cenne składniki zostaną w garnku.

Rzeczywiście przypomina białego szparaga, ale jest delikatniejszy i bardziej mączny. Podgotowanego na parze można też dopiec w towarzystwie innych warzyw korzeniowych, oprószonych płatkami masła, lekko posolonych i odrobinę posypanych ciemnym cukrem, żeby w piekarniku zrobiła się chrupka, pyszna skórka. Można obłożyć nim i marchewkami albo pietruszkami piekące się wieprzowe polędwiczki albo indycze golonki.

Zanim pojawią się pełne witamin nowalijki – skorzystajmy z bogactwa, jakie nam dają korzenie.

Fot. Shutterstock

WINNICA MAZURKA

Postrach lemingów

ROBERT MAZUREK

Kiedy Biedronka wrzuca kolejne wina do 30 zł, Lidl idzie inną drogą. Zmajstrował sklep internetowy, a w nim wina droższe, ale za to niektóre naprawdę świąteczne. A co mają z Francji?

Choćby **Bernard Gantois Brut** dla tych, którzy potrzebują prawdziwego, delikatnego szampana w sensownej (100 zł) cenie. Bardzo ładny bukiet, lekki posmak cytrusów i drożdży to **Château de Beauregard Brut** (40 zł), czyli bardzo sympatyczny, musujący cremant znad Loary. Warto. A co z pozostałymi winami białymi?

Są chardonnay z Burgundii, lecz żadne nie powoduje żywszego bicia serca. Jest kilka sauvignon blanc, przyzwoitych, ale na tyle banalnych, że poczekajmy na wiosnę, może na tarasie będą smakować lepiej. A może bardzo zabawne, leciutko musujące **Bastide Miraflors Perlé 2016**, które będzie tychże tarasów atrakcją, podobnie jak różowe korsykańskie **Domaine Vetriccie 2016** (oba 30 zł)? Jednak prawdziwym hitem będzie **Domaine du Chatelier 2015** – znakomicie pijalny przebój wszystkich cioć i postrach winnych lemingów, którzy jak diabeł na święconą wodę reagują na półsłodkie. Ale jakaż to mineralność, jakie piękne owoce, sami będziecie zachwyceni. Pyszne wino.

A skoro już przy słodyczach jesteśmy, to koniecznie **Banyuls Grand Cru 2009**. Czerwone, lekko wzmacniane wino słodkie (z bardzo dobrą kwasowością) z pogranicza francusko-hiszpańskiego, idealny niedzielny albo i wielkanocny deser? No i w świetnej cenie. A czerwienie wytrawne? Moim hitem nie było bardzo dobre **Château Haut de la Becade 2014** z Pauillac (100 zł) ani nawet eleganckie, wiśniowe, na finiszu lekko skórzane margaux za 75 zł **Les Gravières de Tayac**. Zachwycałem się **Château Darius 2015** z imponującym bukietem i finiszem pełnym gorzkiej czekolady. Najtańsze z tego grona (40 zł) jest ładnie ułożone **Château Pey de Pont 2014**.



Domaine du Chatelier 2015
35 zł



Château Darius 2015
70 zł



Banyuls Grand Vru 2009
50 zł

Winnicalidla.pl

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl 8bef0554e8

Spoza gór

PIOTR SKWIECIŃSKI

Ile aniołów i diabłów mieści się w łebku od szpilki? Pożyłbym chętnie w kraju, gdzie pasmo gór dzieliłoby dobro od zła" – to westchnienie bohatera „Wariacji pocztowych" Kazimierza Brandysa zachciało mi się powtórzyć, gdy usłyszałem, że wznowiona została słynna sprawa tzw. willi Kwaśniewskich w Kazimierzu. Jeśli ktoś nie pamięta – luksusowy dom, który według CBA P.T. Państwo Eksprezydentostwo mieli kupić na tzw. słupa za pieniądze, jak to się mówi, pochodzące z nieznanych źródeł. Za czasów Platformy cały system sprawiedliwości wykonując w tym względzie niepisane zalecenie establishmentu III RP, którego Kwaśniewski był przez kilkanaście lat ukochanym patronem, zdradzał organiczną niechęć do rozliczenia tej sytuacji. Ale nosił wilk razy kilka, teraz wieją inne wiatry.



Konsekwencja bywa ludziom obca. Na szczęście

Co skłania mnie do rozmyślań o tym, jak niekoherentna jest ludzka natura. I jak nieskończenie względny jest w ogóle świat.

„Prawda jest taka, że cały kapitalizm polityczny stworzył Kwaśniewski" – mówił Józef Oleksy na słynnych niegdyś taśmach Gudzowatego. „Jeżeli brał, to nie osobiście. Ma tego majątku trochę. Jak zderzysz jego wynagrodzenia prezydenckie, a nawet Joli dochody, to nie uzbiera tyle, ile potrzebuje na wylegitymizowanie tego".

Tu, przypomniawszy sobie wszystkie Fabryki Osocza, systemy Huzar, ułaskawionych Voglów, zaprzyjaźnionych Dochnali i inne pensje od Kulczyka zachowajmy się ostrożnie ze względu na tzw. zagrożenie procesowe i wydeklamujmy: nie wiemy, czy Oleksy miał rację. A kiedy już to napisaliśmy i udało nam się przy tym zachować powagę, no to przypomnijmy sobie inne okoliczności związane z eksprezydentem. Którego, dodajmy, kiedy nie był wcale eks, tylko jak najbardziej aktualny i potężny, ze wszystkich sił zwalczałem w czasach burzy i naporu, w szczupłych, za to wyborowych szeregach Ligi Republikańskiej.

Przypomnijmy choćby sławetną „chorobę goleniową". Skwitowaną, skoro już jesteśmy przy Lidze, plakatem, który sam rozlepiałem. O treści: „Jak śmiałeś upić się w Katyniu?".

A wreszcie przypomnijmy sobie Ałganowa. I nawet jeśli uznamy, że nie wiadomo, co dokładnie działo się we Władysławowie w upalne lato 1994 r., to przecież wiemy zarazem, że ów oficer rosyjskiego wywiadu należał towarzysko do ścisłego, bardzo elitarnego, nieformalnego grona ówczesnych liderów partii postkomunistycznej, a jego polskim kolegom zupełnie wtedy nie przeszkadzało, z kim mieli do czynienia. Kwaśniewskiemu najwyraźniej chyba też.

Tylko że na tym świat się nie kończy. Bo przecież tenże Kwaśniewski, wbrew dawnym suwerenom swojej formacji z Kremla, wprowadził Polskę do NATO i Unii. Cała afera Oleksego była, tak to się chce po latach czytać, operacją rosyjską, mającą i ukarać za zdradę dawnych pezetpeerowców, zmieniających właśnie obediencję na waszyngtońską, i wywołać zadymę uniemożliwiającą nasze wejście do Sojuszu Atlantyckiego. I zastraszyć Kwaśniewskiego, żeby zawrócił z tej drogi. A Kwaśniewski się nie przestraszył. I nie zawrócił.

„Bo jak każdy komunista przywykł słuchać obcego pana, a nowym panem byli Amerykanie" – odpowie ktoś. OK. Tylko czy to Amerykanie kazali mu, gdy jeszcze przed pierwszym Majdanem do Warszawy przyjeżdżali ministrowie z Kijowa, zmuszać ich, by na spotkaniach z nim używali nie języka rosyjskiego (który on zna), tylko ukraińskiego (którego nie zna)?

A potem była „pomarańczowa rewolucja". I jego misja na Ukrainie, którą moskiewska prasa określiła wówczas mianem „polsko-litewskiej interwencji" (bo pojechał do Kijowa wraz z Valdasem Adamkusem). Po której stał się w Rosji w zasadzie jedynym polskim politykiem, którego autentycznie tam znienawidzono. I którego w czasie obchodów Dnia Zwycięstwa w 2005 r. ze smakiem próbowano w Moskwie poniżyć.

I wreszcie był Kwaśniewski – już jako eksprezydent, politycznie PiS przeciwny, a na tle afery kazimierskiej wręcz osobiście z nim skonfliktowany – tym politykiem liberalnego centrum, który w 2015 r. bardzo długo, aż do momentu, w którym wszystko poszło już zupełnie na noże, nie dawał się ponieść fali antykaczystycznej histerii. Który w swoich wypowiedziach tonował nastroje. Co dla ulubieńca Adama Michnika i generalnie salonu III RP nie mogło być ani naturalne, ani łatwe. Za to było, powiedzmy to wprost, przejawem myślenia państwowego.

Bo gdzież jest powiedziane, że ktoś, o kim Józef Oleksy mówił to, co mówił, nie może na innym planie być patriotą? I myśleć państwowo? Że to dziwne? Ależ dziwne. Ale świat jest wielobarwny, człowiek niekoniecznie jest stworzeniem jednowymiarowym, a konsekwencja bywa mu obca. Często – na szczęście.

Coś tak dziwnego od lat już we mnie siedzi,
Że wkurza mnie arbitralność postaw i wypowiedzi,
I złoszczą mnie schematy z radykalnym podziałem:
– To jest, nieprawdaż, czarne, a to, widzicie, białe!

– pisał Andrzej Waligórski. Im jestem starszy, tym bardziej doceniam te strofy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8bef0554e8

Zidiocenie w stylu pop



Aleksander Nalaskowski

Zachwycając się konserwatywnymi wartościami, które wydaje się wyznawać większość Polaków, o czym informują wszelkie sondaże i badania opinii publicznej, kojarzymy owe wartości najczęściej z ich patriotyczną bądź „patriotyczną" częścią. Przez ostatnie lata dzięki publicznej telewizji i innym prawicowym mediom udało się bowiem przypomnieć zapomnianych i spychanych w niebyt bohaterów walki o wolność Polski. Ostrzeliwujące się w swych bastionach zużytymi argumentami i narracjami media opozycyjne wyraźnie tę walkę przegrały. Chwilami można było odnieść wrażenie, że fala prawdy o polskiej historii przybrała kształt walca budowlanego, który swą masą miażdży wszystko, co po drodze napotka. Przemówienia, publikacje, reportaże, festiwale, upamiętnienia i świętowanie żołnierzy wyklętych stały się elementem niemal nowej religii założycielskiej IV RP. Można było mieć zastrzeżenia co do skali tych wszystkich inicjatyw i ich absolutnej wszechobecności, do obiektywizmu niektórych ocen historycznych, ale nie można było wątpić w bohaterstwo tych, o których przypominano. Zwłaszcza że ich oprawcy po wykonaniu stalinowskiego zadania bezpiecznie i bezkarnie lądowali w wydawnictwach, na uczelniach, ministerstwach, dyrekcjach przedsiębiorstw, uniknąwszy kary czy z zabawnymi wyrokami za to, co zrobili. A ostatecznie zostali pochowani na Powązkach z honorami takimi, jakie tylko im kolesie mogli załatwić.

Ponieważ świadomości, że potrafimy być wielcy, nie da się już zatrzeć, to trzeba próbować ją rozpuścić, rozcieńczyć w stosownym roztworze

To, co najważniejsze w kształtowaniu świadomości narodowej, to wyjątkowość, absolutna unikatowość Pileckiego, Płużańskiego, Fieldorfa, Inki, Anody czy tysiąca innych, mniej znanych, którzy niezłomność przenieśli w sobie mimo nieludzkich tortur aż do śmierci. I tej wyjątkowości, tej unikatowości niespotykanej gdzie indziej najbardziej boją się dzieci i wnuki minionego systemu. A ponieważ świadomości, że potrafimy być wielcy, nie da się już zatrzeć, to trzeba próbować ją rozpuścić, rozcieńczyć w stosownym roztworze. I stały się nim produkowane na dużą skalę idiotyzmy, po prostu idiotyzmy.

Czy nie odnoszą państwo wrażenia, że jesteśmy przez media, chociaż nie tylko, traktowani jak idioci, że mówi się do nas jak do skończonych głupków, że zalewani falą wszelkiego prostactwa po prostu intelektualnie chamiejemy? Niech się państwo przypatrzą popularnym tasiemcom kabaretowym w wykonaniu pragnących gwiazdorstwa amatorów. Poziom ich dowcipów, skala zainteresowań, typ prześmiewczości, nachalność propagandowa – nie przerażają państwa? Nie przeraża państwa ten bezmyślny rechot na widowni? Ten rechot to dźwięk upadku rozumności. A wszelkie reality show z knajackim „Warsaw shore", wcześniej „Big Brotherem" nie powalają was nokautem? A idiotyczne „Pytania na śniadanie" czy inne tego typu produkcje nie wydają się emanacją siły uśrednionej i wypomadowanej głupoty, gdzie żadna z osób nie ma nic sensownego do powiedzenia? Czy naprawdę nie wydają się państwu debilne te wszystkie sesje na ściankach podczas „eventów otwarcia" nowego sklepu z rajstopami, patelniami czy wkładkami do butów? Czy nie widzą państwo, że niemal każdy z bohaterów „Na Wspólnej" czy „Rodzinki.pl" jest po trosze baranem, uśrednionym lemingiem, głupawym konsumentem wszystkiego, co mu życie przynosi? Niech państwo spojrzą krytycznie. Mam niestety wrażenie, że w popularnej „Koronie królów" tylko konie nie są idiotami. Oglądając kilka odcinków, wstydziłem się za aktorów, którym najwyraźniej było głupio w tym grać. Ale niepomiernie bardziej mi wstyd za skretyniałe i niegdysiejsze gwiazdy naszej sceny, które niemal zawsze w tym samym składzie występują w warszawskich ulicznych show. Jaką drogę trzeba pokonać, aby przejść od myślenia do Kasprzaka, Farmazona i Hadacza.

Prawdziwe jednak zidiocenie uwidacznia się w internecie. To, że można tam zobaczyć niedorozwiniętych i przekonanych o swej doniosłości głupków informujących o własnym stolcu, jedzeniu, poglądach politycznych czy erotycznych podbojach, nie wyczerpuje zdumienia. Ot, intelektualny odpad, zakompleksieni nieudacznicy, którym dano kamerki i sieć. Ale liczba wejść kibiców, którzy im towarzyszą, musi zastanawiać i budować lęk. Jeśli znajdzie się chociażby dziesięciu, którzy są w stanie wysłuchać pozbawionych nawet śladów myślenia wynurzeń jakiejś Jachiry, to znaczy, że rozpuszczalnik działa.

I nie wydaje mi się to wszystko przypadkowe. To szeroko zakrojone działanie porównywalne z odebraniem jakiemuś podbitemu narodowi języka ojczystego, własnej edukacji czy religii. To tworzenie gruntu, grząskiego bagna, w które da się wcisnąć każdą manipulację. Wielkość herosów, którzy zmieniają świadomość (apostołów też było tylko tuzin) dużych grup, jest nie do zniesienia. Trzeba ją zatupać głupotą, zidioceniem, nieobyczajnością, by na koniec wmówić, że wszyscy Polacy ponoszą winę za Zagładę.

eprasa.pl 8bef0554e8

ROBERT MAZUREK

Płacz grillowanych niewiniątek

To już? Marzec, klimatycznie wręcz stworzony jest do tego, by skorupy śniegu topniały, przebiśniegi i inne takie na wierzch wyłaziły, by świat się zmieniał. Pisowska noc polarna się kończy, dyktatura niczym lód na Mamrach pęka, okowy pluszowego autorytaryzmu puszczają. Jeszcze nie pełną piersią, ale odetchnąć już można.

W Polsce polityk jest jak ksiądz. Wybaczymy mu wszystko, tylko nie pazerność

A kiedy będą pytać, co było pierwsze, to jak odpowiecie? Wiecie, jak pierwszy skowronek, który wiosny nie czyni, bo jeszcze w locie na kamień zamarza, jak pierwszy krokus, który dumnie kwiat wystawia, by matka natura przywaliła go ze złośliwym uśmiechem metrem śniegu. To co było pierwsze, choć potem jeszcze reżim trzymał się mocno? Jak odpowiecie?

Bo ja powiem, że ona, Dama w Czerni. Dziś mało kto pamięta, bo to niemal dwa lata temu i w dodatku kiedy Małgorzata Sadurska wprost z fotela szefowej Kancelarii Prezydenta zostawała wiceprezesem PZU, to wszyscy mieli na głowie ważniejsze sprawy. Medialna burza, no burzka raczej, trwała dwa, trzy dni i dopiero potem przyszły dla PiS czasy w sondażach sute. Więc co ja gadam, w czym rzecz?! Ano, upieram się, rację miałem. Już wyłuszczam.

W Polsce polityk jest jak ksiądz, a wielebnemu, jak wiadomo, lud wszystko wybaczy. Może nie być intelektualistą, może nudny być, mało światowy, może babę mieć na boku – wiadomo, męska rzecz – byle tylko na nią naszej forsy nie wydawał. Bo forsa rzecz święta. Ksiądz nie może ciągle o forsę wołać, to mu sami dadzą – głosi ludowa mądrość. Z politykiem jest podobnie. Wybaczymy mu wszystko mu, tym bardziej że zdanie o politykach mamy jak najgorsze, tylko nie pazerność.

Platforma – że przypomnę oczywistość – przegrała nie dlatego, że źle rządziła, że kolejki do lekarzy się wydłużyły. Nie, Platforma przegrała z powodu głupich ośmiorniczek i wina za kilka stów. Nawet nie przez miliardy skręcone na VAT, milionowe afery hazardowe czy Amber Gold. Nie, to wszystko było jak wojny punickie, zbyt odległe, by wiedzieć, o co kaman. Ale że za nasze ośmiorniczki wpieprzają i im kelner usługuje? I za 6 tys. tylko idiota pracuje? No sorry...

I kiedy pani Sadurska, całe życie zatrudniana po partyjnej linii i na bazie wprost z ministerialnego fotela, dla budżetu osobistego ratowania przesiada się na fotel w PZU, to w ludzie wzbiera. I wylicza, że ona 65 tys. miesięcznie, że Kraczkowski – 150, a Jaworski – brawo, brawo! – ponad 160! Jako poseł tyle wyszarpałby w rok, a tu proszę. Dobra zmiana.

Partia Kaczyńskiego wybory wygrała nie dlatego, że przekonała Polaków o swej fachowości. Fachowcami to mieli być tamci, ci przyszli, bo obiecali nie kraść, złodziei powsadzać i pilnować się, by nie zaszumiało. I możecie teraz, misie drogie, zaklinać rzeczywistość, że skoro uszczelnili dziurę na 100 albo i 200 mld, to nie czepiajmy się tych paru złotych. Nic z tego, czepiać się będą, bo hipokryzja irytuje najbardziej.

A dlaczego zaczęło się od Sadurskiej? Bo symboliczna. A że PiS nie straciło po niej w sondażach? Wszyscy wiemy, co to więzienie w zawieszeniu, prawda? Niby po wolności lata, jednak skazany. Dobra zmiana miała już swe grzeszki, bezczelności, wpadki. I nic ich nie ruszało, ale wyroki w zawieszeniu dostawali. Pierwszy, drugi, trzynasty. I teraz tylko czekać, aż znajdzie się kropla, która przeleję czarę i przyjdzie odsiedzieć nie tylko za to, lecz jeszcze za poprzednie, odwieszone.

Czy będą to już ministerialne premie czy powrót skompromitowanych PR-owców do kancelarii premiera? Nie wiem, może nie. Może jeszcze nie teraz, może się nawet otrząsną i następne wybory wygrają. Cała ich nadzieja w opozycji. W końcu na Petru czy Gronkiewicz-Waltz PiS zawsze może liczyć.

Piszę te słowa, słuchając Billa Evansa. O facecie, który przez 15 z górą lat zmagał się z heroiną, by wygrać tylko po to, aby potem przez kilka lat wykończyć się kokainą, jego przyjaciel powiedział, iż popełnił najdłuższe samobójstwo na świecie. To fakt, PiS zrobi to szybciej.

robert.mazurek@hotmail.com



Fot. Andrzej Wiktor

Otwarte pytanie



Jerzy Jachowicz

Większość Polaków kibicuje Kamilowi Stochowi. Ja zacząłem Platformie Obywatelskiej. Jaki powód? PO wyznaczyła nowy, ambitny cel. Zaczęła kroczyć z duchem czasów. W kierunku euro. Wtajemniczonym nie trzeba tłumaczyć, co dziś, w epoce wyścigu ku nowoczesności i potęgi ekonomicznej, to znaczy. Na razie musi wystarczyć informacja z samego środka.

Główna partia opozycyjna z niechęcią, przymuszona atakiem pisowskiej prokuratury, modeluje kształt swojego rządu, który do czasu zaplanowanego zwycięstwa w najbliższych wyborach ma postać „gabinetu cieni". Niektórzy ministrowie, jak Stanisław Gawłowski czy Cezary Grabarczyk, chwilowo muszą się usunąć w cień. Niezagrożona jest pozycja szefa „gabinetu". To powszechnie lubiany, serdeczny i opiekuńczy dla wszystkich swoich przyjaciół, nie tylko z Wrocławia, lecz i z całego Dolnego Śląska, Grzegorz Schetyna. Jego dbałość o wszechstronny rozwój regionu motywowany lokalnym patriotyzmem sprawia, że stał się prawdziwym protektorem dolnośląskich biznesmenów. Nie dziwmy się, że nieustannie osobiście składają Schetynie dowody wdzięczności. W formie świątecznych pocztówek z życzeniami zdrowia i wszelkiej pomyślności. To nie wszystkie jego zasługi. Nieraz dał dowód swojej przenikliwości, odkrywając utalentowane jednostki, predestynowane do pełnienia odpowiedzialnych funkcji. To on wypromował skromną nauczycielkę ze swego regionu, niejaką Beatę Sawicką. Późniejszą ofiarę podstępnego oficera ABW, słynnego agenta „Tomka". Szczęśliwie ogromne cierpienia tej niewiasty przerwał sędzia Paweł Rysiński, uniewinniając ją od zarzutu korupcji. Uznał, że reklamówka, w której wręczono Sawickiej 50 tys. zł łapówki, nie miała żadnych zabezpieczeń, nie mogła więc być dowodem w sprawie. Z przykrością muszę jednak powiedzieć, że Grzegorz Schetyna ma też niewielkie grono rywali politycznych, w tym przebywających tymczasowo w Brukseli.

Czy mając takich przeciwników, uda mu się Polskę włączyć w strefę euro? To pytanie musi pozostać otwarte.

CO MNIE ZASTANAWIA

Wolność upodlona



Katarzyna Łaniewska

Te mądre słowa usłyszałam z ust księdza prałata Romualda Nowickiego, kiedy wygłaszał homilię na przedostatniej tzw. mszy smoleńskiej.

Jego słowa zastanowiły mnie głęboko. Jak to? Wolność upodlona? Przecież zawsze mówiło się, że wolność jest wywalczona, wymodlona, obroniona. Zgadzam się z tym sformułowaniem całkowicie. Te słowa padają w 100. rocznicę odzyskania niepodległości. Niestety są prawdziwe. Bo czy będziemy wszyscy zgodnie i godnie móc świętować w ten wielki jubileusz? Poeta pisał:

Polsko, nie jesteś ty już niewolnicą!
Łańcuch twych kajdan stał się tym łańcuchem,
Na którym z lochu, co był twą stolicą
Lat sto, swym własnym dźwignęłaś się duchem.
[...]
Z ludów jedyny ty lud czystych dłoni,
Co swych zaborców zdumieniem oniemia,
Iż tym zwycięża jeno, że się broni.
[...]
Żadne cię miana nad to nie zaszczycą,
Co być nie mogło przez wiek twą ozdobą!
Polsko, nie jesteś ty już niewolnicą!
Lecz czymś największym, czym być można: Sobą!

Tak, większość Polaków – obóz prezydencki i rządowy, partii rządzącej i wiele tysięcy rodaków – dąży do tego, aby ta niepodległość była naszym świętem zwycięstwa. Żeby nasza Polska była prawdziwie wolna i była sobą. Żeby żyła w prawdzie.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego są również w naszym państwie ludzie, którzy nie chcą współpracować. Nie chcą patrzeć na dobro ojczyzny. Starają się wszystkie dobre zmiany zepsuć, zniszczyć, opluć, zakłamać i splugawić. Nie. Nie wolno. Zbyt dużo nas to wszystko kosztowało. Zbyt wiele ofiar było na drodze do wolności. Wolności, która naprawdę w tej chwili jest. I te krzyki, białe róże, plugastwa niedługo ustaną.

Głęboko zachęcam do przeczytania całego wiersza Leopolda Staffa mówiącego o naszej ojczyźnie. Tej ojczyźnie, której odrodzenie i święto 100-lecia będziemy obchodzić. A ci, którzy ciągle nie myślą o Polsce jako ojczyźnie, tylko o swoich utraconych przywilejach, o donosicielstwie na swój kraj, niech pamiętają, że historia zapisuje w annałach to, co się dzieje, a naród pamięta.

eprasa.pl 8bef0554e8



TRENDY I OWĘDY

Jaja kobyły

Każde czasy obrastają charakterystycznymi zwrotami



Ryszard Makowski

Niegdyś najwięcej popularnych powiedzonek brało się ze sportu. Nieodżałowanym ich dostarczycielem był trener Kazimierz Górski: „Dopóki piłka w grze, wszystko jest możliwe". Czy w odpowiedzi dziennikarzowi, na pytanie, która drużyna dziś wygra: „Mi si wydaji, że wygra drużyna, która strzeli więcej bramek". Wizytówkowy zwrot komentatora Jana Ciszewskiego: „Wróciliśmy z dalekiej podróży". Używany po zamieszaniu podbramkowym, w którym mogliśmy stracić bramkę. O Ryszardzie Szurkowskim sprawozdawca krzyczał w euforii: „Cudowne dziecko dwóch pedałów".

Obecnie na czoło wysunęli się politycy. To oni stali się mistrzami puszczania w obieg chętnie powielanych sloganów. Przydałoby się naukowe opracowanie grupujące te powiedzonka. Geniuszem słowotwórczym jest Lech Wałęsa: „Dodatnie i ujemne plusy". „Dobrze się stało, że źle się stało". „Jestem za, a nawet przeciw...". Cała litania takich kwiatków. Trzeba przyznać, że dopiero Ryszard Petru zdetronizował słynnego mistrza. W zasadzie jemu należy się laur za całokształt. Było tego mnóstwo, a nieustannie przybywa. Dyżurną odzywką w wywiadach stało się: „Dobrze, że pan zadał mi to pytanie. Liczyłem, że pan je zada". I tu następuje obowiązkowo tyrada na zupełnie inny temat. Prezydent Andrzej Duda jest kojarzony z dumnym zwrotem: „Ja jako prezydent...".

Dawno temu o jednym panu mówiono „Jaja kobyły", a wzięło się to z tego, że radiowe pogadanki rozpoczynał: „Ja jako były partyzant...".

eprasa.pl 8bef0554e8

***Zawistowski prezentuje:* KRS**



Wycinki z przeszłości

W czasach gdy słowa „szynka wędzona” często oznaczają kawałek mięsa po zanurzeniu w chemicznym roztworze, warto przypomnieć sobie choćby opis szynki prawdziwie wędzonej. Sposób na nią podpowiadał dwutygodnik „Kobieta w Świecie i Domu” z marca 1927 r. Czytamy: „Do wędzenia najlepiej używać trocin dębowych, w które od czasu do czasu wrzucać trzeba garść wilgotnych wiórów, tak aby się nie paliły, tylko tliły. Dla nadania specjalnego zapachu wędlinom, tak jak to robią przy sławnych westfalskich szynkach, rzuca się w ogień garść tymianu, rozmarynu, szałwii i jagód jałowcowych. Mięso powinno wisieć dość wysoko, aby dym, dochodząc do niego, prawie oczyścił się z sadzy, które nadają mu przykry, ostry smak, i nie był za gorący. Po kolorze i sztywności mięsa poznaje się, czy jest ono już uwędzone”.



I jeszcze taka rada:

„Kto lubi szynki surowe, niech, wyjąwszy je z soli, trzyma w przewiewnym miejscu koło tygodnia, a następnie wędzi powoli koło 3 tygodni. Tak robią doskonałe, renomowane, litewskie gospodynie. U nas wędzą za krótko w bardzo silnym dymie, przez co szynki są soczystsze, ale muszą być prędko użyte, bo są nietrwałe”.

Smacznego!

(mk)

Kocia muzyka



Leszek Długosz

Najgłośniejsza
Najpiękniejsza kocia muzyka,
wiadomo
W marcowym garncu
– W nim najlepsza akustyka!
Gdy zew wspólny idzie z głębi
Jedno wielkie wołanie:
Jesteśmy, pragniemy
I niech tak się stanie!

Ach, kocie wtedy amoroso
Marcowe na przedwiośniu
sex party!
Wszędzie po wszystkich
kocich estradach
Po płotach, przy kominach
W piwnicach
W marcu
Jakież serenady płyną bez
żenady!
– Arie kuplety zbiorowe ryki
W technice trady –
I nader indywidualnej
Mruczanda glissanda
wyjanda
(Bez zahamowań, wypada –
nie wypada)
– Zzieleniałby sam Penderecki
Słysząc – co jest u kotów,
a czego w swych dziełach
Jeszcze nie umieścił.
– To tyle co do formy
Gdyż co do treści?
– Coś o koncertów tych
programie?
W zasadzie nieustannie,
Panowie Panie
W kółko to samo:
Ach Kiciu słodka, Kotku złoty
itepe itede
Takie tam na okrągło
Kocio-eroto – w kółko
– tęsknoty
Tu jestem!
Czekam na poddaszu
Przybywaj Dulcyneo
Pospieszaj Don Juanie
waleczny
– Już wieczór...

Lubo w odmiennej –
W słodko brutalnej tonacji:
Milcz mi tu cichaj wydro
uliczna
Persko syjamsko wywłoko
zagraniczna
Bo jak ci śrubkę w patefon
wkręcę
Dopiero pojmiesz co znaczy
jęczeć!
– Sypią się iskry prężą się
grzbiety
Przyjdź, *refren wraca*
A po grze wstępnej, obiecuję
Gdy noc głęboka nad
Miasteczkiem
Żyrandol złoty zapali
My wtedy – żadne Eine Kleine
My wtedy sobie urządzimy
cały festiwalik!

I tu westchnienie czytelnicze
Jak postludium ciche
– Te całe festiwale
– Sopot Opole Kazimierz
Kraków
Od morza aż do wzgórz
No coś tam gra, a nawet
– Coś w nich tkwi?
Lecz my, wytrawni
eroto-melomani
Wiemy, mamy swoje zdanie:
– Nie ma jak klasyka
W tej kategorii nic lepszego
– Bez zbędnych kombinacji!
Nie ma jak klasyczna –
KOCIA MUZYKA
W MARCU!

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 8bef0554e8

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Intuicja Polaków



Wypowiedzi ekspertów, głównie profesorów prawa, jest sporo. Ale za słabo uczestniczą w rozmowie „zwykli" wyborcy, także ci rodacy, którzy w dobrej wierze nosili plakat eksponujący w słowie „konstytucja" pary liter TY oraz JA.

Chodzi nam o debaty przed referendum konsultacyjnym, które zaproponował prezydent Andrzej Duda.

Profesorowie prawa znają się na konstytucji i na zasadach tworzenia prawa, ale zazwyczaj już zdążyli gruntownie zapomnieć, na czym polegają codzienne troski większości ludzi. W tym tej połowy pracujących, którzy miesięcznie otrzymują poniżej 2,5 tys. zł na rękę. To oni w pierwszej kolejności potrzebują sprawnego państwa.

NIE O 20 LAT IDZIE

Czasem w rozmowach o potrzebie zmiany konstytucji podkreśla się, że tej obecnej stuknęło już ponad 20 wiosen, a tymczasem świat w miejscu nie stoi.

W praktyce działania naszego państwa kluczowa jest obecność Polski w Unii Europejskiej, zwłaszcza zaś problem relacji między prawem stanowionym przez nasz parlament a regulacjami, które docierają do nas z Brukseli. O to warto zapytać Polaków. Ale nie tylko...

STEROWNOŚĆ

Dziś mamy tak wzburzone fale geopolityki, że reakcje państwa polskiego muszą być szybkie. Dlatego punktem ciężkości jest kwestia sterowności władzy. Tu kluczowa jest niedostateczna spójność funkcjonowania tego, co można określić jako kierownictwo państwa.

Brak tej spójności wynika także z różnicy między wysokim poziomem legitymizacji, jaką w systemie władzy posiada pochodzący z wyborów powszechnych prezydent, a niewielkim poziomem uprawnień sprawczych, jakie mu przysługują.

POTRZEBA DOPASOWANIA

Z braku owej spójności w naszym systemie władzy politycznej co pewien czas coś zgrzyta. A ponieważ dobrze zaprojektowane instytucje polityczne ograniczają zawirowania wynikające z ludzkich ułomności (czytajcie: emocji, ambicji, charakterków), gra jest warta świeczki.

Konstytucja z 1997 r. jest przecież owocem specyficznego okresu przejściowego i zawiera mechanizm ucierania się władz po wychodzeniu z komunizmu. Ale wtedy Polska nie była w UE i świat jawił się jako znacznie bardziej przewidywalny. Teraz to ucieranie się dotyczy innego poziomu i bardziej złożonych wyzwań.

JAK USPÓJNIĆ?

Można albo obniżyć poziom legitymizacji urzędu prezydenta RP, tak by dopasować go do poziomu obecnych uprawnień decyzyjnych, czyli przejść na wariant głowy państwa wybieranej przez Zgromadzenie Narodowe (Sejm i Senat obradujące razem), albo...

No właśnie! Znacząco powiększyć uprawnienia prezydenta tak, by dopasować je do sytuacji, w której wyłaniają go wybory powszechne i jest on nie tylko symbolicznie najwyższym przedstawicielem Rzeczypospolitej Polskiej, gwarantem ciągłości władzy państwowej, lecz stoi przed nim również zadanie chronienia suwerenności i bezpieczeństwa państwa. Ale na razie do realizacji takich zadań posiada niewiele instrumentów.

INTUICJA

Nie wchodzimy tu w różnice między systemami prezydenckim, semi-prezydenckim a parlamentarnym – przecież od większości tych Polaków, którzy w referendum wezmą udział, nie można oczekiwać akademickiej, szczegółowej wiedzy.

Większość naszych rodaków – niezależnie od tego, czy są fanami dobrej zmiany, czy KOD – w istocie podlega wpływom dzisiejszego, cyfrowego przeciążenia informacyjnego. Oznacza to, że podejmując decyzje polityczne, kierują się nie wynikami profesorskich analiz, ale praktycznym, intuicyjnym oglądem spraw publicznych. Dlatego pytania nie mogą być sformułowane zbyt zawile i nie może być ich zbyt wiele.

Naszym zdaniem trzeba wprost zapytać Polaków, czy chcą urząd prezydenta osłabić, czy wzmocnić. Czy ich zdaniem prezydent powinien się bardziej ograniczyć do zadań symbolicznych i w związku z tym być wybierany nie bezpośrednio przez naród, ale przez jego przedstawicieli, czyli Zgromadzenie Narodowe. Czy jednak prezydent RP w dalszym ciągu powinien być wybierany przez naród i mieć szersze uprawnienia – np. wiążącej akceptacji kandydatów na urzędy ministrów: spraw zagranicznych, obrony narodowej, spraw wewnętrznych oraz koordynatora ds. służb specjalnych.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

42/0118/F, 44/0118/F, 62/0118/F, 58/0118/F, 45/0118/F

eprasa.pl 8bef0554e8

JUŻ 26 MARCA W TYGODNIKU SIECI

I W KAŻDY OSTATNI PONIEDZIAŁEK MIESIĄCA PRZEZ CAŁY ROK

Bohaterowie Niepodległej

Marszałek Józef Piłsudski • Ignacy Jan Paderewski • Ignacy Daszyński • Eugeniusz Kwiatkowski • gen. Józef Dowbor-Muśnicki • Ignacy Mościcki • Wojciech Kossak • Jan Kiepura • Gen. Józef Haller • Władysław Grabski • Januszy Kusociński • Wojciech Korfanty • Wincenty Witos • Roman Dmowski • ks. Adam Sapieha • gen. Kazimierz Sosnkowski • inż. Walery Sławek

SERIA DODATKÓW O NIEZWYKŁYCH LUDZIACH, KTÓRYM POLSKA ZAWDZIĘCZA NIEPODLEGŁOŚĆ

„Bohaterowie Niepodległej" to opowieść o bohaterach wielkich i znanych oraz tych, którzy nie pojawiają się w podręcznikach, a warto ich przywrócić naszej pamięci.



Tomasz Łysiak
pisarz, dziennikarz, publicysta

MECENAS DODATKU

PZU

ALIOR BANK

PARTNERZY DODATKU

Bank Pekao

LOTOS

WYDAWCA

SIECI

eprasa.pl 8bef0554e8



Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy PKOl	Partnerzy Medialni PKOl
ORLEN	LOTTO	TAURON	4F	GRUPA LUXMED	LOT	Deloitte. COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA onet PRZEGLĄD SPORTOWY EUROSPORT

eprasa.pl 8bef0554e8